Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr Indeksu 36762

NUMER 28 (1372) ROK XXVII 14 LIPCA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Anarchiści tworzą „Nowy Porządek"
- Srebro, seks i przemoc
- Doktor Willi Nix przychodzi nocą

Cały ten zgiełk

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Kiedyś na festiwal do Opola można było jeździć samochodem. Szybko, wygodnie, jakby na skróty, czerwcowa pogoda zazwyczaj sprzyjała. Później, już na miejscu, w ciągu paru wolnych godzin wyskakiwało się do Turawy, aby odpocząć nad jeziorem w świeżym letnim słońcu od tego całego festiwalowego zgiełku. A tam prawie zawsze spotykało się... samych niemal festiwalowiczów którzy też akurat nie mieli próby lub nie musieli nadawać teleksu i postawili na relaks. Po południu cały festiwal znów przenosił się do amfiteatru. Jednak teraz na festiwal do Opola raczej własnym autem się nie jeździ. I to nie z tego powodu, że gościom festiwalowym zabierają tam prawa jazdy podczas nocnych powrotów do hoteli (bo zdarzały się i takie wypadki), ale raczej ze względu na ceny benzyny niechętnie rekompensowane przez głównych księgowych i — nade wszystko — z uwagi na ograniczenie przydziałów paliwa. Pozostaje więc pociąg (notabene: dobry express „Opolanin" z Warszawy jadący przez Koluszki) albo autobus PKS. W najgorszym — że tak powiem — razie pozostaje oglądanie festiwalu w telewizji.

Kiedyś festiwal opolski gromadził przy odbiornikach miliony telewidzów. Szedł na antenie na żywo, a jego atmosfera udzielała się wszystkim: telewidz identyfikował się z rozkołysaną widownią w amfiteatrze. Nie obawiano się cięć. Wszystko, co działo się na estradzie Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki stawało się przedmiotem „społecznej konsultacji". Dzisiaj, a właściwie od lat kilkunastu, jest zgoła inaczej — telewizja pokazuje to co chce, a ty nic nie masz do powiedzenia, drogi telewidzu choć jesteś płatnikiem stu „zet eł" miesięcznie za abonament i chętnie byś to i owo obejrzał. Zresztą to temat w przypadku festiwali piosenkarskich bynajmniej nienowy — sam pisałem o tym kilkanaście razy.

Na konferencji prasowej odczytano treść przekazanego dalekopisem protestu, jaki przewodniczący Komitetu Organizacyjnego XXI KFPP wystosował do Mirosława Wojciechowskiego, szefa Radiokomitetu. Oto cytat:

„Z największym zdziwieniem i niepokojem przyjęliśmy informację o ustalonym przez radio i telewizję ograniczonym programie retransmisji festiwalowych koncertów z Opola. Znaczne skrócenie w stosunku do wzajemnych ustaleń czasu transmisji w istotny sposób zuboży i wypaczy obraz opolskiej imprezy. W latach ubieg-

10

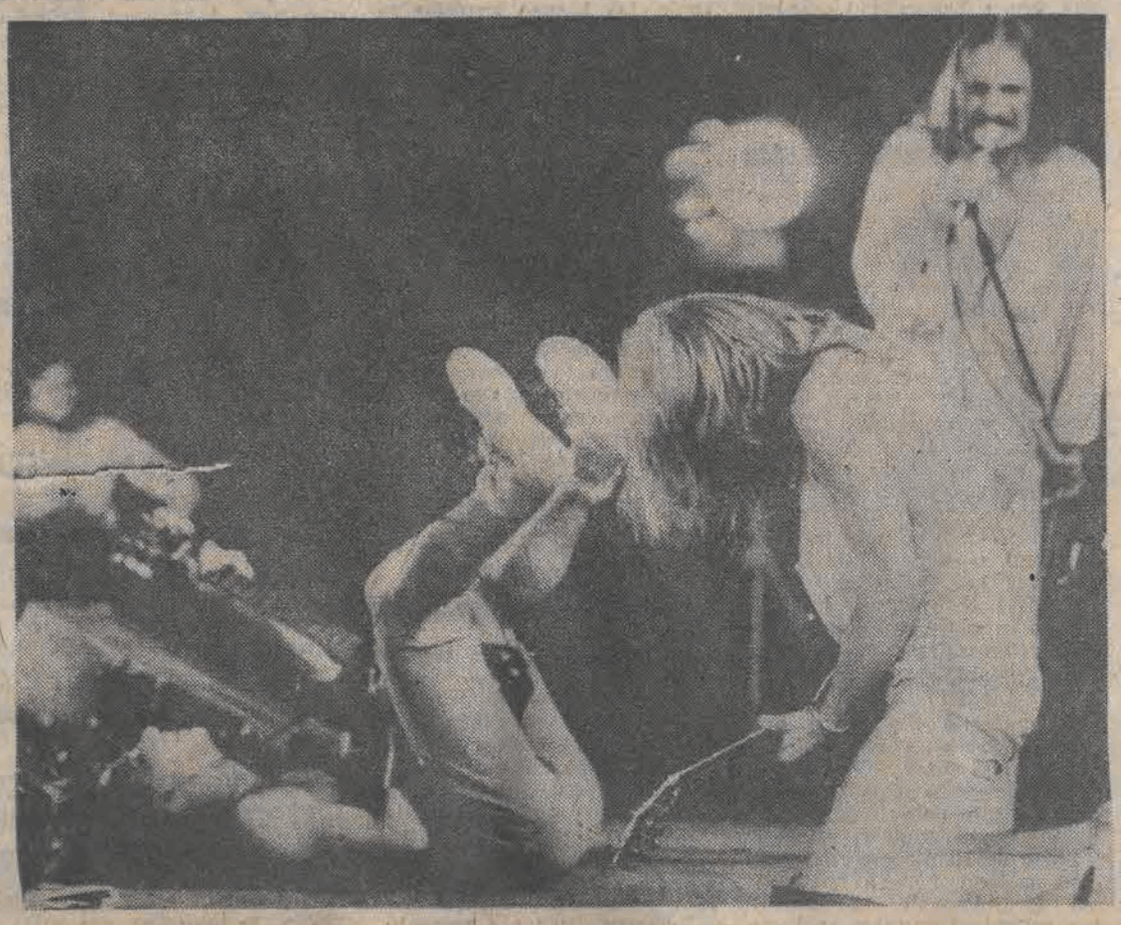

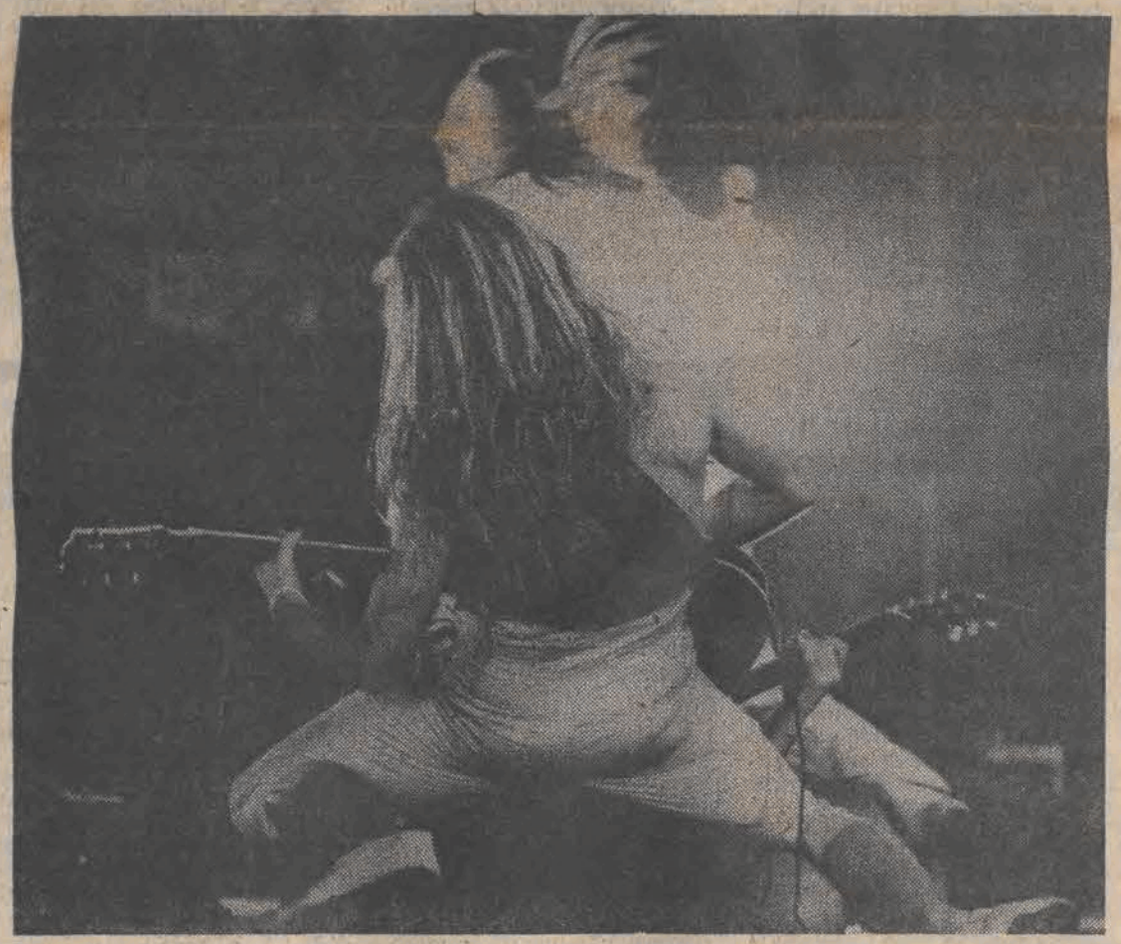

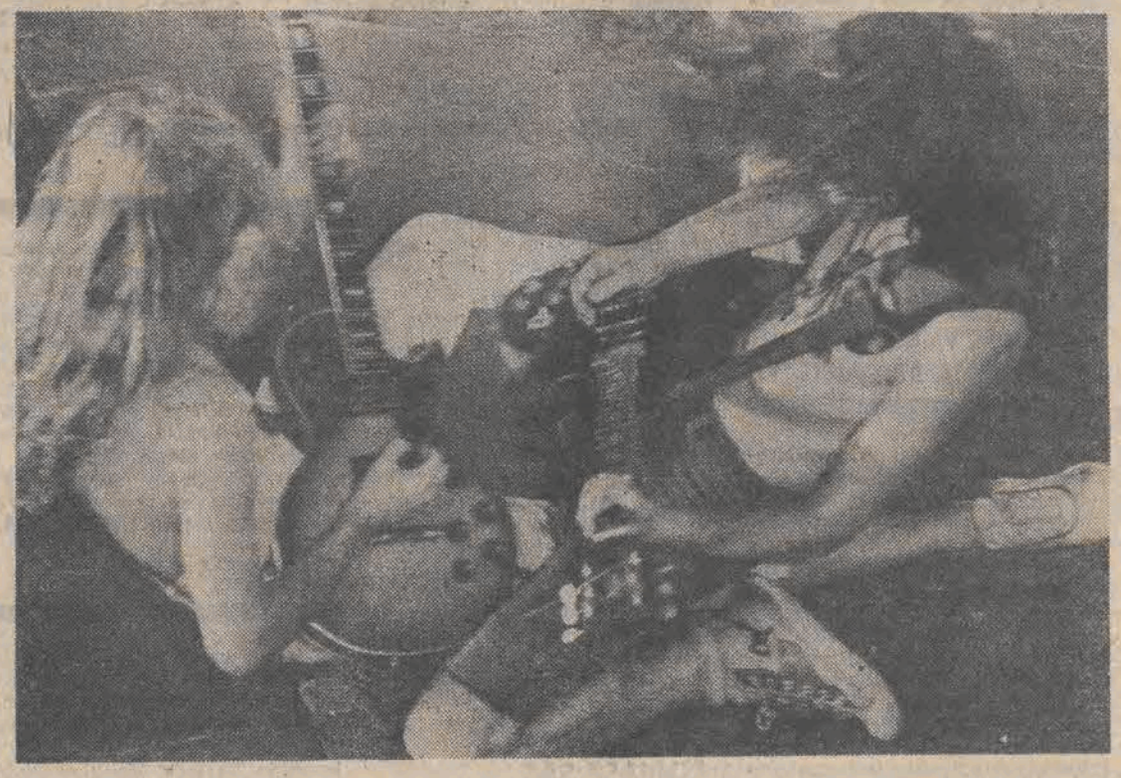

Zmiany oblicza społecznego Polski (2)

Tylko czterdzieści lat

EDMUND LEWANDOWSKI

Przedstawiona w pierwszej części struktura społeczna Polski uległa istotnej zmianie w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej. Spośród 3 mln 300 tys. Żydów polskich Niemcy wymordowali przeszło 80 proc. — pozostali znaleźli schronienie w Związku Radzieckim lub zostali uratowani z narażeniem życia przez naszych rodaków. Wojna spowodowała osłabienie ziemiaństwa i burżuazji. Na obszarach wschodnich i zachodnich obszarnicy utracili majątki. Tylko w granicach Generalnego Gubernatorstwa ziemiaństwo zachowało w większości swój stan posiadania. Z kolei burżuazja poniosła znaczniejsze straty, ponieważ Niemcy, dążąc do kontroli całego przemysłu i handlu, ustanawiali w przedsiębiorstwach własne zarządy. Następstwem okupacji było też zdezorganizowanie i w poważnym stopniu zniszczenie drobnomieszczaństwa. Ale najbardziej dotkliwie ucierpiała inteligencja. Polska straciła aż 40 proc. osób z wyższym wykształceniem, w tym 46 proc. inżynierów, 39 proc. lekarzy, 28 proc pracowników naukowych. Ponadto zamordowano co czwartego księdza katolickiego.

POLACY I INNI

Na strukturę naszego społeczeństwa duży wpływ miała również powojenna zmiana granic państwowych. Polska utraciła 180 tys. km kw. powierzchni na wschodzie, uzyskując w zamian 102 tys. km kw. na zachodzie i północy. To przemieszczenie geograficzne Polski przyczyniło się do radykalnego zmniejszenia ludności ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej, której liczba nieco przekracza dziś pół miliona osób. W miejsce wysiedlonej ludności niemieckiej (2,3 mln) na dobrze zagospodarowane, lecz straszliwie zniszczone tereny dawnych Ziem Piastowskich przybyło do 1950 roku 2,7 mln osób z Polski centralnej, 1,5 mln repatriantów z ZSRR oraz 150 tys. reemigrantów z Zachodu. Stosunkowo szybko dokonali oni tutaj dzieła odbudowy ze zniszczeń.

Wyroki historii sprawiły, że po wielu wiekach Ojczyzna nasza znalazła się w tym samym prawie miejscu i kształcie, jak za pierwszych Piastów. Słynny dokument *„Dagome iudex"* sprzed blisko 1000 lat określał następujące punkty graniczne Polski: Bałtyk — Prusy, Ruś — Kraków — Morawy — Milsko — Odra. Już wtedy rzeka Odra stanowiła rubież obronną przed ekspansją niemiecką. Gall Anonim odnotował, że na wieść o zbliżaniu się wojsk cesarskich Bolesław Chrobry *„nakazał zabarykadować na wszelki sposób przejścia i brody na rzece Odrze"*. W 1467 roku Jan Długosz, ciesząc się z przyłączenia Pomorza Gdańskiego, podkreślał, że pragnie jeszcze doczekać *„odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, Ziemi Lubuskiej i słupskiej"*. Marzenie kronikarza miało się jednakże spełnić dopiero po przeminięciu ok. szesnastu pokoleń. W dniu 21 lipca 1945 r. Władysław Gomułka mówił: *„Historia dała nam dzisiaj jedyną okazję dla odrodzenia Polski w granicach piastowskich. Powracamy na nasze ziemie nad Odrą, Nysą Łużycką i nad Bałtykiem. Likwidujemy krzywdę wyrządzoną nam przez zaborczość krzyżacką"*.

A dwadzieścia trzy lata później ten wielki patriota o niebywałym instynkcie politycznym z naciskiem podkreślił, że gdyby po wojnie zdobył władzę obóz londyński, to wówczas kraj nasz byłby *„bez Ziem Zachodnich i bez Ziem Wschodnich. Byłby jakimś Księstwem Warszawskim, byłby niczym"*. Historia nie zna wprawdzie trybu warunkowego, ale wszystko wskazuje, że mogło się tak stać.

W nowych granicach zaistniały warunki do funkcjonowania w zasadzie jednonarodowego państwa polskiego. Obecnie wśród 37 mln naszych obywateli znajduje się poniżej 2 proc. mniejszości narodowych. Pozostało w Polsce ponad ćwierć miliona Ukraińców i trochę mniej Białorusinów, 23 tys. Słowaków, 15 tys. Cyganów, do 10 tys. Żydów i tyle samo Litwinów oraz po parę tysięcy Ormian, Tatarów, Greków, Macedończyków, Czechów, Niemców. Wszyscy z nich uczestniczą w kształtowaniu oblicza naszego kraju.

NA NOWYCH DROGACH HISTORII

Wraz z wyzwalaniem spod okupacji niemieckiej i po zakończeniu II wojny światowej miała miejsce w Polsce rewolucja społeczna. Władzę zdobyli komuniści, socjaliści, ludowcy i demokraci — przeciwni restauracji kapitalizmu i zdecydowani budować odmienny ustrój. Już 6 września 1944 r. wywłaszczono bez odszkodowania wielką własność ziemską i przekazano najbiedniejszym chłopom 6,1 mln ha ziemi. W ten sposób zamknięto długi rozdział naszych dziejów: ostatecznie zniesiono klasę ziemiańsko-obszarniczą. Następnie na mocy Ustawy KRN z 3 stycznia 1946 r., państwo przejęło na własność wszystkie zakłady zatrudniające powyżej 50 pracowników na 1 zmianę, co równało się zniesieniu drugiej byłej klasy panującej — wielkiej i średniej burżuazji.

Jak w każdej rewolucji, nowe władze musiały zmagać się z licznymi wrogami. W toku wojny domowej poległo 30 tysięcy obywateli. W liczbie tej mieści się 12 tys. milicjantów, ormowców i żołnierzy, 8 tys. członków podziemia oraz wielu działaczy cywilnych PPR i partii so-

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-138 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch", 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1956. E-12.

Przegląd prasy

Opublikowany i poddany tzw. społecznej konsultacji zbiór pomysłów dotyczących zreformowania systemu rekrutacji na wyższe studia, zawierający parę bulwersujących i absurdalnych propozycji, zaczyna obrastać — jak słusznie przewidywałem tydzień temu — obfitą literaturą publicystyczną: polemikami, głosami w dyskusji i rozmaitymi dywagacjami.

Można by mniemać, że założenia ministerialnego projektu celowo sformułowano raczej jako

PROWOKACJE, A NIE PROPOZYCJE

by z dyskusji mógł wyłonić się projekt umiarkowany, zdecydowanie odrzucający wszelkie ekstremizmy. Ale w taką makiaweliczną „chytrość" urzędników z ulicy Miodowej nie wierzę. Ot, po prostu jest to efekt owej intelektualnej szarpaniny, jaka od wielu lat trawi bezproduktywnie środowisko administratorów szkolnictwa wyższego.

Innymi słowy: jest to *„trud postawienia na krawędzi monety, by jednocześnie orzeł wyszedł i reszka wygrała"* — jak obrazowo (i trafnie) formułuje to prof. Krzysztof Kruszewski, autor tekstu „Jak przyjmować na studia" w „Polityce" (nr 27 — 07.07.84).

„Resort odpowiedzialny za prawne uregulowanie procedury przyjęć na studia — pisze prof. Kruszewski — *jest od wielu lat pod naciskiem żądań tzw. społecznych, by w procedurze tej wprowadzić istotne zmiany. Mimo tego nie zdecydowano się na nie przez wiele lat. Były projekty, badania, studia, ekspertyzy, dyskusje, ankiety — i nic. Dlaczego?"*

Kruszewski jest fachowcem, zatem łatwo znajduje odpowiedź: *„Prawdopodobnie dlatego, że*

OBOWIĄZUJĄCY SYSTEM NIE JEST ZŁY

Na pewno dlatego, że pasuje do realiów gospodarczych i społecznych lepiej niż do zamiarów na przyszłość, więc naturalna byłaby zmiana równoległa egzaminów i realiów szerokiego tła. I chyba dlatego jeszcze że każda z zainteresowanych grup (środowisk) czego innego spodziewa się po egzaminach wstępnych, do innych namawia zmian, czyli — naciski społeczne znoszą się."

Otóż to — konstatacji Kruszewskiego nie sposób odmówić głębokiego sensu. Proponowane przez resort zmiany i ich warianty mają właśnie taki powierzchowny charakter, sięgający co najwyżej do form systemu — nie wnikający zaś w jego cel społeczny, co więcej — nie przewidujący wszystkich skutków wprowadzanych „przeróbek".

Niektóre pomysły autor „Polityki" słusznie ocenia jako nadmiernie fantastyczne, wręcz absurdalne, a zwłaszcza projekt łączenia w jeden egzamin matury i konkursu uczelnianego — jakoby w celu zmniejszenia napięć psychicznych i wyeliminowania stresów. Tu się chyba urzędnicy zagalopowali...

Dla znerwicowanych młodzieniaszków i panienek, których statystycznie pewien procent zawsze znajdzie się w każdej populacji, taniej i efektywniej będzie, gdy zbudujemy odpowiednie sanatoria i lecznice neuropsychiatryczne. Po co zaraz przewracać skuteczne i sprawdzone struktury? A porcja stresu się przyda — w celach odpornościowych, jako szczepionka. Zresztą pokolenia całe wpadały w tryby podwójnych egzaminów — i nic, wszyscy zdrowi...

Nieodmiennie reprezentuję pogląd, że w dziedzinie porządkowania systemu edukacji należy najpierw uporać się z reformą oświaty na szczeblu podstawowym i średnim — i to szybko. Z takiego funkcjonującego już sprawnie nowoczesnego systemu koncepcja reformy rekrutacji i edukacji na studiach wyłoni się

NIE JAK DEUS EX MACHINA

tylko naturalna, logiczna konsekwencja całego systemu narodowego szkolnictwa.

Tymczasem w tym samym numerze „Polityki", na tej samej stronie co artykuł prof. Kruszewskiego znajdujemy krótki tekst o nowych pomysłach w dziedzinie podstawowej oświaty gminnej. Oto — zgodnie zresztą z nową ustawą o radach narodowych — zamiast gminnego dyrektora szkół wprowadzono urzędnika gminnego, podległego bezpośrednio naczelnikowi gminnego inspektora oświaty.

Intencja była jasna — skupić w jednym ręku jak najwięcej dziedzin życia społecznego, dotąd „biegających luzem". Efekt będzie taki — gminny dyrektor szkół, nauczyciel o na ogół wysokich kwalifikacjach merytorycznych, nie tylko administrator, ale mediator, konsultant i autorytet zostanie zamieniony w kiepsko opłacanego zapracowanego (bo mu naczelnik dołoży roboty — jak dwa i dwa cztery) urzędnika — takiego samego jak spec od melioracji, skupu i podatków.

GROZA!

Autor tekstu w „Polityce" Lechosław Gawrecki kończy swój — słuszny! — rejestr obaw paroma szamańskimi zaklęciami: *„Przechodząc do urzędu inspektor nie może odgrodzić się od nauczycieli biurkiem i przepisami, nie może oddalić się od szkoły, nie wolno mu „zurzędniczeć". Musi wciąż czuć się nauczycielem, (...)."*

Gdyby zaklęcia tego typu miały moc materializowania się, byłbym spokojny o dalszy los gminnej oświaty. Ale zaklęcia nabierają ciała tylko w bajkach (na ogół w postaci księcia superman lub królewny — cud dziewicy), co być może jest pomocne na wstępnym etapie edukacji literackiej bachorów z podstawówki, ale w gminie na pewno nie wystarczy.

Szamaństwo w ogóle w rozkwicie, rozwoju i natarciu. Nie wspominam już o biopsychowydrwigroszach, przeciw którym ostatnio padły anatemy w Sejmie, mam na myśli szamaństwo w dziedzinie tzw. psychologii społecznej — a konkretnie formułowanie przykazań: jak wzbudzać postawy społecznie pożądane?

Gwiazda publicystyczna sezonu, specjalista od religii, gospodarki i moralności, czyli Zenon Rudny (z którym nb. zgadzam się w wielu kwestiach, które to zastrzeżenie czynię gwoli jasności) — formułuje w „Tu i Teraz" (nr 27— 04.07.84) katalog grzechów i przykazań w kwestii jakości naszej społecznej i indywidualnej roboty.

Rudny zaczyna od tezy, z którą nie sposób się nie zgodzić:

WSZYSCY JESTEŚMY WINNI

upadkowi gospodarki, wszyscy odpowiadamy za kryzys. Zgoda. Ale co dalej?

Zenon Rudny daje taką receptę: *„Proces uzdrowienia gospodarki należy rozpoczynać nie od „mechanizmów", lecz od kadr kierowniczych. To proste: instrumenty ekonomiczne i wszelkie inne samoczynnie nic funkcjonują — człowiek je tworzy, człowiek nimi steruje. (...). Głównym grzechem kierowników przedsiębiorstw i instytucji jest to, że nie mają gospodarskiego stosunku do zakładów, którymi kierują. Gospodarność, wbrew pozorom, to nie jest kategoria ekonomiczna ani organizacyjna. To kategoria moralna, etyczna. (...) Uzrowienie gospodarki zależy głównie od zmiany stosunku do pracy. Ten zaś — w poważnej mierze — od morale kadry kierowniczej. Aby osiągnąć stan prawidłowy nie są potrzebne jakieś cudowne sposoby. Wystarczy konsekwentnie przestrzegać w państwie kilku zasad. Państwo jest od tego, aby tę konsekwencję zapewnić."*

Jakież tedy są

PRZYKAZANIA ZENONA RUDNEGO

dla narodu, państwa, a kierowników głównie?

Jest ich siedem. Cytuję: *„1. Niezbędny jest jasny system odpowiedzialności. 2. Kontrole NIK oraz resortowe powinny być skuteczniejsze. 3. Sprawa wzorów osobowych: te powinny tworzyć wyższe szczeble dla niższych, organy i funkcjonariusze partyjni dla instytucji i ludzi spoza aparatu. 4. Nomenklatura nie musi oznaczać struktury spetryfikowanej. 5. Punktem odniesienia przy ocenie kadry kierowniczej i działacza gospodarczego nie powinien być „stan wegetacji spółdzielni", na tle którego Bednarczyk urósł do rangi sławnego na całą Polskę menadżera wrakursora systemów motywacyjnych, lecz parametry analogicznych firm zagranicznych. 6. Trzeba potępić model działacza gospodarczego, którego częstym zajęciem jest przebywanie na zebraniach, naradach, konferencjach, sesjach, spotkaniach. 7. Trzeba tworzyć nowe modele w sprawach „drobnych"."* (Tu Rudnemu chodzi o nowe modele zachowań, o społeczne nieaprobowanie czynów nieetycznych, np. *„gdy rozmowa prywatna ze służbowego telefonu stanie się rzeczą wstydliwą".)*

Przypominam — konsekwentne przestrzeganie katalogu przykazań Rudnego ma być zapewnione (czytaj: wymuszone) przez państwo...

Ciekaw jestem, czy Rudny choć w przybliżeniu wyobraża sobie, jak bardzo wzrósłby zasięg ingerencji państwa, które poważnie i odpowiedzialnie potraktowałoby owe postulaty w życie autonomicznych podmiotów gospodarowania i po prostu obywateli. W konsekwencji byłaby to szlachetna, ogarnięta wizją naprawy stosunków społecznych, misją zbudowania nowej Arkadii — ale dyktatura...

Napisałem to, przeczytałem — i ogarniają mnie wątpliwości. A może tak trzeba?

Z ciekawostek naszego życia publicznego do odnotowania mamy ewenement. Oto ogłoszono listę pięciuset największych polskich przedsiębiorstw. Wynika z niej, że

NA CZELE JEST — JAK ZWYKLE — WÓDKA

albowiem pierwsze miejsce bezapelacyjnie zdobył koncern „Polmos" (444,5 miliarda złotych wartości sprzedaży w ubiegłym roku), następną — płocka „Petrochemia" — ma tylko 234,8 mld. Jest to światowy fenomen, gdyż zwykle na takich listach przodują firmy naftowe, samochodowe, lotnicze, komputerowe, chemiczne. A u nas spirytusik... Jak swojsko!

Zygmunt Szeliga, komentujący tę pierwszą polską listę prosperity, zwraca uwagę na kilka jej braków. Przede wszystkim pominięto przemysł górniczy i energetykę, ich obecność zdecydowanie przebudowałaby tę listę. Nie znalazły się na liście nasze stocznie, a przede wszystkim ani jedno przedsiębiorstwo włókiennicze, co jest chyba po prostu fałszerstwem.

A może autorzy tej listy wiedzieli wcześniej to, co nam objawili działacze Stowarzyszenia Włókienników Polskich w rozmowie z przedstawicielem „Przeglądu Technicznego" (nr 27 — 01.07.84).

PRZEMYSŁ LEKKI ZMIERZA DO SAMOUNICESTWIENIA

Wyjście jest jedno: należy inwestować. Ale cudów nie ma i nie będzie. Włókiennicy przeto proponują wyjście pośrednie: np. kupować maszyny używane albo z własnych środków po jednej co roku. A w ogóle to uruchomić mózgi — zaplecze naukowe, postęp techniczny, racjonalizację.

W ogóle klimat ostatnio nie sprzyja używaniu wiedzy nabytej w drodze żmudnego procesu kształcenia. Natomiast ci, którzy usiłują czerpać z tzw. zasobów własnych, sprawiają wrażenie, jakby całą edukację przebyli

SKACZĄC PO GÓRACH

omijając co pokaźniejsze przeszkody.

Dla kolegi Ryszarda Poradowskiego z „Głosu Robotniczego", dla którego nb. mam wiele sympatii i szacunku (nie tylko z powodu obdzielenia go nagrodą im. Henryka „Hendryka" Rudnickiego), taką przeszkodą była łacina niewątpliwie. Oto pisze on („GR" z 04.07.84) o czymś, co w tytule i kilka razy w tekście nazywa „Corpus insriptionum Poloniae"... Insriptionum — zastanawiałem się, co też to znaczyć może. Podejrzewam, że chodzi o słowo „inscriptionum" czyli napisów. Gdzieś zaginęło „c" drogiemu koledze. A przecież mógł sobie co nieco skojarzyć, choćby z taką popularną inskrypcją. Co przypominając, inscribo.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

PRZEZ DWA DNI, 2 I 3 LIPCA, OBRADOWAŁ SEJM PRL

Przyjęto uchwałę o rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej do 1990 roku. Przyjęto również — szeroko dyskutowany — plan rozwoju budownictwa mieszkaniowego do 1990 roku. Dokonano też nowelizacji kilku ustaw. Wśród nich jest ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. W gestii Rady Ministrów pozostało określenie ilości punktów sprzedaży alkoholu powyżej 4,5 proc. zawartości, natomiast poniżej tej granicy ilość punktów będą ustalały wojewódzkie rady narodowe. Może teraz zniknie paradoks, który powoduje że w browarach pełno piwa, a w sklepach i kawiarniach szukać go ze świecą. Browary wpadły na pomysł aby produkować piwo o 5 proc. zawartości alkoholu, co umożliwia handlowanie nim bez uprzednich ograniczeń. Autorom ustawy chyba nie o to chodziło.

Wiele wątpliwości — natury raczej moralnej — budzi fakt, iż alkohol w „Pewexie" będzie można kupować bez ograniczeń, a więc również przed godziną 13. W ten sposób Polacy zostali podzieleni na tych, którzy mogą upijać się bez ograniczeń za dewizy i tych, którzy mogą to robić za złotówki, ale po godzinie 13. Chyba również o to chodzi w całej walce z alkoholizmem.

Z WIZYTĄ W POLSCE

— na zaproszenie rządu PRL — bawiła przewodnicząca Związkowej Rady Wykonawczej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii — **Milka Planinc**. Wizyta ta przyczyniła się do dalszego zacieśnienia współpracy między obu krajami.

RYSZARD PORADOWSKI KOLEJNYM LAUREATEM

wewnątrzredakcyjnej nagrody „Głosu Robotniczego" ufundowanej przez Henryka Rudnickiego. Nagrodę tę przyznaje specjalnie powoływane jury co roku w okresie święta „GR". W tym roku nagrodę otrzymał **Ryszard Poradowski.** Poprzednio laureatami tej nagrody byli: Zygmunt Foltyński, Halina Batorowicz, Krzysztof Spychalski.

Red. Ryszardowi Poradowskiemu składamy serdeczne gratulacje.

POD WZGLĘDEM ILOŚCI TAKSÓWEK JESTEŚMY JUŻ W XXI WIEKU

Doniósł o tym niedawno „Dziennik Łódzki", nie kryjąc jednocześnie, że taksówek jest dużo, ale ludzie nadal wystają godzinami na postojach. Jak się to dzieje? Czy tak będzie wyglądał XXI wiek w taksówkowym świecie? Ładna perspektywa.

Jeśli chodzi o ilość taksówek, to odpowiada ona już teraz planowanej ilości z 2010 roku. Jeśli chodzi o poziom pracy niektórych taksówkarzy, to pochodzi on chyba z dalekiej przeszłości. Warto byłoby, aby odpowiednie władze zainteresowały się tymi taksówkami, które nie jeżdżą po mieście, a ich właściciele z czegoś przecież żyją, albo tymi, które wystają pod hotelami i dworcami, a nie na postojach. Ponoć odbyto już z niektórymi nieuczciwymi taksówkarzami ostrzegawcze rozmowy. Tylko, czy to wystarczy?

SWOJĄ PRZESZŁOŚĆ MA RÓWNIEŻ RUCH MŁODZIEŻOWY

Przy ZL ZSMP działa od lat Komisja Historii Ruchu Młodzieżowego. Komisja ta przy współudziale Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Społecznych wydaje *„Łódzkie Zeszyty Historyczne"*, poświęcone tradycjom i współczesności ruchu młodzieżowego. Ukazały się już 2 numery „Łódzkich Zeszytów Historycznych", datowane za rok 1983. Nakład niewielki, zaledwie tysiąc egzemplarzy.

Zeszyt pierwszy przynosi artykuł **Wiesława Wolskiego,** poświęcony 40 rocznicy powstania ZWM oraz artykuły **Andrzeja Lecha i Stanisława Gajka** o ZMS w Łodzi. **Danuta Tomaszewska** pisze o roli marksizmu w samokształceniu się młodzieży, a **Edmund Lewandowski** prezentuje postawy współczesnej młodzieży. **Eugeniusz Żyszkiewicz** pisze natomiast o współdziałaniu i pomocy KŁ PZPR dla łódzkiej organizacji ZMS.

Zeszyt drugi otwiera artykuł **Edmunda Lewandowskiego** o kształtowaniu się świadomości historycznej młodzieży, a **Marian Wilk** pisze o młodzieży rosyjskiej w 1917 roku. **Michał M. Fajbusiewicz** prezentuje natomiast początki ZMS na Górnej.

W dziale zatytułowanym „Materiały" na uwagę zasługuje rozmowa **Stefana M. Krakowskiego z A. Woźniakiem** o powstaniu „Służby Polsce" oraz wspomnienia poświęcone wiciarzom z Godzianowa. **Beata Janusz** i **Maciej Kozłowski** przedstawiają natomiast motywy i oczekiwania studentów związane z podjęciem studiów wyższych.

W obu zeszytach „Łódzkich Zeszytów Historycznych" Czytelnik znajdzie sporo informacji, komunikatów i recenzji.

Zainteresowanych informujemy, że redakcja mieści się w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej 262, tel. 36-55-61.

W TRANSPORCIE SAMOCHODOWYM ŹLE SIĘ DZIEJE

— stwierdzono na podstawie kontroli przeprowadzonych od 4 lutego do końca kwietnia 1984 roku. Takie kontrole przeprowadzono w 15 województwach oraz na głównych drogach kraju. Interesowano się przede wszystkim przestrzeganiem prawa. Okazało się, że w transporcie ciężarowym — bo ten głównie kontrolowano — przepisy nie są przestrzegane. Stwierdzono przypadki kradzieży, spekulacji, marnotrawstwa. Wyniki kontroli zostaną przedstawione Komitetowi Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej. Stwierdzone nieprawidłowości i naruszenia prawa narażają gospodarkę krajową na ogromne straty. Z analizy wyników kontroli wynika, że niezbędne będą radykalne posunięcia. Jakie? — zadecyduje o tym Komitet RM.

TELEWIZJA UJAWNIŁA

że jedna czwarta mebli dostarczanych do stołecznych magazynów handlowych nie może być skierowana do sprzedaży z powodu wręcz skandalicznych braków. Nie jest to jedyny przykład nieliczenia się z wymaganiami norm jakości. Wśród producentów meblowych bubli znalazły się między innymi Piotrkowskie Zakłady Mebli w Piotrkowie Trybunalskim.

A. B. SEKATOR

Dokończenie ze strony 1

juszniczych. Na wiecu protestacyjnym przeciwko zbrodniom reakcji, w październiku 1944 r., Władysław Gomułka mówił:

„Tym, którzy wpychają broń do rąk ślepych morderców, śni się Polska sanacyjno-ozonowa, Polska Becków, Śmigłych i Składkowskich. Śni im się Polska, w której wartość człowieka i obywatela mierzona była tytułem księcia-pana, tytułem hrabiego obszarnika, kiesą bankiera, zbitą na krwi i pocie tysięcy i milionów najemnych niewolników".

Po udźwignięciu kraju ze zniszczeń wojennych, władze rewolucyjne postanowiły stworzyć silny przemysł opierając się głównie na własnych siłach i zasobach. Nowe zakłady uspołecznione miały tworzyć fundamenty przyszłego ustroju socjalistycznego. Idealizowano przy tym klasę robotniczą, niecierpliwie skracano perspektywę historyczną i wierzono w rychłe urzeczywistnienie raju dla mas ludowych. A tymczasem trzeba było liczyć się z zastanymi nawykami, potrzebami i wadami społeczeństwa. Do budowanych fabryk napływali często ludzie o cechach, jak w znanym poemacie:

„Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą
zbudować hutę, wyczarować miasto,
wykopać z ziemi nowe Eldorado,
armią pionierską, zbieraną hałastrą
tłoczą się w szopach, barach, hotelach,
człapią i gwiżdżą w błotnistych ulicach:
wielka migracja, skudlona ambicją,
na szyi sznurek — krzyżyk z Częstochowy,
trzy piętra wyzwisk, jasieczek puchowy,
maciora wódki i ambit na dziewki,
dusza nieufna, spod miedzy wyrwana,
wpół rozbudzona i wpół obłąkana,
milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki,
wypchnięta nagle z mroków średniowiecza
masa wędrowna, Polska niezłowiecza
wyjąca z nudy w grudniowe wieczory...".

W gigantycznym przedsięwzięciu cywilizacyjnym nie mogło obyć się bez błędów i wypaczeń. W historii PRL zmarnowano, niestety, wiele szans, sił i środków, skrzywdzono tysiące osób. Sporo początkowych zapaleńców straciło wiarę w ideały i sens socjalizmu, niektórzy przeszli nawet do opozycji. Przypominają się tu znowu słowa poety:

„Przybiegli, wołali:
w socjalizmie
skaleczony palec nie boli.
Skaleczyli sobie palec.
Poczuli.
Zwątpili".

TYLKO 40 LAT?

Począwszy od 1950 roku w rozwoju gospodarczym Polski można (za A. Karpińskim) wyróżnić trzy cykle, z których każdy składa się z dwóch etapów: 1) przyspieszonego wzrostu, oraz 2) kryzysu i przywracania równowagi ekonomicznej. Okresy przyspieszenia mieliśmy w latach 1950—53, 1959—64 i 1971—76. Natomiast z kryzysem zmagaliśmy się w latach 1954—58, 1965—70 i od 1977 roku. Trzeba chyba na tej podstawie wyciągnąć wniosek, że nie warto zbytnio się spieszyć; lepiej — jak uczył Lenin — robić mniej, ale lepiej...

Powojenna industrializacja głęboko przeobraziła strukturę społeczeństwa i umożliwiła powszechny wzrost poziomu życia. Aktualnie co drugi obywatel należy do klasy robotniczej, co czwarty do warstwy pracowników umysłowych, co piąty jest chłopem, co dwudziesty drobnym właścicielem w mieście. Polska stała się krajem silnie uprzemysłowionym i zurbanizowanym. W miastach mieszka już 60 proc. ogółu ludności. Zniknęły tradycyjne, zacofane, biedne wsie. Społeczeństwo nasze, mimo poważnego kryzysu, jest dobrze odżywione i nieźle ubrane. Ale co z tego, kiedy ludzie wciąż są niezadowoleni? W pomyślnych latach przedkryzysowych wcale nie było mniej narzekań niż dziś. Często można odnieść wrażenie, że najbardziej nieszczęśliwi są ci, którym wiedzie się najlepiej. Widać nie opanowaliśmy jeszcze odpowiedniej sztuki życia.

W porównaniu z okresem międzywojennym najwięcej zyskały w Polsce Ludowej dwie kategorie społeczne: dzieci i młodzież. Młodzież współczesna stanowi przykład ogromnego awansu oświatowego. W przedziale wieku 20—24 lat 60 proc. ukończyło co najmniej szkołę średnią, aż co dziesiąta osoba ma wykształcenie wyższe oraz także co dziesiąta niepełne wyższe. Zupełnie inaczej wygląda to w najstarszym pokoleniu, gdzie skromny odsetek przekroczył próg szkoły podstawowej. W 1946 roku Polska miała tylko 60 tys. osób z wyższym wykształceniem, 7 tys. inżynierów, 7700 lekarzy. Obecnie zaś dyplom wyższej uczelni ma półtora miliona osób, liczba inżynierów sięga 350 tys., a lekarzy 70 tysięcy. Kto dziś pamięta, że budowę nowego społeczeństwa trzeba było zaczynać od wielkiej akcji kształcenia analfabetów, którzy obejmowali jedną piątą ludności.

W maju 1948 r. Sekretariat KC PPR uchwalił podjęcie działań w kierunku zwiększenia na studiach udziału młodzieży robotniczej i chłopskiej do 50 procent. Dzięki różnym kursom i ułatwieniom, wśród powojennych absolwentów szkół wyższych osoby pochodzące z tych dwóch klas stanowią ponad połowę. Szanse awansu edukacyjnego dzieci robotniczo-chłopskich zmalały dopiero w ostatnich latach, co przede wszystkim wynika z ich odmiennych aspiracji.

U progu lat osiemdziesiątych inteligencja w pierwszym pokoleniu stanowiła dwie trzecie kierowników i dyrektorów z wyższym wykształceniem. Pochodzeniem robotniczym legitymowało się 38 proc. kadry zarządzającej, a chłopskim 27 proc. Tak więc władza miała rzeczywiście ludowy rodowód.

Za czasów władzy ludowej Polska uczyniła olbrzymi krok naprzód w rozwoju gospodarczym, społecznym i kulturalnym. Ale świat też nie stał w miejscu, dlatego względna pozycja naszego kraju między rokiem 1950 a 1984 — pod względem wielkości dochodu narodowego — zasadniczo się nie zmieniła. Mamy 0,8 proc. ludności świata i wytwarzamy 1 proc. produktu (GDP) światowego. Musimy oczywiście wierzyć, że stać nas na więcej, lecz nie wolno wpadać w panikę z powodu błędów i zmarnowanych możliwości. Najważniejsze wszak, że nadążamy za światem. Historia Polski Ludowej pokazała, że rządy wywodzące się z ludu potrafią zapewnić niezłą dynamikę wzrostu gospodarczego, a poza tym zdecydowanie lepiej dbają o interesy narodu i państwa niż elita ziemiańsko-burżuazyjna.

CZY CIĄŻY NAD NAMI PRZESZŁOŚĆ?

W ciągu ostatnich 40 lat gruntownie przeobraziła się struktura społeczeństwa polskiego, ale wciąż utrzymują się pewne ujemne cechy narodu. Ciążą one jak zmora na umysłach i postawach oraz hamują rozwój kraju. Jeśli chcemy skutecznie ścigać się w postępie cywilizacyjnym, musimy odmienić się wewnętrznie.

Sto lat temu odwiedził Warszawę pisarz i publicysta duński Georg Brandes. Był on dobrze zorientowany w naszej historii i kulturze oraz niezwykle przychylnie nastawiony wobec Polski i Polaków. Na podstawie własnych studiów i obserwacji przedstawił bardzo interesującą charakterystykę naszego narodu, która wydaje się być nadal aktualna. Pisał następująco:

„Naród zapalny i niepraktyczny, żywy i lekkomyślny, naród, który czuje wstręt do wytężonej i długotrwałej pracy i zawsze miał pociąg do wszelkich silnych i subtelnych rozkoszy, tak zmysłowych jak i duchowych, ale który przede wszystkim kochał niepodległość, aż do szaleństwa, wolność do liberum veto i który do dziś, po utracie niepodległości i wolności, pozostał wiernym tym swoim ideałom. (...) Tego rodzaju młodociany a nawet dziecinny entuzjazm nie jest z pewnością cechą dodatnią w wielkiej walce o byt, która się toczy pomiędzy ludami w obecnych czasach wielkiego przemysłu i militaryzmu. Zazwyczaj cechy te nie idą w parze z oszczędnością, przedsiębiorczością, karnością, umiarkowaniem i mieszczańską roztropnością, słowem z przymiotami, na których gruntuje się byt zarówno jednostek jak państw".

Zdaniem Brandesa z dawniejszych opinii wynika że Polacy są odważni i szlachetni, lecz próżni, uparci i skłonni do kłótni, że nie umieją gospodarzyć, łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, rozpraszają się, marnują czas i zdolności.

„Polak — czytamy dalej — *w ogóle nie jest stworzony na obywatela państwa. Zarówno ekonomiczny jak i polityczny zmysł jest w Polsce słabo rozwinięty".*

Według autora duńskiego naród nasz ma dwa hymny, które najlepiej wyrażają jego charakter: pierwszym jest pieśń Wybickiego „Jeszcze Polska nie zginęła", a drugim chorał Ujejskiego „Z dymem pożarów". W innym miejscu pisze:

„Jakoś to będzie — mawiają Polacy, jakoś się to ułoży; charakterystyczne to słowa dla tego kraju bezładu".

Wszystkie przytoczone cytaty pochodzą z książki pt. „Polska", wydanej w 1898 r. we Lwowie, w której tłumacz przyznaje w przedmowie, że autor wiernie oddał istotę polskości.

W różnych opiniach, własnych i cudzych, powtarza się teza, że jesteśmy infantylnym narodem błędnych rycerzy, który abstrahuje od prozy życia, wiecznie buja w obłokach, bardziej kieruje się emocjami i złudnymi nadziejami, niż rozsądnymi kalkulacjami. Niektórzy powiadali, że wszyscy Słowianie są tacy, że jest to dowód ich historycznej młodzieńczości. Jeden z bohaterów Sienkiewicza tłumaczy sobie wszystko tym, że Słowianie to *„najmłodsi z Ariów"* i stąd u nich brak równowagi serca i rozumu; inny zaś akceptuje określenie *„słowiańska improduktywność życiowa"* (l'improductivité slave).

CZYŻBY HISTORYCZNA ROLA SŁOWIAN?

Jeśli prawdą jest twierdzenie o młodzieńczych cechach Słowian, a w tym i Polaków, to być może właśnie nasze narody odegrają najważniejszą rolę w dalszym postępie światowym — tym bardziej, że są obecnie zjednoczone i pilotują nowy ustrój społeczny. Warto przytoczyć tu zabawną, lecz prorocza interpretację kabalistycznej zagadki Adama Mickiewicza, jaką zaprezentował przed wojną generał Lucjan Żeligowski. Otóż w styczniu 1939 roku zakomunikował z dumą historykowi prof. Januszowi Pajewskiemu, iż rozwiązanie jest proste: *„W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku połączy się sławiaństwo"*. Nic więc dziwnego, że później słynny zdobywca Wilna zgłosił swój akces do PKWN.

Osobiście mocno wierzę w pomyślne perspektywy społeczno-historyczne Polski i Europy wschodniej. Zakładam jednak, że musimy się jeszcze sporo uczyć na własnych błędach, lepiej wykorzystywać doświadczenia innych i zdobyć cnotę cierpliwości. Musimy też być bardziej samokrytyczni i poszukiwać zła w nas samych. Nie zaszkodzi przy tym pamiętać mądrych słów z Koranu:

„Nie zmieni Bóg niczego, co w narodzie, dopóki oni sami nie zmienią tego, co w nich".

EDMUND LEWANDOWSKI

Zmiany oblicza społecznego Polski (2)

Tylko czterdzieści lat

Stanisław Szwalbe wspomina narodziny Polski Ludowej

— Działaczem politycznym byłem tylko w okresach niezwykłych: podczas pierwszej wojny światowej, tuż po niej, w czasie okupacji i w pierwszych latach po drugiej wojnie. Pozostałe lata mojego życia zawodowego spędziłem na pracy w ruchu spółdzielczym. Dziś wiem, że to mi bardziej odpowiadało. Nie uznaję wielu metod walki politycznej, z jakimi się nieraz spotkałem. Nie są one do pogodzenia z zasadami przeze mnie wyznawanymi: niesieniem pomocy innym uczciwością, współdziałaniem z ludźmi. Sądzę, że to sprawa wychowania, wartości wyniesionych z domu, doświadczeń itp.

Byłem działaczem, który uważał, że rozstrzyganie trudnych spraw musi wielokrotnie opierać się na kompromisie. I nieraz wtedy, kiedy był potrzebny kompromis, „wciągano" mnie do polityki. A kiedy był niepotrzebny lub niepożądany — rezygnowano. Albo sam się odstawiałem.

Jestem więc spółdzielcą i jestem socjalistą. Od lat studenckich, można powiedzieć. Do konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej wstąpiłem w 1916 roku. Mieliśmy na Uniwersytecie Warszawskim organizację „Promienistych" („Filarecką"). Większość studentów z tej organizacji to byli lewicowcy. Wśród nich — Jan Wolski, późniejszy organizator spółdzielczości pracy. On zainteresował mnie wykładami prof. Abramowskiego. Zacząłem działać w spółdzielczości. To była dziedzina, która mnie pochłaniała w całym okresie międzywojennym.

Okupację spędzałem w Warszawie. Byłem prezesem Społecznego — spółdzielczego — Przedsiębiorstwa Budowlanego i konspiracyjnie, działaczem RPPS. Sytuacja polityczna w krajowym podziemiu była mniej nie była prosta. Działał rząd w Londynie, społeczeństwo polskie żyło rozmaitymi „księżycowymi" nadziejami. Ogromna jego część wierzyła, że Zachód będzie miał decydujący głos w sprawach Polski. Mała grupa socjalistów, do których należałem, uważała, że to złudzenie. Po bitwie stalingradzkiej stało się dla nas jasne, że Związek Radziecki będzie rozstrzygał o sytuacji w Polsce. Dość szybko my, jako socjalistyczna wówczas lewica, doszliśmy do przekonania, że teoria dwóch wrogów nie ma sensu. Każde z rozwiązań, o których się wówczas wiele mówiło, wydawało nam się gorsze od dogadania się ze Związkiem Radzieckim. Po pierwsze — dlatego, że Rosjanie będą o naszych losach w zasadzie decydować. Po drugie — sprzyjają oni niezależnie od popełnionych błędów, reformom społecznym. A uważaliśmy jako socjaliści, że reformy są konieczne i niezbędne. Szybkie reformy. Że powinno się stworzyć tymczasową władzę w Polsce, władzę, która będzie do przyjęcia również z radzieckiego punktu widzenia. Uznaliśmy, że inicjatywa PPR stworzenia takiej władzy jest słuszna.

Koncepcja Krajowej Rady Narodowej nie była polskim wynalazkiem. W całej Europie powstawały fronty jedności narodowej: w Czechosłowacji, Bułgarii, Grecji, Francji i innych. Był to, można powiedzieć, pomysł ogólnoeuropejski. Forma KRN została pomyślana, w moim przekonaniu, już w 1943 r. przez Bolesława Bieruta. Zgłosił się do mnie w tej sprawie wkrótce po powrocie do kraju ze Związku Radzieckiego. Znaliśmy się przecież bardzo dobrze z pracy w spółdzielczości. Między innymi przed wojną opiekowałem się jego rodziną w latach, kiedy siedział w więzieniu. Zapytał też, kto by chciał z nim współpracować. Wskazałem na Edwarda Osóbkę-Morawskiego. Znali się z Bierutem z Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Ale chodziło też o innych działaczy społecznych.

Krajowa Rada Narodowa miała być zastępczym parlamentem. Powinna więc reprezentować rozmaite odłamy społeczeństwa. Szukaliśmy gwałtownie sojuszników. Grupy PPR oraz lewicowych socjalistów były mniejsze — w porównaniu ze zwolennikami rządu londyńskiego. Przeprowadziliśmy dziesiątki rozmów. Szukaliśmy sojuszników wśród inteligencji pracującej, wśród bezpartyjnych, niekoniecznie zwolenników socjalizmu, nie mówiąc o komunizmie, lecz tych, którzy zechcą pracować w nowych warunkach, nawet nie angażując się politycznie. Dzięki temu na przykład spółdzielcy, w ogromnej części prolondyńscy, zwolennicy tak zwanej neutralności politycznej ruchu spółdzielczego, stanęli po wojnie do pracy.

Przygotowaniami do pierwszego posiedzenia KRN zajęli się przedstawiciele PPR i RPPS: Władysław Gomułka, Bolesław Bierut, Franciszek Jóźwiak, Ignacy Loga-Sowiński i Edward Osóbka-Morawski. Ostateczny skład uczestników pierwszego posiedzenia konspiracyjnej Rady ustalili: Osóbka-Morawski, Bierut i Gomułka. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, nie uczestniczył w nim ani Gomułka, ani ja, ani Stanisław Tołwiński. Nie mogło w jednym lokalu zebrać się całe kierownictwo KRN — było to zbyt niebezpieczne. Miałem oczywiście szczegółowe informacje z przebiegu posiedzenia. Uczestnictwo w nim nie miało w gruncie rzeczy decydującego znaczenia. Z góry już ustaliliśmy, że przewodniczącym podziemnej Krajowej Rady Narodowej będzie Bierut, a wiceprzewodniczącym — Osóbka-Morawski.

„Administrację" Rady prowadziło PPR. Jej kierownictwo miało do tego odpowiedni aparat, byli lepiej od nas zorganizowani. RPPS miała w tym czasie szczególnie trudną sytuację. Usunięto ją z Komitetu Doradczego przy Delegaturze Rządu Londyńskiego. Związek Patriotów Polskich zaś dbał o kontakty z PPR. Ale PPS miała tradycyjne znaczne wpływy w Polsce. Powiedział kiedyś do mnie Józef Stalin: *„Ja wiem, że PPS ma w Polsce wielu zwolenników, więcej niż PPR"*. Byliśmy potrzebni.

Konspiracyjna KRN obradowała w Warszawie 31 grudnia 1943 r. Tego samego dnia przyszło do mojego domu gestapo. Nie zastali mnie. Byłem uprzedzony, uciekłem. Mieszkałem w czasie wojny na Żoliborzu. Poprzedniej nocy przyszli do Spółdzielczego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Zrobili rewizję, zabrali dwóch moich współpracowników: Helenę Jabłkowską i Jana Bobeszkę. Podczas rewizji u Bobeszków tłumacz zapytał:

„Czy pan zna dyrektora Szwalbe?"

„Trudno żebym nie znał, pracujemy razem" — odpowiedział zapytany.

Tłumacz na to: *„Bo my się do niego też wybieramy"*.

Chciał mnie prawdopodobnie ostrzec. Moi współpracownicy zostali aresztowani, później — rozstrzelani. Ale Bobeszkowa zostawili. Przybiegła zaraz do mnie. Tego samego dnia wyjechałem do Krakowa.

Tropili mnie jednak przez cały czas okupacji. Dyrektorem Banku Centralnej Kasy Spółek Rolniczych był w Krakowie Edward Drożniak, późniejszy prezes Narodowego Banku Polskiego, a potem — ambasador PRL w Waszyngtonie. Przyszedł kiedyś do niego komisarz hitlerowski przy „jego" instytucji i powiedział:

„My wiemy, że tu się kręci przedstawiciel KRN".

Ale nie wiedzieli kto.

W dzień przed wyzwoleniem Krakowa do oddziału SPB przyszło „polowe gestapo" z nakazem aresztowania mnie, Stanisława Tołwińskiego i Wojciecha Piróga. (Kierownictwo SPB). Zdążyliśmy się jednak ukryć.

Wojna jeszcze trwała, a my znów rozpoczęliśmy rozmowy o władzy, froncie narodowym, porozumieniu. Konspiracyjna KRN to był kadłub, który stopniowo obrastał. Powoływano do Rady przedstawicieli nowo wyzwolonych województw: białostockiego, lubelskiego, rzeszowskiego. Do Lublina przyjechało wiele osób powracających z Moskwy: Jakub Berman, Roman Zambrowski, Edward Ochab. Przystępowali do Rady PPS-owcy, nie tylko z lewicowego skrzydła. Stronnictwo Demokratyczne. Spółdzielczość. KRN w Lublinie liczyła już ok. 100 członków. Ale jej kierownictwo prowadziło dalsze rozmowy i poszukiwania ludzi. Ze swej strony pamiętam zwłaszcza dwie.

Zasadniczą rozmowę z Wincentym Witosem w sprawie jego wejścia do KRN przeprowadziłem w 1945 roku. Witos uważał, że nie można liczyć na Zachód. Był po Monachium w Czechosłowacji, widział jej rozbiór. Francja miała z Czechosłowacją pakt obronny, a jednak nie pomogła sojusznikowi. Na propozycję wejścia do KRN odpowiedział:

„Pan wie, że nie kocham bolszewików, ale to siła, która tutaj jest, z którą trzeba się dogadać. Moje wejście do KRN uzależniam od dwóch czynników. Po pierwsze — muszę się naradzić z przyjaciółmi politycznymi. Po drugie — muszę wyzdrowieć".

Ale nie wyzdrowiał, wkrótce umarł. Rządy w stronnictwie objął Stanisław Mikołajczyk, który był politykiem nierealistycznym. Przegrał.

W jednym z pierwszych samolotów powrócił w 1945 r. z Londynu do Warszawy Stanisław Grabski. Stworzył się wówczas Rząd Jedności Narodowej. Zapytałem byłego ministra oświecenia, którego nazywaliśmy ministrem zaciemnienia:

„Czemu pan przyjechał do lubelskiego czerwonego rządu?".

Odpowiedział:

„Nie jestem komunistą i nie jestem socjalistą. Ale jestem człowiekiem, który przez wiele lat walczył w obozie narodowym o ziemie zachodnie. Uważam, że mogliśmy je odzyskać tylko poprzez ugodę z ZSRR. A tę ugodę mogli przeprowadzić wyłącznie ludzie zorganizowani wokół lewicy".

Został wiceprezydentem — jako bezpartyjny.

Pierwsze legalne posiedzenie KRN odbyło się w Warszawie, w sali Romy, 3 maja 1945 roku. Parlament składał się wówczas z 444 posłów. W ich gronie była także opozycja: był Mikołajczyk i Popiel, PSL i Stronnictwo Pracy.

Bierut zagajając, powiedział: *„Nie przypadkiem wybraliśmy datę 3 maja na otwarcie posiedzenia tymczasowego parlamentu polskiego. Chcemy nawiązać do szczytnych tradycji polskiego parlamentaryzmu".*

Roboczo pracowaliśmy nieraz jako tak zwana szóstka: trzech przedstawicieli PPR i trzech przedstawicieli PPS. Najczęściej byli to: z PPR — Gomułka, Berman i Zambrowski, albo rzadziej, Hilary Minc; z PPS — Osóbka-Morawski, ja i Oskar Lange lub Adam Rapacki. Nie zawsze mieliśmy w tym gronie jednomyślne zdanie. A właściwie z biegiem lat, mieliśmy je coraz rzadziej. W takich sprawach, jak bitwa o handel, stosunek do opozycji politycznej ustępowaliśmy. Uważałem bowiem ciągle, że sojusz wszystkich sił lewicy jest niezbędny.

Do dziś zresztą uważam za swój największy sukces polityczny działalność właśnie w pierwszych latach jednolitego frontu, pierwszych latach KRN. Byłem wicemarszałkiem parlamentu i przewodniczącym Rady Naczelnej PPS. Nie przewidywałem jednak tego, co się stało później. Nie przewidziałem okresu błędów i wypaczeń. Być może świadczyło to o mojej naiwności politycznej. Często słyszę podobne zarzuty. I chyba trochę się z nimi zgadzam. Największą moją porażką polityczną było właśnie to, że źle przewidziałem.

Zrezygnowałem z przewodnictwa w RN PPS na kilka miesięcy przed zjednoczeniem partii. Odbyło się pamiętne posiedzenie Rady Naczelnej PPS.

Bierut powiedział mi później: *„Ty się w ogóle nie nadajesz do czasów, jakie nadejdą"*.

I chyba miał rację.

W Sejmie dotrwałem na „stołku" wicemarszałka do końca kadencji, do 1951 roku. Ale nie miałem już żadnych wpływów politycznych. Zajmowałem się administracją, odbudową gmachu Sejmu. Przed posadzeniem uchroniła mnie chyba tylko osobista, stara przyjaźń z Bierutem. Gdy odchodziłem z Sejmu Roman Zambrowski zapytał mnie, jak sobie wyobrażam dalszą przyszłość. Powiedziałem:

„Chciałbym zostać dziennikarzem".

A on na to: *„Tak źle w Polsce jeszcze nie jest, aby sławny wicemarszałek musiał być dziennikarzem"*.

Wróciłem do spółdzielczości — po raz pierwszy nie tylko jako działacz, ale etatowy członek kierownictwa.

Notowała:
BOŻENA WAWRZEWSKA

ILJA ERENBURG

Anarchiści tworzą „Nowy Porządek"

O anarchizmie napisano już dużo. O tym, jak anarchiści próbowali wcielać w życie swoje idee, pisano raczej mało. Ilja Erenburg, który jako paryski korespondent „Izwiestii", był w Hiszpanii w czasie wojny domowej, nie tylko poznał Buenaventurę Durratiego — przywódcę hiszpańskich anarchistów, ale też miał sposobność przyglądania się praktycznym poczynaniom anarchistów i widział różne skutki tego. Opisał to w IV tomie wspomnień „Ludzie, lata, życie". Fragmenty rozdziału poświęconego anarchistom prezentujemy naszym Czytelnikom. Tytuł rozdziału pochodzi od redakcji.

Wy tam w Rosji macie normalne państwo, a nam chodzi o wolność — powiedział mi wartownik w czerwono-czarnej koszuli, sprawdzając moją przepustkę — *my chcemy wprowadzić wolny komunizm.*

„Comunismo libertário" — słowa te do dziś brzmią mi w uszach, tyle razy je słyszałem jak wyzwanie, jak przysięgę.

Pragnąc wytłumaczyć niezrozumiałe czasem postępowanie anarchistów niektórzy mówili, że w ich kolumnach pełno jest bandytów. Ani słowa, do szeregów anarchistów przenikali pospolici złoczyńcy, bywalcy spelunek złodziejskich — partia, będąca przy władzy, zawsze przyciąga nie tylko ludzi uczciwych, ale i łotrów: w owych zaś czasach każdy mógł oznajmić, że jest anarchistą. We wrześniu 1936 roku, kiedy byłem w Walencji przyjechała tam setka bojowników z anarchistycznej „Żelaznej Kolumny", stojącej pod Teruelem. Anarchiści oświadczyli że dowódca ich poległ podczas bitwy i nie wiedzą, co mają robić W Walencji znaleźli zajęcie — spalili archiwa sądowe i usiłowali przedostać się do więzienia, żeby uwolnić kryminalistów, wśród których z pewnością mieli przyjaciół.

Ale nie chodziło o przestępców kryminalnych. Na jesieni 1936 roku CNT obejmowało trzy czwarte robotników Katalonii. Przywódcy CNT i FAI byli to robotnicy i w przeważającej większości ludzie uczciwi. Sęk był w tym, że potępiając dogmatyzm sami w istocie byli zacietymi dogmatykami, usiłowali nagiąć życie do swoich teorii.

Najmądrzejsi z nich dostrzegali przepaść dzielącą porywające broszury od rzeczywistości, musieli doraźnie, pod gradem bomb i pocisków, wprowadzać zmiany w modelu, który jeszcze wczoraj wydawał się im bezsporny.

Z Durrutim zawarłem znajomość w 1931 roku. Spodobał mi się od razu. Żaden chyba pisarz nie ważyłby się go opisać — jego życie nazbyt przypominało powieść sensacyjną. Ten robotnik — metalowiec od wczesnej młodości poświęcił się walce rewolucyjnej, bił się na barykadach rzucał bomby, dokonywał napadów na banki, porywał sędziów, trzy razy był skazany na śmierć — w Hiszpanii, w Chile i w Argentynie; poznał dziesiątki więzień, osiem krajów, jeden po drugim, deportowało go. Kiedy w lipcu rebelianci usiłowali zająć Barcelonę, Durruti poprowadził przeciwko nim robotników CNT

Jeszcze na początku września, a może pod koniec sierpnia pojechałem z Karmenem i Makasiejewem na stanowisko dowodzenia Durrutiego. Marzył wtedy o zdobyciu Saragossy. Stanowisko dowodzenia znajdowało się na brzegu rzeki Elbro. Opowiedziałem swoim towarzyszom, że znam Durrutiego, liczyli więc na gościnne przyjęcie. Ale Durruti wyjął z kieszeni rewolwer i oświadczył, że w artykule o powstaniu asturyiskim oszkalowałem anarchistów, wobec czego zaraz mnie zastrzeli. Nie miał zwyczaju ciskać słów na wiatr. „Jak sobie życzysz — powiedziałem — ale dziwne masz pojęcie o prawach gościnności". Durruti był oczywiście anarchistą, na dobitkę człowiekiem porywczym, ale był także Hiszpanem, więc się zmieszał: *„Dobrze, w tej chwili jesteś moim gościem, ale za artykuł kula cię nie minie. Nie tutaj, w Barcelonie"*

Ponieważ zgodnie z prawami gościnności nie mógł mnie zabić, zaczął piekielnie wymyślać, wrzeszczał, że Związek Radziecki nie jest wolną komuną, lecz najautentyczniejszym państwem, biurokratów tam bez liku i nic w tym dziwnego, że go deportowano z Moskwy.

Karmen i Makasiejew czuli, że dzieje się coś niedobrego, zwłaszcza, że nagle ukazanie się rewolweru nie wymagało tłumaczenia. Ale po godzinie powiedziałem im: „Wszystko w porządku. Durruti zaprasza nas na kolację".

Przy stolikach siedzieli bojowcy, niektórzy w czerwono-czarnych koszulach, inni w granatowych kombinezonach, wszyscy z ogromniastymi rewolwerami, jedli, pili wino, śmiali się; nikt nie zwracał uwagi ani na nas, ani na Durrutiego. Jeden z bojowców roznosił jedzenie, dzbany wina, obok talerza Durrutiego postawił butelkę wody mineralnej. Zażartowałem: „Mówiłeś że u ciebie tu panuje idealna równość, ale wszyscy piją wino, a tylko tobie przyniesiono wodę mineralną" Nie spodziewałem się wrażenia, jakie te słowa zrobią na Durrutim. Zerwał się, wrzasnął: *„Zabierzcie to! Dajcie mi wody ze studni! Oni wiedzą, że nie mogę pić wina, więc zdobyli gdzieś skrzynkę wody mineralnej. Oczywiście, że to skandal, masz rację..."* Jedliśmy w milczeniu, naraz Durruti powiedział: *„Trudno wszystko od razu zmienić. Co innego zasady, a co innego — życie..."*.

W nocy poszliśmy z nim na inspekcję stanowisk. Słychać było okropny łoskot — przeciągała kolumna samochodów ciężarowych. *„Dlaczego nie pytasz mnie po co te ciężarówki?"* — odezwał się Durruti. Odpowiedziałem, że nie chce wypytywać o tajemnice wojskowe. Roześmiał się: *„Cóż to za tajemnica, skoro wszyscy o tym wiedzą — jutro rano przekroczymy Ebro, rozumiesz!.."* Po kilku minutach znów zaczął: *„A nie pytasz, dlaczego postanowiłem forsować rzekę?"* „Widocznie tak trzeba — powiedziałem — ty wiesz najlepiej, przecież dowodzisz kolumną" Durruti roześmiał się: *„Nie chodzi o strategię. Wczoraj z terytorium faszystowskiego przybiegł chłopaczek, może dziesięcioletni, pyta: „Dlaczego nie atakujecie? U nas w wiosce wszyscy się dziwią — czyżby Durruti stchórzył? Rozumiesz, jeśli dziecko mówi coś takiego, to widocznie cały naród zadaje to pytanie Czyli trzeba przejść do natarcia. A strategia jakoś się dostosuje"*.. Spojrzałem na jego wesołą twarz i pomyślałem: ależ sam jesteś dzieckiem.

Potem byłem kilka razy u Durrutiego. Jego kolumna liczyła dziesięć tysięcy bojowników. Durruti nadal wierzył niezłomnie w swoje idee, ale nie był dogmatykiem, musiał więc dzień w dzień czynić ustępstwa wobec rzeczywistości. On pierwszy wśród anarchistów zrozumiał, że bez dyscypliny walczyć niepodobna; mówił z goryczą: *„Wojna to świństwo, burzy nie tylko domy, ale i najszczytniejsze zasady"*. Przed swoimi żołnierzami nie przyznawał się do tego.

Pewnego razu kilku żołnierzy opuściło punkt obserwacyjny. Znaleziono ich w najbliższej wiosce, gdzie spokojnie popijali wino. Durruti szalał: *„Nie rozumiecie, że plamicie honor kolumny? Dawajcie tu wasze legitymacje CNT"*. Winowajcy z całym spokojem wyciągnęli z kieszeni legitymacje związkowe; wprawiło to Durrutiego w jeszcze większą furię. *„Nie anarchiści z was, tylko łajno! Wypędzę was z kolumny, odeślę do domu"*. Przypuszczalnie chłopakom o to właśnie chodziło, zamiast więc zaprotestować, odpowiedzieli: *„Dobrze"*. *„A czy wiecie, że macie na sobie odzież, która należy do ludu? Ściągajcie portki..."*. Bojowcy rozebrali się spokojnie. Durruti kazał odprowadzić ich do Barcelony w samych tylko kąpielówkach: *„Niech wszyscy widzą, że to nie anarchiści tylko najprawdziwsze łajno..."*.

Rozumiał, że w obliczu faszyzmu nie wolno spierać się o zasady, opowiedział się więc za układem z komunistami, z Esquerrą, napisał odezwę, w której pozdrawiał robotników radzieckich. Kiedy faszyści zbliżyli się do Madrytu, doszedł do wniosku, że miejsce jego jest na najniebezpieczniejszym odcinku: *„Pokażemy, że anarchiści potrafią walczyć..."*.

Rozmawiałem z nim w wigilię jego wyjazdu do Madrytu. Był jak zawsze wesół i pełen otuchy, wierzył w rychłe zwycięstwo, mówił: *„Widzisz, ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. To znaczy, że można się zjednoczyć. Trzeba się zjednoczyć. Kiedy zwyciężymy, wtedy się zobaczy... Każdy naród ma swój charakter, swoje tradycje Hiszpanie niepodobni są ani do Francuzów, ani do Rosjan. Coś się wymyśli... A na razie trzeba bić faszystów..."*. Pod koniec rozmowy rozrzewnił się nagle: *„Powiedz czy przeżywałeś rozterkę wewnętrzną — myślisz co innego, a robisz co innego nie z tchórzostwa, ale z konieczności?..."*. Odparłem, że doskonale go rozumiem. Na pożegnanie Durruti poklepał mnie po ramieniu, jak to jest w zwyczaju w Hiszpanii i zapamiętałem jego oczy z ich niezwykłą mieszaniną żelaznej woli i dziecinnej niepewności.

Durruti nie był długo na froncie madryckim, poległ 19 listopada 1936 roku. Jego śmierć była ciężkim ciosem dla wszystkich oddziałów republikańskich.

Nie tylko Durruti zrozumiał, że w imię zwycięstwa konieczna jest rezygnacja z dogmatów anarchistycznych w czystej ich postaci; wielu przywódców CNT — FAI musiało odstąpić od swoich zasad. Trudno doprawdy o zaciekleiszego anarchistę niż Garcia Oliver, który mówił że należy niezwłocznie zburzyć państwo, a przecież gdy został ministrem, wprowadzał reformy najzupełniej odpowiadające jego kolegom — liberałom — walczył ze spekulacją, polepszył sytuację prawną kobiet, zakładał obozy pracy dla faszystów.Anarchista López był ministrem handlu, Peirć — ministrem przemysłu, oczywiście więc obaj musieli odłożyć na bok dawne projekty organizacji niezależnych komun. Minister zdrowia, anarchista Federica Montseny, przemawiając na wiecu twierdziła, że nie tylko rząd nie może się obejść bez anarchistów, ale i anarchiści nie mogą się obejść bez rządu. Jednakże CNT — FAI nie mieli ani energii, ani autorytetu, ani wyjątkowej czystości duchowej Durrutiego. Nie wiem, czy wszyscy oni szczerze pragnęli umitygować swoich zwolenników, niektórzy pragnęli tego z pewnością, ale rzadko im się to udawało. Dziesiątki tysięcy robotników, odważnych, wypróbowanych w walkach ulicznych, wychowało się na ideach anarchistycznych i pragnęło wcielić te idee w życie. Naszą ciężarówką nie jeździliśmy z wizytami do ministrów, lecz do pasa przyfrontowego Aragonii, gdzie rządy sprawowali anarchiści, którzy pozostali wierni dawnym zasadom. Wspominałem nieraz wyrażenie, które zrodziło się u nas w okresie wojny domowej: *„Władze terenowe"*. Miałem sposobność dobrze te władze poznać (...)

Pewnego razu trafiłem na naradę dowódców kolumny anarchistów Powiedziano mi, że będzie omawiana ważna kwestia: jak zdobyć Hueskę. Na stole leżała wielka mapa, ale nikt się na nią nie patrzył. Blisko przez godzinę wszyscy omawiali ważną nowinę: w Barcelonie z gmachu sądu zdjęto czerwono-czarną flagę. *„To prowokacja* — wołał jeden z dowódców — *trzeba natychmiast wysłać setkę żołnierzy do Barcelony! Jesteśmy na froncie, a burżuazja z tego korzysta i marksiści jej pomagają!.."* (...)

Naprawdę poznałem anarchistów na froncie aragońskim, kiedyśmy po wsiach wyświetlali filmy, drukowali jednodniówki, jadali w stołówkach komunalnych, nocowali to na stanowiskach dowodzenia, to w zrujnowanych plebaniach, które stały się siedzibą komitetów miejscowych, to znów w chatach chłopskich. (...)

W Katalonii anarchiści byli nieco skrępowani — nie dekretami Generalidad, nie sprzeciwem Esquerry lub PSUC, lecz poziomem życia ludności: Katalończycy byli zamożni, toteż anarchiści nie zawsze ważyli się podnieść rękę na dostatnią, uregulowaną egzystencję. Uboga zacofana Aragonia otwierała natomiast przed teoretykami CNT — FAI nieograniczone możliwości. Przyjechali tu, aby uwolnić od faszystów Saragossę, Hueskę, Teurel. Ale wojna przedłużała się, front pozostawał niemal w miejscu, mimo niejednokrotnych prób przedarcia się naprzód. Znalazły się gorące głowy, które postanowiły zamienić najbliższe tyły, miasteczka i wsie Aragonii w raj *„wolnego komunizmu"*.

Chłopi aragońscy żyli w nędzy, nie mieli nic do stracenia, z początku więc przyjęli założenie *„komun"* wiejskich. Anarchiści uspołecznili wszystko, nie wyłączając kur. W wielu wsiach odbierali chłopom pieniądze, czasem nawet je palili. Chłopom wydawano przydziały. Widziałem komitety wiejskie, które nie wybiegając myślą zbyt daleko w przyszłość, wymieniły kilka wagonów pszenicy na kawę, cukier, obuwie. W pewnej wsi zapytałem członka komitetu, co będą robili w styczniu, kiedy wyczerpią się zapasy zboża Roześmiał się: *„Ależ do tego czasu rozgonimy faszystów"*..

W niektórych wsiach anarchiści wydawali lekarzowi i nauczycielowi cukier, orzechy, migdały — wyczytali w gazecie, że te artykuły niezbędne są przy pracy umysłowej. Były też takie wsie, gdzie inteligencję wiejską pozbawiono w ogóle przydziałów jako darmozjadów. We wsi Sesa lekarzowi odebrano osła i nie mógł już leczyć chorych w sąsiednich wioskach; w aptece nie było lekarstw; w komitecie mówiono, że *„natura leczy najlepiej"*...

Byłem w miasteczku Fraga, które miało dziesięć tysięcy mieszkańców. Anarchiści odebrali pieniądze i wydali mieszkańcom książeczki z prawem nabywania w ciągu tygodnia towarów na określoną sumę peset. Kawiarnie były otwarte, ale nic w nich nie podawano, można było tylko posiedzieć, a potem sobie iść. Doktor opowiadał mi, że chciał sprowadzić z Barcelony książkę medyczną; przewodniczący komitetu powiedział mu: *„Jeżeli udowodnisz, że książka jest potrzebna, wydrukujemy ją, mamy własną drukarnię. Ale z Barceloną nie utrzymujemy stosunków handlowych"*... W mieście Pina również zniesiono pieniądze, wprowadzono niesłychanie skomplikowany system kartkowy; były kartki na golenie i strzyżenie. Wśród członków komitetu było wielu szczerych entuzjastów, nie znali się jednak na ekonomii. W wielkiej wsi Membrilla (La Mancha) anarchiści po zniesieniu pieniędzy ogłosili, że każda rodzina składa się przeciętnie z czterech i pół osoby, wobec tego dla uproszczenia pracy kancelaryjnej będzie dostawała żywność na cztery i pół osoby.

W jednym z miasteczek Aragonii komitet postanowił rozebrać tory kolejowe, twierdząc, że mieszkańcy niewiele z nich korzystają, a dym lokomotywy zatruwa powietrze. Anarchiści — frontowcy na wieść o tej uchwale przerazili się — mieli dostawać z zaplecza amunicję i żywność; w rezultacie torów nie rozebrano.

Urządzaliśmy seanse filmowe zarówno na placach — biały mur służył za ekran — jak w cudem ocalałym kościele, albo w stołówkach. Anarchiści uwielbiali Czapajewa. Po pierwszym wieczorze obcięliśmy zakończenie filmu: młodzi żołnierze nie mogli się pogodzić ze śmiercią Czapajewa, mówili: *„Po co walczyć, skoro najlepsi giną?..."* Stefa tłumaczyła tekst: czasem przerywały jej okrzyki: *„Niech żyje Czapajew!"* Pamiętam, że raz jakiś anarchista krzyknął:*„Precz z komisarzem!"* — i wszyscy zaczęli klaskać. Jeszcze raz zrozumiałem, że sztuka odwołuje się przede wszystkim do serca: w filmie Czapajew to bohater, Furmanów zaś jest rezonerem.

Mimo to film dawał niekiedy praktyczne rezultaty: w pewnym oddziale po seansie postanowiono zastosować na przyszłość większe środki ostrożności i wystawić na noc warty.

Chłopi oglądali „Czapajewa" innymi oczami. Często po seansie podchodzili do mnie, dziękowali komisarzowi rosyjskiemu za to, że zabrania rekwirować świnie prosili, żebym mu napisał o nieporządkach w ich wsi — dla nich film był kroniką, nie wątpili ani przez chwilę, że Czapajew i Furmanow żyją jeszcze i mieszkają w Moskwie (...).

Anarchiści nie uznawali więzień, mówili, że nie wolno pozbawiać człowieka wolności, trzeba go przekonać; ale nie byli oni ani tołstojowcami, ani pacyfistami, widząc więc, że człowiek nie daje się przekonać, rozstrzeliwali go niekiedy. W pewnej wsi rozstrzelano chłopca, który wymieniał talony do fryziera na kawę lub cukier. Oburzyłem się, ale jeden z anarchistów odpowiedział mi z całą powagą: *„Coś ty? Staraliśmy się go przekonać, przez trzy miesiące prowadziliśmy z nim rozmowy, a ten wciąż robił swoje. To nie człowiek, tylko handlarz!..."*

Opowiadano mi, że w mieście Barbastro anarchiści zamknęli dom publiczny, wygłosili kilka przemówień, mówili, że kobiety odtąd są wolne i powinny zająć się pożyteczną pracą szyć koszule dla żołnierzy. Podstarzała prostytutka z furią zaatakowała jednego z anarchistów: *„Ja tu pracuję od piętnastu lat, a ty mnie chcesz wypędzić na ulicę?..."* Anarchiści długo się zastanawiali, czy da się ją przekonać; wreszcie znalazł się taki, który się tego podjął. Być może historyjkę zmyślono, brzmiała jednak prawdopodobnie.

Opisując Antonowowi-Owsiejence, jak anarchiści wprowadzają w Aragonii *„wolny komunizm"*, dodałem: „Wszystko to wypływa raczej z ignorancji, niż ze złej woli. Anarchistów w terenie można przekonać. Niestety w PSUC niewiele jest ludzi, którzy wiedzą, jak należy z nimi rozmawiać; działacze PSUC mówią stale: „Lepiej już faszyści niż anarchiści".

Zraziłem się widocznie od anarchistów i nie wierzyłem, że ludzi łatwo przekonać. A nie jest to wcale rzecz prosta — najlepiej przekonuje życie. Słowa nawet najrozumniejsze, nazbyt często pozostają słowami. Durruti kroczył szybko; inni nie chcieli lub nie mogli rozstać się ze złudzeniami, a zresztą i z tradycjami; trzeba było czasu, a czasu brakowało: Franco dzień w dzień dostawał od swoich protektorów ludzi i uzbrojenie.

Na wojnie ludzie łatwo się zżywają, zaprzyjaźniłem się więc z anarchistami. Chociaż powinni by wymyślać na Związek Radziecki, zdawali sobie sprawę, że jeśli ktokolwiek im pomaga, to tylko nasz kraj Do sprzeczek dochodziło często, ale tylko raz we wsi przyfrontowej pewien zacietrzewiony chłopak zaczął mi grozić rewolwerem: *„Skoro nie sposób cię przekonać..."*. Umitygowano go w porę.

Wielu anarchistów zmieniało się wprost w oczach; byli też tacy, co obstawali uparcie przy swoim, ale nawet im można było przemówić do rozumu przyjaznym słowem, czasem uśmiechem. Krzyczeli, wygrażali — i uspokajali się szybko. Wiele z tego, co nabroili, należy tłumaczyć niewiedzą. Prawie nie spotkałem wśród nich zawodowych wojskowych, ekonomistów, agronomów, inżynierów, byli to robotnicy barcelońscy; na inteligencję zerkali nieufnie, aczkolwiek żywili uwielbienie dla filozofii, nauki, sztuki. Potrafili ulec panice, rzucić się do ucieczki po wybuchu jednej bomby, potrafili też pójść do ataku mimo silnego ognia karabinów maszynowych — wszystko zależało od nastroju, od setki przypadków. Podczas terroru faszystowskiego tysiące spośród tych, których znałem w Aragonii poszły mężnie na śmierć, nie wyrzekły się swych idei. Jak w każdej partii, wśród anarchistów byli ludzie dobrzy i źli, mądrzy i głupi; ale co mnie najbardziej w nich pociągało, to bezpośredniość i wręcz wyjątkowa w naszych czasach naiwność.

Nigdy w życiu nie nęciły mnie teorie anarchistów: widocznie brakowało mi naiwności; ale po „Juliu Jurenicie", niektórzy krytycy ochrzcili mnie „anarchistą". Może dlatego, a może też przez to, że w artykułach o Hiszpanii obstawałem przy konieczności wspólnego frontu, pewien nasz pisarz, który przyjechał do Madrytu na kongres, powiedział: *„Poskrobcie dobrze Erenburga, a ujrzycie anarchistę"*. Było to w domu podmiejskim, do którego komuniści zaprosili wieczorem delegację radziecką. Dolores Ibárruri roześmiała się: *„Zdarzają się też inni: jak się poskrobie, okazuje się, że to faszysta..."*.

Dlaczego poświęciłem długi rozdział anarchistom hiszpańskim? Praca związana z ciężarówką agitacyjną zajęła mi tylko trzy lub cztery miesiące. Zresztą jeździliśmy nie tylko do anarchistów — wyświetlaliśmy także filmy dla żołnierzy oddziałów, którymi dowodzili komuniści, bywaliśmy w oddziałach międzynarodowych, drukowaliśmy gazety w języku hiszpańskim, katalońskim, francuskim. W grudniu pojechałem do Madrytu. Jeżeli zatrzymałem się dłużej przy jesieni 1936 roku w Aragonii, to tylko dlatego, że w długich dziejach błędzeń ludzkich jest to karta ponad wszelką wątpliwość patetyczna.

„Comunismo libertario", *„wolny komuniźm"*, wszyscy anarchiści mówili o nim i prawie wszyscy w niego wierzyli twierdzili — i słusznie twierdzili — że bez wolności nie może być prawdziwego komunizmu. Ale komuny, które zorganizowali w Aragonii, przypominały osady wystraszonych Indian paragwajskich, kierowanych przez jezuitów, z jednakową odzieżą, jednakowym jedzeniem, jednakowymi modłami. (Co prawda jezuici panowali przeszło sto lat i doszli do perfekcji: ojciec Muratori opowiada, że kiedy Paragwajczyka, który coś przeskrobał, karano chłostą, ten całował w rękę swego dręczyciela i dziękował za razy).

W starym notesie znalazłem przepisane przeze mnie słowa pewnego pisarza francuskiego (nie pamiętam, którego): *„Nieszczęście despotyzmu nie polega na tym, że nie kocha on ludzi, lecz na tym, że za bardzo ich kocha i za mało im ufa"*.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Wolała śmierć niż zdradę

Obersturmbannführer SS dr Otto Bradfisch zamilkł na chwilę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła 11. Co za przeklęte babsko! — westchnął głęboko i spojrzał na siedzącą przed nim szczupłą kobietę. Ani rusz skłonić ją do zwierzeń.

Szew łódzkiego gestapo prawie dwie godziny badał Marię Wedman, znaną pod pseudonimem Wera. Ale bez skutku. Ani jednego zdania, ani jednego nazwiska nie padło z ust badanej. Mimo to obersturmbannführer nie zniechęcał się. Musi ją nakłonić do zeznań. W innym wypadku zrezygnowałby z niej i wysłał do obozu na pewną śmierć. Tak zresztą czynił z komunistami niemieckimi przed wojną, gdy był szefem gestapo w Neustadt. Bez żadnych skrupułów, jako dowódca grupy operacyjnej SS w czasie wojny, na wschodzie, na terenie Związku Radzieckiego kazał rozstrzelać 15 tys. ludzi. Później w Łodzi wysłał do obozu zagłady w Chełmie nad Nerem 70 tysięcy i kazał stracić stu nauczycieli łódzkich w Zgierzu. Miał na swym sumieniu liczne ofiary w Radogoszczu, Oświęcimiu i w innych obozach. Nie zastanawiał się nawet nad tym, czy ci ludzie byli winni. Byli po prostu innej narodowości, więc musieli zginąć.

Ale rzecz ma się zupełnie inaczej z Marią Wedman. Jest jedną z przywódców komunistów łódzkich. Kilku z nich kazał już aresztować. Ale pozostali jeszcze na wolności inni. Dają znać o sobie wypadami i zamachami, sabotażami niemal w każdej fabryce. Kim i gdzie są główni organizatorzy tych bandyckich wystąpień przeciwko III Rzeszy?

Dr Bradfisch postanowił raz jeszcze spróbować. Wstał i przysiadł się do badanej kobiety. Zaczął łagodnym, jakby zatroskanym głosem przemawiać:

— Pani Wedman! Mówię w tej chwili do pani nie jako więźnia, ale kobiety, matki kochającej swoje dziecko. Ma pani męża, którego też niewątpliwie kocha. Jest więc dla kogo żyć. Czyż warto dla urojonej idei poświęcać szczęście rodzinne, życie dziecka i męża? Wierzę, że pani, nosząca nazwisko niemieckie, nie jest naszym wrogiem, że stała się nim przypadkowo i nie z własnej woli. Chcemy panią ratować i zwrócić jej dziecku. Uwolnimy panią i jej męża natychmiast, zapewnimy całkowite bezpieczeństwo i środki utrzymania, jeżeli pani wymieni nazwiska komunistów łódzkich, z którymi pani się stykała i współpracowała. Tylko o to nam chodzi. Niewiele żądamy od pani w zamian za wolność i życie.

Milczała.

— Taka postawa wobec nas jest bez sensu. Czy pani tego nie rozumie? Nasze wojska zwyciężają na wszystkich frontach... No, proszę mówić!

W dalszym ciągu milczała. Gestapowiec zaczął tracić panowanie nad sobą.

— No, więc jak, będziesz mówiła?

— Nie! Nigdy! Przenigdy! — tym razem padła odpowiedź.

— Zobaczymy!...

Szef łódzkiego gestapo kazał tego dnia poddać badaną kobietę najwymyślniejszym torturom i cierpieniom.

KIM BYŁA MARIA WEDMAN?

Pochodziła z rodziny robotniczej. Ojciec pracował w łódzkiej fabryce K. Scheiblera. Jeszcze w okresie dzieciństwa straciła matkę, a w 12 roku życia zmarł ojciec. Zmuszona więc była od lat najmłodszych zarabiać na życie w fabryce. To była ta sama fabryka, w której pracował ojciec. Tu, w 1928 r., poznała swego przyszłego męża Adama Wedmana, aktywnego działacza Komunistycznej Partii Polski i związków klasowych.

W czasie okupacji Wedmanowie wstąpili do konspiracyjnych organizacji, działających na terenie Łodzi: Komitetu Robotniczego do walki z hitleryzmem, przekształconego później w Front Walki za Naszą i Waszą Wolność, a następnie do Polskiej Partii Robotniczej. W dzielnicy Łódź — Górna Prawa Maria zorganizowała Komitet PPR i została jego sekretarzem. Równocześnie weszła w skład zarządu komitetu okręgowego partii na Łódź. Była głównym motorem w działalności PPR w tej części miasta. Opracowywała plany działań, kontrolowała prace partyjnych komitetów fabrycznych i inicjowała wszelkie akcje sabotażowe. Jej mąż, Adam, był „technikiem". Do jego zadań należało rozprowadzanie w kilku dzielnicach miasta bibuły propagandowej. Pomagała mu w tym dzielnie towarzyszka Wedmanowej — Maria Janic.

Mieszkanie Wedmanów przy ulicy Szymonowicza 12 na Chojnach jeszcze przed wojną było miejscem spotkań kapepowców i działaczy związków klasowych. W latach okupacji odbywały się tu zebrania czołowych działaczy PPR i Armii Ludowej. Przychodziło tu na narady całe kierownictwo łódzkiej organizacji partyjnej, jak nieżyjący już Czesław Szymański, Stefan Przybyszewski, Ignacy Loga-Sowiński, Mieczysław Moczar i inni. W mieszkaniu Wedmanów mieścił się partyzancki punkt apteczny z medykamentami, materiały wybuchowe oraz gazety, broszury i ulotki propagandowe.

WERA

Była szczupła, jasnowłosa, o niebieskich oczach. Zawsze uśmiechnięta, prosta w obejściu, serdeczna i bezpośrednia dla ludzi. Śpieszyła zawsze z pomocą innym.

Taką pamiętają ją dawne towarzyszki pracy i walki: Maria Janic i Adela Medyńska.

— *Przychodzę kiedyś do Wery w sprawie kolportażu ulotek* — opowiada Maria Janic — *Wiedziałam, że jako sekretarz partii w naszej dzielnicy była bardzo zapracowana. Nie chciałam zatem zajmować wiele jej czasu. Ale Wera przyniosła mi talerz ciepłej zupy i powiada: — Zjedz przynajmniej to, co mam a potem porozmawiamy. — Pamiętam, jak pewnego razu w rozmowie poruszyła sprawę nauczania dzieci. — Nasze pociechy — mówiła — nie mogą chodzić do szkoły. Naszym obowiązkiem więc jest uczyć je. Zorganizuję taką konspiracyjną szkółkę dla dzieci. — I dotrzymała słowa. W swoim niewielkim mieszkaniu przy ulicy Szymonowicza 12 zorganizowała taką szkółkę. Odbyło się kilka lekcji. Prowadziła je bardzo dzielna dziewczyna Lonia Bartczak Wedmanowa, mimo że miała bardzo dużo zajęć w partii znajdowała jeszcze czas na rozmowy z nauczycielką i z dziećmi. Drogą nielegalną zdobyła dla szkółki 400 zeszytów i trochę podręczników szkolnych. Zajęcia w tej zaimprowizowanej szkółce trwały aż do chwili aresztowania Wedmanów.*

TRAGICZNY DZIEŃ

Nadszedł tragiczny dzień 18 kwietnia 1943 roku. Oto jak relacjonuje pamiętne wydarzenia tego dnia w swoim pamiętniku nieżyjący już mąż Marii — Adam Wedman. Czytamy między innymi:

„*Było to w niedzielę. Rano jak zwykle roznosiłem ulotki i gazetki, których nie zdążyłem dostarczyć w dzień poprzedni. Do domu wróciłem około południa. Ledwie żona zdążyła postawić talerz z zupą, gdy wpadło czterech gestapowców. Zakuli mnie i żonę w kajdany. Tego dnia miało przyjść do nas kilku towarzyszy z partii, a dnia następnego rano umówione było zebranie kierownictwa PPR. Zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło towarzyszom, gdyby w tej chwili weszli do naszego mieszkania. Trzeba było w jakiś sposób ostrzec ich. Zaczęliśmy więc oboje krzyczeć tak głośno, ażeby nas sąsiedzi słyszeli. Liczyliśmy na to, że ktoś nas usłyszy, domyśli się, że u nas jest gestapo i ostrzeże towarzyszy. Hitlerowcy zareagowali na nasz krzyk. Jak wściekłe psy rzucili się na nas, zaczęli nas bić i kopać. Przyłożyli nam do twarzy pistolety i zagrozili zastrzeleniem, jeżeli natychmiast nie uciszymy się. Zamilkliśmy. Leżeliśmy nieruchomo na podłodze. Córeczka nasza Aldonka, która znajdowała się podówczas w mieszkaniu, usiadła obok mnie, przytuliła się i zaczęła cicho płakać (...) Nagle przypomniałem sobie z przerażeniem, że w kieszeni płaszcza mam gazetkę i to właśnie z tej strony, gdzie siedziało dziecko. — Córuniu! — powiedziałem szeptem. — Wyjmij mi z kieszeni gazetkę, ale tak, żeby nikt nie zauważył. — Zrobiła to z całym dziecięcym sprytem i schowała ją zręcznie do kieszonki sukienki, a później — jak dowiedziałem się — odniosła do naszej dobrej znajomej Dzikowskiej. Aldonka miała wtedy osiem lat".*

Tymczasem gestapowcy nie ruszali się z miejsca. Co chwila podchodzili do okna i pilnie obserwowali ludzi, wchodzących do kamienicy. O godzinie 20 przyjechało kilku innych gestapowców i wpakowało Wedmanów do karetki więziennej. W samochodzie siedzieli skuci w międzyczasie także aresztowani Stefan Przybyszewski i lotnik radziecki Arkadiusz Worożcow. Ci gestapowcy, którzy aresztowali Wedmanow, przez trzy dni przebywali w ich mieszkaniu, spodziewając się przychwycić kogoś.

W GESTAPO

„*Zawieziono nas do gestapo przy ulicy Anstadta* — opowiada dalej Adam Wedman w swoim pamiętniku. — *Zaczęto nas przesłuchiwać. Gestapowcy żądali ujawnienia nazwisk towarzyszy z partii i wskazania miejsca ich pobytu. Kiedy odpowiedzieliśmy milczeniem, zaczęli nas bić i katować. Kilka razy traciliśmy przytomność. Wtedy polewano nas wodą i znowu przesłuchiwano i bito. Wreszcie, po kilkugodzinnym przesłuchaniu, dano nam spokój. Mnie, Przybyszewskiego i Bronka Znojka, którego w międzyczasie także aresztowano, wrzucono do ciemnicy więzienia przy ulicy Sterlinga, a żonę przewieziono do więzienia przy ul. Gdańskiej. Znojek w więzieniu na Sterlinga przesiedział cztery miesiące, mnie zaś z Przybyszewskim po trzech dniach rozłączono. Co stało się z nim, nie było mi podówczas wiadomo. O jego śmierci dowiedziałem się dopiero po wojnie. Od kwietnia do czerwca 1943 r. przebywałem w więzieniu przy ulicy Sterlinga. Przez pewien czas siedziałem w jednej celi z młodym podówczas działaczem Jerzym Lorensem* (późniejszym prezydentem m. Łodzi — przyp. F.L.) *W czerwcu przewieziono mnie do obozu w Mauthausen, z którego zostałem uwolniony dopiero w ostatnich dniach wojny".*

DZIECKO POMOGŁO

Uczestnikiem wydarzeń z 18 kwietnia 1943 r. była także Adela Medyńska. Oto jej wspomnienia:

„*Ten krzyk, który podnieśli Wedmanowie w chwili aresztowania, nie pozostał bez skutku. Usłyszeli go sąsiedzi i ostrzegli kilku towarzyszy. To samo było ze mną. Kiedy następnego dnia rano przyszłam i już miałam zapukać do mieszkania Wery, sąsiadka mieszkająca obok uchyliła drzwi i położyła palec na ustach. Domyśliłam się, że stało się coś złego i wsliznęłam się do jej mieszkania. Pytam: — Co się stało? — Gestapo jest u Wedmanów — odpowiedziała. — Jak szalona zbiegłam natychmiast ze schodów na dół, aby ostrzec przed niebezpieczeństwem towarzyszy, zdążających na zebranie. Ale na szczęście nikt nie przyszedł. Być może, że ktoś inny z sąsiadów już im o tym mówił. Jeszcze raz spotkałam się tego dnia z sąsiadką, która mnie ostrzegła. Powiedziała mi, że córka Wedmanów, Aldonka, znajduje się u Marii Dzikowskiej. Udałam się do niej wraz z Kowalikową, którą spotkałam w drodze. Zabrałyśmy Aldonkę od Dzikowskiej i przyprowadziłyśmy ją na podwórko tuż obok mieszkania rodziców. Poleciłyśmy jej, by pod pretekstem zabawy, przebywała na podwórzu i ostrzegała towarzyszy przed niebezpieczeństwem. W ten sposób Aldonka zapobiegła aresztowaniu trzech ludzi, w tym Mieczysława Moczara".*

W WIĘZIENIU

W kilka dni później Adela Medyńska została również aresztowana i osadzona w więzieniu przy ulicy Gdańskiej. Tu dowiedziała się, że Maria Wedman siedzi również w tym więzieniu. Ale nie mogła nawiązać z nią kontaktu. O dalszych losach Marii dowiedziała się dopiero później, w obozie w Oświęcimiu, dokąd została wywieziona z Łodzi.

„*Przypadkowo spotkałam w obozie jedną kobietę z Łodzi* — opowiada Medyńska — *która siedziała w jednej celi z Wedmanową. Opowiadała mi, jak po każdym badaniu przez gestapo Werę bito do nieprzytomności. W celi, w której siedziała nie wolno było jej ani siedzieć, ani leżeć. Ale gdy przyprowadzali skrwawioną i chwiejącą się na nogach, gestapowcy sami mówili: — Może leżeć! Ona i tak już długo nie pociągnie! — Wedmanowa bardzo przeżywała tę męczarnię. W rozmowie z tą kobietą mówiła, że boi się tylko jednego, ażeby nie załamała się i nie wydała kogoś z towarzyszy. Wolałaby raczej skończyć z sobą, niż kogoś zdradzić. I tak uczyniła w kilkanaście dni po aresztowaniu. Popełniła samobójstwo".*

OPOWIEŚĆ CÓRKI

I jeszcze jedno wspomnienie. Tym razem córki Marii Wedman — mgr inż. Aldony Gałeckiej:

„*Rodzice moi byli Polakami. W czasie okupacji jednak, chyba z uwagi na nazwisko, hitlerowcy niejednokrotnie namawiali ojca do przyjęcia volkslisty. (...) Rodzice jednak odrzucili tę propozycję, mimo że również i partia była za tym, bo to zapewniało większe możliwości działania towarzyszy. Krótko przed aresztowaniem wezwano moją matkę do Arbeitsamtu, celem podjęcia pracy w fabryce amunicji w Gałkówku. Na to pierwsze wezwanie nie zgłosiła się. Wyznaczono następny termin, ale tym razem już po samo skierowanie do pracy. I tym razem matka nie zgłosiła się. Nie chciała przyłożyć swej ręki do produkcji amunicji, którą uśmiercano Polaków. Nie pomogły namowy towarzyszy z organizacji, że praca w tej fabryce umożliwi zorganizowanie sabotażu, że jest istotną rzeczą, aby na tym terenie mieć swoich ludzi. Wreszcie, ktoś wtedy poradził, ażeby przyłożyła do dłoni utarty czosnek i przetrzymała go przez półtorej godziny (...) Matka posłuchała tej rady i pamiętam, że zamiast półtorej, trzymała czosnek na dłoni przez dwie godziny. W efekcie zamiast egzemy, powstały na dłoniach wielkie pęcherze. Wtedy udała się z wezwaniem do Arbeitsamtu i powiedziała, że nie może podjąć pracy, bo poparzyła się wrzątkiem. Na tej podstawie została zwolniona z pracy.*

Matka brała bezpośredni udział w akcjach przeciwko wrogowi. Pamiętam, jak pewnego razu, razem z mamą podkładałyśmy ulotki i odezwy partyjne pod drzwi zamkniętych jeszcze w godzinach rannych sklepów. Było to przy ulicy Rzgowskiej w okolicy Bednarskiej. Czyniłyśmy to w ten sposób, że albo mama, albo ja podchodziłyśmy do drzwi sklepu, opierałyśmy nogę o jakiś stopień i udając poprawianie zapięcia buta, wsuwałyśmy pod drzwi odezwy.

Matka moja, gdy umierała, nie ukończyła jeszcze 40 lat. Bardzo mnie kochała. Dawała temu wyraz na każdym kroku. Byłam zresztą jedynym jej dzieckiem. Jeżeli, mimo tak wielkiej miłości do mnie, zdecydowała się mnie opuścić, to świadczy, że była bezwzględnie przekonana o słuszności ideałów, o które walczyła i które stawiała wyżej od najbardziej upragnionych celów osobistych".

Magiczny rok 1990

Jedzenie już tylko na własny rachunek i znacznie większy niż dziś kawałek własnego dachu nad głową — to w trywialnym skrócie najistotniejsze cele dwóch rządowych programów — rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej oraz polityki mieszkaniowej państwa. Oba te programy mają — jak to się zgrabnie mówi w języku biurokratycznym — „horyzont czasowy" do 1990 roku właśnie. Oznacza to, że mamy w tym czasie osiągnąć samowystarczalność w kwestii wyżywienia oraz budować po 300 tysięcy mieszkań rocznie, jednocześnie remontując i modernizując trzy razy więcej niż dziś...

W trakcie dwudniowego posiedzenia Sejmu w ubiegłym tygodniu program żywieniowy poddano pierwszej dorocznej ocenie. Jest to dowód — wątły wprawdzie, bo jeden z nielicznych — zmiany obowiązującego dotąd stylu myślenia o sprawach państwa. Stylu nakazującego podejmować słuszne i potrzebne zadania, ale pozbawione zupełnie dyscypliny wykonawczej i odpowiedzialności — jak gdyby samo „uchwalenie" mogło zastąpić realizację. Przypomniał to posłom — a Sejm nie jest bez winy w dotychczasowej praktyce obchodzenia się z rozmaitymi programami — prezes NIK gen. Tadeusz Hupałowski w trakcie debaty o dotychczasowych efektach programu rozwoju rolnictwa.

Należy przeto mieć nadzieję, że wynikający z uchwały Sejmu o polityce mieszkaniowej program rządowy w tej mierze będzie równie uważnie i konsekwentnie śledzony na bieżąco przez posłów.

Jakie są przeto szanse i bariery?

W rolnictwie najpomyślniejszym objawem — o znaczeniu strategicznym — jest ogromny skok w kwestii niwelacji ujemnego bilansu w handlu zagranicznym artykułami rolnymi: od 133 miliardów ujemnego salda w 1981 roku do 16,5 miliardów w roku ubiegłym. Import, głównie białka paszowego (nb. na kredyt) wprawdzie zmalał drastycznie — z powodu restrykcji i braku środków głównie — ale globalne wyniki produkcji rolnej osiągnęły znów poziom przedkryzysowego roku 1978. Można by w tym miejscu powiedzieć, że nie ma się z czego cieszyć, gdy ponownie wdrapujemy się do punktu, w którym już raz byliśmy. To prawda — ale nie ma co ukrywać, że to „pierwsze podejście" zrobiliśmy raczej za cudze pieniądze, zaś drugie już bardziej samodzielnie...

Taniutki byłby to jednak optymizm, gdyby na wyciągnięciu wniosków z poprawy bilansu poprzestać. Barier jest więcej niż objawów pozytywnych... Jedną z rzadziej podnoszonych okoliczności niekorzystnych w naszym rolnictwie jest zbyt wielkie zróżnicowanie poziomu gospodarowania między najlepszymi a najsłabszymi województwami — obecnie, liczone w najbardziej konkretnym wskaźniku produkcji towarowej, jest ono 2,5-krotne, czyli znacznie wyższe niż usprawiedliwione różnicami czysto przyrodniczymi. Rzeczą budzącą nadal spory i znaczne namiętności (także o treści ideologicznej) jest kwestia źródła tej słabości: czy to fatalna struktura własnościowa i organizacyjna rolnictwa, czy też może tylko jego, ogólnie rzecz ujmując, niedoinwestowanie. Parlament nie jest miejscem takich sporów, wydaje się jednak, z ogólnej tonacji poselskiej dyskusji nad rządowym sprawozdaniem, że bardziej pożądane jest praktyczne zwiększenie dostaw maszyn i środków oraz wzrost kredytów, niż debata nad rolniczą strategią państwa.

Nie inaczej jest w kwestii budownictwa mieszkaniowego. Tu wielkiego wyboru nie mamy — sposób budowania mieszkań w Polsce został zdeterminowany na wiele lat i zdominowany przez technologię drogą, materiałochłonną i niezbyt elastyczną, za to stosowaną masowo, czyli tzw. wielką płytę. Owe 300 tysięcy mieszkań rocznie w końcu lat osiemdziesiątych powstanie nie inaczej... Mimo ogromnego społecznego, i nie tylko, nacisku na różnorodne formy budownictwa — owe małe spółdzielnie, wykorzystywanie lokalnych materiałów budowlanych, czy zgoła awaryjne projekty Adolfa Ciborowskiego, by budować, jak w stanie klęski żywiołowej — ze wszystkiego co pod ręką, wszędzie i byle ściany i dach stały jako tako. Budownictwo mieszkaniowe pozostanie jednak w swej głównej części domeną wielkich organizacji, przemysłowych, długoseryjnych technologii, betonowych klocków i jednakowych wszędzie architektonicznych pejzaży.

Warto więc zdawać sobie sprawę, że mieszkania — czyli jedna z najpilniejszych w kolejności pożądania potrzeb społecznych — na ogół powstawać będą w sposób nie znajdujący szczególnej aprobaty oczekujących. Nie ulega wątpliwości, że pod naciskiem tych ogromnych potrzeb powstają tendencje i pomysły zmierzające do zwiększenia tempa kosztem jakości; od tego rodzaju nacisków nie możemy się wyzwolić przez całe dziesięciolecia... Na szczęście w uchwale Sejmu nie ma już śladów dominacji tej zgubnej tendencji. Co więcej — uchwała wyraźnie stanowi, że cały proces inwestycyjny winien być bardziej zindywidualizowany, także w kwestii surowej odpowiedzialności za jakość projektowania i wykonawstwa.

Jednym z zalecanych — także przez sejmową uchwałę — sposobów załatwienia problemu mieszkaniowego jest zdecydowany wzrost budownictwa indywidualnego i zrzeszeniowego w rodzaju małych spółdzielni, czy spółek o charakterze nawet koleżeńskim. Trzeba jednak pamiętać, że w obecnym stanie organizacyjnym administracji terenowej i możliwości rynku materiałów budowlanych, jest to zadanie dla ludzi ponadprzeciętnie aktywnych i wytrwałych, mocno zdeterminowanych. Tą drogą z kolejki ponad trzech milionów oczekujących na mieszkania nie ubędzie zbyt wielu chętnych. A pamiętać należy, że budowanie na szerszą skalę „Polski parterowej" spotyka się już w wielu rejonach kraju ze sprzeciwami rolników i budzi spory o ziemię, której przecież nie może zabraknąć dla produkcji żywności, skoro w tym samym roku 1990 chcemy osiągnąć samowystarczalność w wyżywieniu i jednocześnie trzy razy więcej budować.

Przy okazji komentowania tego posiedzenia Sejmu chciałbym zwrócić uwagę na uchwalenie ustawy o kulturze fizycznej i wprowadzenie zmian w ustawie o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Zwłaszcza ta ostatnia kwestia wzbudziła spore emocje społeczne.

Zapaliło się — jak można sądzić — „zielone światło" dla piwa; w myśl poprawki do ustawy rady narodowe mogą samodzielnie ustalać liczbę punktów sprzedaży piwa i godziny w jakich będzie się ona odbywać. W ten sposób, niejako pośrednio, bo poprzez Sejm, spełnił się postulat zgryźliwego dogmatyka Hieronima Orzeszka z wrocławskiego tygodnika „Sprawy i Ludzie", który (nr 27 — 05.07.84) proponował: **„Może by się ktoś znalazł, kto by zaprosił towarzysza Wojciecha Jaruzelskiego na małe jasne i przekonał go w ten sposób, że to nie trucizna".**

W trakcie debaty nad poprawkami rozstrzygnięto też sporną kwestię „Ponalu" — na wniosek posła Władysława Kupca (okr. wyb. Wrocław) sformułowanie o wyodrębnionym przedsiębiorstwie handlu alkoholem zastąpiono określeniem „wyznaczonych" jednostek handlowych. Byłby to wstęp do likwidacji tego zdumiewającego tworu?

BOLESŁAW KANICKI

Zostań pracownikiem kopalni węgla brunatnego Bełchatów — zachęca napis na ogłoszeniowej tablicy. „Mieszkanie własnościowe po przepracowaniu 3 —5 lat. Przedszkola, stołówki, ośrodki wypoczynkowe w Szklarskiej Porębie, Kołobrzegu, Wawrzkowiźnie. Płace: operator koparki i zwałowarki — 18—23 tys. zł, operator przenośnika taśmowego — 16—19 tys. zł, spawacz gazowy i elektryczny — 15—18 tys. zł, wulkanizator taśm — 13—17.5 tys zł. Zgłoszenia przyjmuje Centralne Biuro Zatrudnienia..."

Stałem wpatrzony w kuszącą ofertę i dobywałem notes celem zapisania niżej podanych adresów, kiedy z nagrzanej słońcem ławki nieporadnie wstał sędziwy mężczyzna i rzekł:

— Młody człowieku, jakież to złe wiatry przygnały cię w te strony? Pieniądza szukasz? Jeśli tak, to pieniądz znajdziesz, ale niczego więcej się nie spodziewaj. Przed tobą przyjechali inni — z całej naszej pięknej Polski zjechali. Tyle lat nic tutaj ludzi nie ciągnęło, a teraz gnają jak Tatary po królewskie złoto i jak te pogańce biorą w jasyr biedny Bełchatów...

Pamiętam Bełchatów z początków zeszłego dziesięciolecia. Było to zapomniane, prowincjonalne miasteczko, które ożywało jedynie w targowe dni. Po kocich łbach dudniły koła furmanek, w sklepie na rogu stał kosz umazanych mąką okrągłych bochnów ciepłego, pachnącego chleba. O istnieniu Bełchatowa wiedziano wtedy z lektur kolorowych papierków, w które zawijano smakowite krówki z miejscowej wytwórni słodyczy o nazwie Mleko. Parę kilometrów stąd my, łódzkie dzieci, spędzaliśmy wakacyjne miesiące w kolonijnym ośrodku nad czystą rzeką Widawką. Czasem zaprzyjaźniony kierowca dostawczej furgonetki podrzucał kilku z nas do miasteczka, żeby cichcem podprowadzone gęsi z niedalekiej fermy wymienić na kosz jaj wbijanych potem w gigantyczną smażonkę — efekt rannego grzybobrania.

Tamten Bełchatów nie zachęcał do dłuższego pobytu. Ot, załatwić interes i wracać w swoje strony.

260 lat leżał Bełchatów daleko od szosy. Aż nagle gruchnęła wieść, że miasto stoi na złotej żyle, że ta ziemia — te piaski kryją brunatny skarb w nieprzebranej masie. Ogromne koła wielkich jak stodoły ciężarówek Berliet i ryczące spychacze wtoczyły się na wąskie uliczki z korytami rynsztoków. Zjawiali się coraz to nowi ludzie — więcej i więcej. Czytam na betonowym płocie: **Buduj z nami największą elektrownię w Polsce.**

W centralnym punkcie miasta stalowa konstrukcja podtrzymuje dwie kielnie i napis: **„Bełchatowsko-Pomorski Kombinat Budowy Elektrowni"**. Trwa boom na prowincji. Strzelają w górę mieszkaniowe bloki, szkoły, przedszkola. Niektóre powiększają się o przybudówki większe od nich samych. Samosiejki, czyli małe i większe gastronomie oraz takież prywatne inicjatywy o modnym górniczym szyldzie (np. „Gwarek") wdzierają się na każdy wolny skrawek terenu, który zaczyna nabierać ceny placu na Manhattanie. Jest już górniczy klub sportowy, górniczy klub karate, górnicza szkoła, górnicze święto.

„M 3 w Kaliszu zamienię na M 3 w Bełchatowie". „Kupię M 4 w Bełchatowie" — to kartki przyklejone na autobusowym przystanku. Obok kina, nowohuckim zwyczajem, wizerunki stachanowców: „inż. WALDEMAR MAMIŃSKI — 7 projektów racjonalizatorskich, inż. WINCENTY BEKASIAK — 23 projekty, ob. ANDRZEJ DĄBROWSKI — 12 projektów".

W obu kierunkach — ku elektrowni i do miasta ciągną karawany zabłoconych autobusów. Te które mijają miasto biorą kurs na Łódź, Piotrków, Radomsko, Wieluń, Łask.

O drogę do kopalni nie trzeba pytać, wystarczy wyżej podnieść głowę, a zobaczy się pasiaste wierzchołki kominów oraz Marię i Joannę — chłodnie kominowe.

Biłgoraj, Rogowiec, Piaski, to niedawne wioski leżące kilka kilometrów za Bełchatowem — dziś kojarzą się wyłącznie z elektrownią, kopalnią, kombinatem.

— Za pięć stów mogę pana podrzucić do dyrekcji — zaofiarował się bełchatowski taksówkarz.

— Za ile?!

— Za pięć stów! Coś pan taki zdziwiony — pewnie nowy?

— Przecież to niedaleko?

— No i co z tego. Pięć stów też nie pieniądz. Dostanie pan pierwszą wypłatę to pogadamy. Ja taniej nie pojadę — szkoda wozu na te dziury, a jeszcze któryś cham ze Stayera zepchnie mnie do rowu, bo dla nich to pestka...

Wybieram inne rozwiązanie. Kierowcy wywrotek chętnie zabierają na łebka. Jest okazja zamienić kilka słów i zapomnieć, że do końca zmiany zostało jeszcze... naście kursów w te i nazad.

Podjeżdżamy prawie na skraj wkopu — jak mawiają brunatni górnicy. Wkop, to taka „szczelina" 3 × 3 kilometry i prawie 200 metrów głęboka. Wygląda jak rana na ciele, po której kręci się robactwo — koparki, zwałowarki, taśmociągi.

— Taśmociągi mają ponad 60 kilometrów długości — imponuje wiedzą piegowaty chłopak z OHP, któremu widać znudziło się grzebanie w ziemi i poszukuje słuchacza. — Tamten kopiec ma 150 metrów wysokości i 12 kilometrów obwodu. To ziemia z odkrywki. Cała kopalnia ma tysiąc milionów ton węgla. Roboty starczy na 20 lat.

— Skąd wiesz to wszystko?

— Pytałem inżyniera, żeby napisać do domu, ojcu i matce, jakie to ogromniaste rzeczy buduję...

ŚPIĄCE AUTOKARY

ROMAN KUBIAK

Bohaterowie są zmęczeni

Pekaesowski Sanos wyrusza na trasę za pięć minut czwarta. Jelcz podjeżdża na punkt zborny o wpół do czwartej. Autosan o piątej. Setki autobusów codziennie dowożą i przywożą pracowników kombinatu.

Jak po niciach pajęczyny — wszystkie drogi prowadzą do Bełchatowa.

Kiedy włókniarska Łódź śpi w najlepsze, a czerwone tramwaje stygną w zajezdniach, oni górnicy, są już na nogach. Szybkim krokiem przemierzają ciche ulice, żeby nie spóźnić się na swój autobus. Potem wsiadają do zimnego wnętrza wozu, chowają pod swetry zmarznięte dłonie, zwieszają głowy i prawie natychmiast zasypiają. Zanim pekaes dotelepie się na odkrywkę godzinkę z hakiem można jeszcze podrzemać.

Bogdan wstaje o godzinie trzeciej. Po czterdziestu minutach jest na punkcie zbornym, a o szóstej zaczyna pracę w kopalni. Do domu wraca około siedemnastej.

— Ja się nie skarżę — w końcu sam tego chciałem — mówi. — Chciałem mieć pieniądze, to muszę zrezygnować z wolnego czasu. Odliczając sen, na życie zostaje mi 2-3 godziny, no i oczywiście cała niedziela. Ale wygląda to tak, że po robocie praktycznie nie mam sił na nic innego jak tylko walnąć się przed telewizorem z nogami do góry. Dojeżdżam już dwa lata. Najpierw ustaliliśmy z żoną, że jak będzie dziecko to przyda się większa forsa, więc poszedłem za górnika. Teraz żona powiedziała mi kiedyś, że woli mieć męża dla siebie i ojca dla dziecka niż te pieniądze. Jestem zmęczony. Szwagier stara się dla mnie o robotę blisko domu...

Wiesław mieszka na wsi. O trzeciej wsiada na rower i rozpoczyna pierwszy etap drogi do pracy — pięć kilometrów przez las. Zostawia rower u znajomego dróżnika i czeka na kopalniany autobus.

— Popracuję do żniw i zwalniam się — zapowiada. — Jeszcze dwa lata temu, dwadzieścia tysięcy to były jakieś pieniądze. Więcej wyciągnę ze swojej działki i będę miał czas łowić ryby. A tak po prawdzie, to zdrowia mi już brakuje. Pójdę za nocnego stróża...

Andrzej skończył technikum, odsłużył wojsko i za namową bełchatowskich agitatorów, którzy przy każdej okazji roztaczali kuszące wizje pracy w kopalni, zdecydował się zostać górnikiem. Po kilku miesiącach stracił zapał i rozżalony mówi:

— Obiecywali nam Kanadę, a na miejscu okazało się, że panuje taki bałagan jak wszędzie. Mieszkanie, jak dobrze pójdzie, mogę dostać dopiero za cztery lata. Do tego czasu mam spać w autobusie — bo wychodzi mi, że pięć godzin spędzam w podróży. Pracuję w takim systemie, że niedziela wypada mi we wtorek albo w czwartek. W nocy, jak nie ma pracy, to sztygar wymyśla coś, żebyśmy nie spali. Zimą w wykopie jest taka temperatura i tak przewiewa, że ubieramy się jak Sybiracy. Na nogi wkładamy dwie pary kalesonów, dwie pary wełnianych skarpet, dres, robocze spodnie, gumofilce. Na grzbiet naciągamy grube podkoszulki, flanelowe koszule, dresy, robocze kurtki i kufajki. Do tego dochodzi wełniana czapka, kask i rękawice. W takim stroju nie można się ruszać, a co dopiero pracować...

— Powiedz czym nas karmią — włącza się ktoś z początku autobusu.

— A co tu gadać. Dzielą przeterminowanymi puszkami z wojskową zupą pomidorową i ogórkową. Musimy to świństwo podgrzewać w ognisku, ale i tak nie da się żreć. Zresztą warunki socjalne są w ogóle kiepskie. Pakamerę skleciliśmy sami z desek od szalunków, a ręce grzejemy na zwałowarkach.

— Jeżeli nie boi się pan napisać prawdy, to jeszcze panu powiem, że jest dużo wypadków — decyduje się mówić milczący dotąd mechanik z KWB. — Niech pan popatrzy jak jeżdżą po hałdach pijani traktorzyści. Pomijam już, że są to ciągniki wypożyczone z SKR i powinny robić na polach, ale najgorsze, że są w takim technicznym stanie — bez hamulców, że o wypadek nietrudno. Do tego traktorzyści są cały czas na bani i mało co widzą. Albo w dole — ile jest wypadków jak przyjdzie pracować we mgle...

— Chce pan wiedzieć dlaczego młodzi uciekają — ludziom w autobusie rozwiązują się języki. — U mnie w brygadzie był taki jeden zaraz po szkole. Trzy dni robił i dał drapaka, bo w tym pyle na oczy mu padło — mówią, że to od siarki. Druga rzecz, że czasem to słychać jak dzwonią plomby w zębach — takie są drgania...

— Dlaczego więc ciągle pracujecie w Bełchatowie? Co was tam trzyma?

— Nie ma co ukrywać, że chodzi o zarobki. Człowiek chciał się odkuć i przynieść do domu te dwie dychy. Czasem nachodzi mnie taka myśl, że ta forsa nie jest warta zdrowia co je na kopalni zostawiam. Zimą było już tak, że po drugiej zmianie nie było jak dojechać do domu albo wracało się o drugiej w nocy. Na takie życie to końska kondycja za mało. Koło środy jestem już tak zmęczony, że przyrzekam sobie: tylko do końca miesiąca...

Autobus sunie po świeżej warstwie asfaltu. Moi rozmówcy jeszcze opierają się rozbrajającej sile, która zamyka oczy i zmusza do wsparcia głowy o fotel. Kolejno zapadają w sen — bohaterowie są zmęczeni.

KAŻDY ORZE JAK MOŻE

„Murarz domu muruje, krawiec szyje ubrania..." Jedni pracują w kopalni, inni liczą na mechanizm wtórnego podziału narodowego dochodu... Nie pierwszy to raz wielka inwestycja zwabiła amatorów gorącego pieniądza. Zjechali specjaliści od hot-dogów, pizzy, włoskich lodów, bigosu, kaszanki na ciepło i gry w trzy karty.

Faceci w bramie pracują tylko do trzynastej. Oferują butelkę wódeczki na wynos albo kieliszeczek tejże, podawany wraz z konserwowym ogóreczkiem na widelcu. Klient nasz pan!

Właściciel Nysy z krakowską rejestracją szuka amatorów na fioletowy bistor, idealny materiał do szycia wyjściowego garnituru.

Uliczny fotograf może zrobić zdjęcie w gustownej ramce z serduszkiem. Cena przystępna — cztery stówki i jaka niespodzianka dla narzeczonej.

Hurtownik namawia pracowników elektrowni do zawarcia ustnego kontraktu na sukcesywne dostawy srebrnych styków od elektrycznych aparatów.

Nie ma żadnych kłopotów z nabyciem alkoholu o dowolnej porze dnia i nocy. Największy ruch panuje w dniach wypłat poborów — szczególnie ponadplanowych czternastych i piętnastych pensji. Obroty zachęcają do rozszerzania skali działań usługowych. Oprócz gotówki mile widziane są transakcje wymienne z preferencją materiałów budowlanych, paliw i odzieży roboczej. Znikają zabudowania pod strzechą.

— Synku, chcesz połóweczkę? — namawia, bezzębna staruszka dyżurująca w oknie domu z czerwonej cegły. — Tyś pewnie inżynier jaki — to i byle czego nie łykniesz. Mam ja dla ciebie prawdziwe szampańskoje...

W taki oto sposób kupiłem oryginalny radziecki szampan, dokładając tytułem odstępnego jedynie sto złotych, co zaliczam do sukcesów w kategorii moich doświadczeń z wolnym rynkiem.

CAŁA NAPRZÓD

Na rok 1988 przewidziane jest zakończenie budowy elektrowni. Wiadomo jednak, że będzie to dopiero kres pierwszego etapu prac pod Bełchatowem. Gotowe są projekty kolejnej kopalni i elektrowni. Duże złoża węgla brunatnego znajdują się w rejonie Szczercowa (ok. 700 mln ton.) i tam właśnie mają niebawem wyruszyć potężne koparki. W sąsiedztwie kopalni stanie elektrownia „Osiny". Nie jest tajemnicą, że szczercowski węgiel zawiera duże ilości związków siarki. Budowniczowie rzucają na stół atut w postaci 300-metrowych kominów i elektrofiltrów. Czy to wystarczy, mamy przekonać się na własnej skórze.

Na razie nie rozwiązano problemu wysychających studni, więc wodę do chłopskich gospodarstw trzeba dowozić. W kopalni wywiercono 420 otworów głębinowych i celem osuszenia złoża wypompowano prawie 2 mld m sześc. wody. Ekolodzy twierdzą, że rysuje się szansa utworzenia pustyni bełchatowskiej. Za trzydzieści parę lat...

Srebro, seks i przemoc

EUGENIUSZ IWANICKI

Używali dźwięcznych pseudonimów: Blady, Szczurek, Malaga, Kanapa, Tuptuś, Grzyb, Kaczor, Pociecha...

Dokonywali włamań do zakładów, w których srebro używane było do produkcji podzespołów...

Kradli maszyny do szycia, materiały, garderobę...

Dokonywali zbiorowych gwałtów...

Od kwietnia 1983 roku do stycznia 1984 dokonali 14 przestępstw na szkodę zakładów przemysłowych i osób prywatnych. Służby kryminalne WUSW w Łodzi sprawy nie uważają za zamkniętą, gdyż ciągle wychodzą na jaw coraz to nowe przestępstwa dokonane przez tę grupę. Dziewięciu członków srebrnego gangu osadzono w areszcie, kilku pozostaje na wolności, ukrywając się na melinach, ale ich los jest przesądzony. Tak więc czeka nas w niedługim czasie kolejny wielki proces. Dziś pragniemy jedynie zasygnalizować, że dzięki pracownikom milicji, kolejna grupa przestępcza znalazła się pod kluczem.

REJESTR MAJĄCY DALSZY CIĄG

— W kwietniu 1983 r. włamali się przez świetlnik w dachu do magazynu ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex" skąd skradli 2.300 mb. surówki, z której uszyli kimona i sprzedali;

— W czerwcu 1983 r. posługując się fałszywymi dokumentami zabrali ok. 12 kg srebra przemysłowego wartości 142.596 zł, na szkodę Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta" oraz Łódzkich Zakładów Metalowych;

— W sierpniu 1983 r. przy użyciu odpowiedniego sprzętu dokonali włamania do magazynu srebra w budynku „K" w „Elcie".

— W październiku 1983 r. włamali się do magazynu galwanizerni w tejże „Elcie". Przedostali się z posesji znajdującej się przy ul. Wólczańskiej 135 na dachy poszczególnych oddziałów fabryki, a następnie przez otwór w oknie i metalowych szynach po wyłamaniu drzwi do galwanizerni i włamaniu do kasy pancernej skradli 13 kg sztab srebrnych, 12,5 kg tlenku rtęci oraz kartoteki z ewidencją Straty — 499.650 zł;

— W październiku 1983 r. podstępnie zwabili do mieszkania dwie kobiety — A.F. i Z.S. — i używając przemocy zmusili do odbycia z nimi stosunków płciowych;

— W listopadzie 1983 r. dokonali zbiorowego gwałtu na B.B. i skradli jej odzież, torebkę i dokumenty. Wartość kradzieży — 18.400 zł;

— W listopadzie 1983 r. włamali się do magazynu Nr 1 PHCH „Chemia" z zamiarem skradzenia srebra, lecz zabrali jedynie radio marki „Jantar" wartości 5.000 zł;

— W listopadzie 1983 r. dokonali kradzieży z włamaniem do Przedsiębiorstwa Polonijno-Zagranicznego „Andrema Ex" i skradli 5 maszyn overlockowych, w tym 4 maszyny firmy Yamoto pięcionitkowe i 1 Yamoto trzynitkowy oraz 1 overlock firmy Union Specjal trzynitkowy. Wartość skradzionych maszyn — 503.000 zł;

— W grudniu 1983 r. włamali się do magazynu znajdującego się na terenie ŁZR „Fonica" (magazyn hutniczy). Uprzednio przechowywano tu srebro. Tym razem nic nie było.

— W grudniu 1983 r. dokonali kradzieży w mieszkaniu A.E. Zabrali kożuch, płaszcz skórzany. W sumie — 80 tys. zł strat;

— 31 grudnia (Sylwester!) 1983 r. dostali się ponownie do „Elty" od strony ogródków działkowych. Z dachu przyległego budynku wybili otwór w ścianie ze szklanych luksferów i po sforsowaniu drzwi — szybu i kolejnych drzwi — windy przedostali się na I piętro magazynu ze srebrem i po otwarciu kas metalowych znalezionymi kluczami skradli 274,405 kg srebra wartości 9.876.793 zł;

— 16 stycznia 1984 r. włamali się do Zakładu Aparatury Elektrycznej „Ema-Elester" ukręcając kłódkę i wyrywając zamek do rozdzielni wydziału galwanizerni w zakładzie Z-1 i zabrali około 42 kg cyny i 15 kg nitów miedzianych posrebrzanych o łącznej wartości ca 45 tys. zł. Byli niepocieszeni.

— 23 stycznia 1984 r. ponownie włamali się do tejże „Emy-Elester". Tym razem się udało, zabrali anody srebrne na sumę około 1.677.000 zł;

— W kwietniu 1984 r. dokonali trzeciego skoku do „Emy-Elester". Tym razem zabrali nity, drut, styki i złom srebrny na sumę 3 mln zł. Niejako przy okazji, bo akurat się nawinęły pod rękę, z kasy wzięli 36 tys. zł, przeznaczone na zaliczki dla załogi.

Jak napisałem w podtytule, powyższy rejestr posiada swój dalszy ciąg, bowiem udaje się udowadniać przestępczej grupie coraz to nowe włamania. Akta pęcznieją i powstają ich kolejne tomy.

SPOWIEDŹ PRZED MILICYJNYM KONFESJONAŁEM

Z zeznań jednego z głównych podejrzanych Krzysztofa B.: *„Mieliśmy się włamać do „Elty", bo wydedukowaliśmy sobie, że musi tam być srebro, gdyż produkują tam transformatory. Chcąc dokonać włamania postanowiliśmy zobaczyć, gdzie znajduje się magazyn, w którym może być srebro. W tym celu kilkakrotnie udaliśmy się na teren działek, które przylegają do zakładu. W sumie na terenie działek byliśmy ze sześć razy. Za każdym razem, jak byliśmy na działkach wchodziliśmy również na teren zakładu. Na rynku „Górniak" od nie znanych mi osób kupiliśmy 3 duże śrubokręty, przecinak, 4 brzeszczoty do cięcia metalu wraz z ramką... W dniu 31.12.1983 r. zakupione przedmioty zapakowaliśmy w posiadany przeze mnie plecak. Zabrałem również posiadany w mieszkaniu młotek... Przez plot betonowy, na którym wyżej jest siatka weszliśmy na teren zakładu... Doszliśmy do drabiny przymocowanej do muru hali fabrycznej. Jako pierwszy na dach wszedł „Wujek", za nim K.K. i ja... Przez otwór w szybie... K.K. i „Wujek" weszli do wewnątrz hali... Następnie wszedłem ja do wewnątrz... Ponieważ kabina windy była poniżej pierwszego piętra, przez drzwi windowe weszliśmy do pomieszczenia, w którym znajdował się za siatką kantor kierownika... Doszliśmy do jakichś drzwi, przy których była puszka... Pisało na niej „Alarm"... Sądziliśmy po tej puszce, że drzwi są podłączone do alarmu i dlatego postanowiliśmy wybić otwór w ścianie... Przez wybity otwór do następnego pomieszczenia pierwszy wszedł „Wujek", a za nim K.K. Z pomieszczenia, do którego pierwszy wszedł „Wujek", a za nim K.K. przynieśli oni mnie około 10 zwojów drutu srebrnego, który był w kołach o średnicy około 50 cm. Według mojej oceny każdy z tych zwojów liczył około dwudziestu kilogramów wagi. Ja te zwoje drutu srebrnego odnosiłem i układałem obok drzwi windy. Później któryś z nich podał mi plecak, który również odniosłem do drzwi windy. Również w zabraną z domu torbę po rowerze składaku włożyli oni jakieś przedmioty srebrne, które ja przeniosłem do windy... Posiadaną przy sobie liną wymienione przedmioty wciągnęliśmy przez szyb windowy na drugie piętro, a następnie na dach hali. Z dachu zebrane przedmioty spuściliśmy również na linie w odległości około 10 m w prawo od drabiny. Następnie przedmioty te przenieśliśmy do furtki wyjściowej z działek..."*

A JAK TO SAMO WIDZIAŁ WARTOWNIK

„...z kolegą dwukrotnie przechodziliśmy obok magazynu ze srebrem mieszczącym się w budynku „K". W czasie patrolu nie zauważyliśmy obcych osób na terenie, jak i otwartych okien czy drzwi do jakichś pomieszczeń. Od godziny 21.30 do godziny 23.45 przebywałem na portierni Nr 1 tj. do momentu otrzymania telefonicznego powiadomienia przez elektryka dyżurnego, że na terenie zauważył on trzech obcych mężczyzn. Elektryk Z przekazał, że osobnicy ci uciekli na jego widok od budynku „K", w kierunku działek od strony ul. Szparagowej. Zgłoszenie telefoniczne przyjął dowódca zmiany S. Natychmiast na miejsce wysłał mnie i St. P. Z portierni do budynku „K" jest około 300 m. Byliśmy na miejscu, gdzie pan Z. widział trzech osobników Z. wraz z P. elektrykiem oraz z panem Ł. oczekiwali na nas Powiedzieli nam, w którym kierunku uciekli ci osobnicy. Udaliśmy się w kierunku działek od ulicy Szparagowej, gdzie uciekli trzej

Godziny grozy, o których mało kto wiedział

Wrocław nie ma szczęścia. Niedawno panowała tam niegroźna epidemia. A teraz znów służbę zdrowia postawiono w stan pogotowia. W jednym z mieszkań przy ul. Łukasińskiego złodzieje skradli małą buteleczkę: 2 cm wysoką, 8 mm średnicy, zapełnioną w jednej czwartej... cyjankiem potasu. Przechowywał ją u siebie pracownik Politechniki Wrocławskiej. A miał ją przekazać jubilerowi. Dlaczego nie przekazał? Niech się tym martwi wrocławska milicja. Istotne jest dla mnie to, że groźna trucizna znajduje się w rękach ludzi, którzy być może nie zdają sobie z tego sprawy i przez nieświadomość, brak wyobraźni i zwykłą głupotę mogą spowodować nieszczęście.

Coś podobnego zdarzyło się niedawno też w Łodzi.

31 MAJA 1984 ROKU OKOŁO GODZINY 9

samochód wyjechał z „Chemikoloru" i ulicami: Morgową, Rydzową, Rojną, Traktorową, Rąbieńską, Krakowską, Biegunową, Srebrzyńską, aleją Unii, Konstantynowską i aleją Włókniarzy pojechał do bazy Państwowej Spedycji Krajowej na stacji Łódź Kaliska. Samochód ten między innymi wiózł skrzynki z silną trucizną. Skrzynek było 7, gdy je brano w „Chemikolorze". Skrzynek było 6, gdy samochód zaczęto rozładowywać na stacji Łódź Kaliska. Co stało się z jedną?

Samochód natychmiast powrócił tą samą trasą do „Chemikoloru". Ale tam się wszystko zgadzało. Wydano i załadowano 7 skrzynek. Ale do stacji Łódź Kaliska dowieziono 6 skrzynek. Co się stało z jedną?

Samochód znów przemierza tę samą trasę. Jedzie wolno. Kierowca i konwojent rozglądają się uważnie, czy gdzieś nie leży skrzynka. Ale nie. Dojeżdżają do celu, a skrzynki nie ma. Zawiadamiają dyrekcję Państwowej Spedycji Krajowej o zaginięciu skrzynki z silną trucizną. Zawiadomiona zostaje też milicja. Wszyscy zadają sobie też pytanie: skrzynkę skradziono czy zgubiono?

Jeszcze tego dnia, w lokalnym programie telewizji i radia, nadane zostają odpowiednie komunikaty. Następnego dnia taki komunikat ukazuje się jedynie w „Expressie Ilustrowanym".

„Wczoraj przed południem na trasie między „Chemikolorem" przy ul. Morgowej a ekspedycją PSK — Łódź Kaliska przy al. Włókniarzy z samochodu LDB 188B spadła 50-kilogramowa skrzynia z bardzo silną trucizną. Skrzynia opatrzona jest znakiem ostrzegawczym, a jej otwarcie grozi niebezpieczeństwem. Znalazca lub osoby znające los skrzyni powinni niezwłocznie zawiadomić najbliższą jednostkę milicji lub skontaktować się z PSK tel. ..."

Milicja nie czekając na rezultaty komunikatu rozpoczęła intensywne poszukiwania. W końcu nie wszyscy oglądają lokalny program telewizyjny, nie wszyscy słuchają radia. A niebezpieczeństwo jest ogromne. Zgubiona trucizna przeznaczona jest do niszczenia szkodników zbożowych. Działa szczególnie silnie w zamkniętych pomieszczeniach. Wystarczy otworzyć pojemnik z fiolkami z trucizną, a już zacznie wydzielać się bezbarwny gaz, który paraliżuje drogi oddechowe, układ nerwowy. Skutki zatrucia mogą być śmiertelne i ujawniać się stopniowo. Nawet po kilku dniach. Ratunek musi jednak przyjść natychmiast, a ratujący muszą znać działanie tej trucizny. Należy ona do pierwszej klasy trucizn, do tej samej co cyjanek potasu. Trucizna ta szybko się rozprzestrzenia, nie wiąże się na przykład chemicznie z ziarnem i dlatego może być stosowana do walki ze szkodnikami w magazynach zbożowych. Pomieszczenia muszą być dobrze przez kilka dni wietrzone. Stosować ją mogą tylko specjaliści obeznani z jej działaniem.

JAK WOZIĆ TRUCIZNĘ?

Zapytałam o to specjalistów z Przedsiębiorstwa Zwalczania Szkodników Żywności. Odpowiedzieli mi, że tylko w zamkniętych samochodach. Czy samochód, którym wieziono truciznę z „Chemikoloru" do stacji Łódź Kaliska spełniał te warunki? Okazuje się, że nie. Właściwie wystarczyłoby, aby plandeka była szczelnie zasznurowana. Ale plandeka była krótka i nieszczelna. Skrzynki z trucizną położono na wierzchu ładunku. Kierowca samochodu twierdzi, że nie jest w stanie wiedzieć co wozi. Ale skrzynki były przecież specjalnie oznaczone i wiadomo było, że to trucizna. Kierowca jednak za ładunek nie odpowiada, on odpowiada za samochód i bezpieczną jazdę. On swoje obowiązki wypełnił. Mimo to milicja go zatrzymała na 24 godziny.

Zadzwoniłam do „Chemikoloru", chcąc się dowiedzieć, jak to było ze zgubioną trucizną, ale tam szybko odżegnano się od całej sprawy. To nie ich trucizna, produkowana jest w NRD, oni tylko ją przekazywali Państwowej Spedycji Krajowej, aby przewiozła na stację, a stamtąd — do Radomia. To nie ich sprawa.

Dzwonię do Państwowej Spedycji Krajowej. Owszem, oni są przewoźnikami, ale samochody dostają z PKS. Jakie dostają, takimi wożą. Powinny być szczelne, ale ten nie miał szczelnej plandeki. Skrzynka była tak ustawiona, że teoretycznie nie powinna była spaść. Czyżby więc ktoś ją ukradł?

Polska Agencja Prasowa coś takiego sugerowała. Jeszcze 4 czerwca 1984 roku ukazywały się informacje PAP:

„31 maja w Łodzi skradziono z samochodu dostawczego 60-kilogramową skrzynię z silnie trującym preparatem...".

Milicja zatrzymała również konwojenta.

Gdy w jakiś czas później z nim rozmawiałam, miał już dość wożenia niebezpiecznych ładunków. Zmienił stanowisko na własną prośbę i choć nie stracił na zarobku, to pracę ma trudniejszą. Chyba w ogóle odejdzie z PSK i wróci do poprzedniego zawodu. Jest przecież posadzkarzem i kafelkarzem, a to dziś złoty interes.

JAKIE BYŁY DALSZE LOSY SKRZYNKI Z TRUCIZNĄ?

Spadła sobie ona zupełnie samowolnie na ul. Srebrzyńskiej przed „Lenorą". Spadła pod nogi przechodzącej kobiety. Ta się zatrzymała i patrzyła na zgubioną przez samochód skrzynkę. Nie wiadomo, co myślała i co miała zamiar zrobić. Nie wiadomo nawet kim była. Nim bowiem cokolwiek postanowiła, nadjechał samochód „Lenory", kierowca wyszedł i zabrał skrzynkę.

Kierowcy są solidarni. Wiadomo, że w jezdniach są dziury i ładunek niezbyt dobrze zabezpieczony podskakuje na wybojach i nietrudno coś zgubić. Potem są kłopoty. Trzeba więc sobie pomagać. I kierowca „Lenory" postanowił pomóc nieznanemu koledze. Zabrał ładunek, zawiózł do bazy transportowej „Lenory" i tam rozpoczęto śledztwo na własną rękę. Z tym, że szukano nie zgubionej skrzynki, jak to robiła milicja, ale tego, kto skrzynkę zgubił.

Na skrzynce był napis „Ciech" — nazwa centrali handlu zagranicznego. Kierowcy z bazy transportu „Lenory" logicznie rozumowali, że „Ciech" ma coś wspólnego z chemią, a jak chemia, to „Stomil". Tak im się to jakoś skojarzyło. Zadzwonili do „Stomilu", ale tam nic nie zgubiono. Ze „Stomilu" zadzwoniono do „Ciechu", ale tam sobie nic nie skojarzyli, a powinni byli. Na skrzynce był bowiem numer kontraktu i w „Ciechu" powinni byli się tym zainteresować i ustalić, kto i do kogo przesyłał tę truciznę. Ale tego nie zrobiono. Pracownicy z „Lenory" szukali dalej.

Nikt z nich nie oglądał tego dnia lokalnego programu telewizji, nie słuchał lokalnego radia. Nie mógł więc dowiedzieć się, że milicja szuka zgubionej skrzynki. Ale mogli się tego domyśleć. Wystarczyło zawiadomić pierwszy z brzegu komisariat. Ale działała solidarność kierowców. Dziś ja pomogę tobie, jutro ty pomożesz mnie. Milicjantom włosy siwiały na myśl, co się może stać, gdy ktoś nie powołany otworzy skrzynkę z trucizną. Szukali dalej.

Kierowcy z „Lenory" nie zdążyli przeczytać komunikatu w „Expressie Ilustrowanym", gdyż ten — jak wiadomo — wychodzi po południu, a prasa poranna tego komunikatu nie podała. Szukali dalej i trafili wreszcie do PSK. Nim jednak z PSK przyjechali po zgubę, szybsza była milicja. Paru milicjantów kierujących poszukiwaniami mogło wreszcie spokojnie spać. Przedtem jednak specjaliści ustalili, że skrzynki nikt nie otwierał, że cała jej zawartość jest nienaruszona, że nic już nikomu nie grozi.

Był piątek, 1 czerwca 1984 roku, godzina 15. Ale po prasie polskiej jeszcze przez kilka dni krążyła informacja PAP o skradzionej w Łodzi truciźnie. „Express Ilustrowany" podał 4 czerwca (poniedziałek, bo gazeta nie wychodzi ani w sobotę, ani w niedzielę), że „trucizna już w bezpiecznym miejscu".

A miasto przez cały ten czas żyło sobie spokojnie nieświadome zagrożenia. Tą skrzynką można byłoby spokojnie wytruć sporą część mieszkańców Łodzi.

Tym razem skończyło się dobrze, ale

NIEBEZPIECZEŃSTWO ISTNIEJE NADAL

jeśli nie będą skrupulatnie przestrzegane przepisy, jeśli komuś zabraknie wyobraźni. Nie mogę pojąć, jak można w mieszkaniu przechowywać kilka gramów cyjanku potasu, wiedząc, że to groźna trucizna? Jak można połakomić się na buteleczkę z groźnym proszkiem? Może złodzieje myśleli, że to... narkotyk. Nawet powąchanie cyjanku potasu zagraża życiu. A przecież najprzeróżniejszych trucizn jest dziś pełno. Używa się ich do walki ze szkodnikami, używa się w produkcji różnych artykułów chemicznych, używa się w medycynie. Trzeba więc zrobić wszystko, aby po pierwsze — trucizny były dobrze, widocznie oznakowane. Robi się to znakiem trupiej główki. Ludzie jednak lekceważą ten znak. Dlaczego? Trudno pojąć. Trzeba ściśle przestrzegać przepisów przechowywania trucizn i odpowiedzialności tych, którzy je przechowują. Trzeba wreszcie — przestrzegać przepisów przewożenia trucizn. Nie mam pewności, czy do jednego samochodu nie ładuje się przypadkiem jednocześnie różnych artykułów (na przykład chemicznych i spożywczych), których sąsiedztwo wzajemnie się wyklucza. Odpowiednie władze — na przykład Sanepid — powinny się zainteresować warunkami przewożenia nie tylko trucizn.

Piszę to wszystko po to, aby znów nad Wrocławiem, Łodzią, Krakowem czy innym miastem Polski, czy choćby nad jakąś rodziną, grupą ludzi nie zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Aby przez czyjąś głupotę nie zginęli lub nie ponieśli kalectwa niewinni, nieświadomi niczego ludzie.

BOGDA MADEJ

Rys. Janusz Szymański-Glanc

osobnicy. W płocie stwierdziliśmy odgięcie siatki za rozdzielnią na wprost magazynu „K". Sprawdziliśmy dalej ogrodzenie. Innych uszkodzeń nie było. Z P. patrolowałem do godz. 2.00. Sprawdziliśmy w tym czasie wszystkie okna, drzwi i ich zamknięcie i plomby. Stwierdziliśmy tylko, że w spawalni było otwarte okno do umywalki. O tym fakcie zgłosiliśmy dowódcy. Poza tym oknem wszystko było w porządku".

NIEZBĘDNE WYJAŚNIENIE

Dla dobra toczącego się śledztwa z konieczności muszę zachować anonimowość zatrzymanych. Ich działalność naraziła naszą gospodarkę na milionowe straty, ich brutalność i agresja spowodowały, że w psychice kilku kobiet pozostaną, być może na zawsze, trwałe ślady.

Działali w różnych grupach, choć cel był jeden. Z uporem atakowali ten sam zakład, jeśli w czasie pierwszego skoku łup był mały lub brali nie to co zamierzali wziąć. Zastanawia reakcja służb ochronnych okradanych zakładów: jakby nie wierzyli, że włamanie może się powtórzyć. „Ema-Elester" okradana była trzykrotnie w ciągu miesiąca. I gdyby nie to, że nie było już czego wynosić, okradziono by ją po raz czwarty. Kiedy oglądam zabezpieczone ślady utrwalone na fotografiach, widzę i taki oto obrazek: oto drzwi magazynu wydziału P-1100 są podparte odważnikiem! Zaraz nasuwa się pytanie: dlaczego dokonano zaledwie trzech włamań, a nie na przykład trzydziestu? Przy takim zabezpieczeniu?

Oto co zeznał jeden z portierów: *„Służbę pełnię przez cały czas na portierni. Moim obowiązkiem jest pilnowanie kluczy z workami od poszczególnych wydziałów i pomieszczeń".* No tak, kluczy, dzięki Bogu, nie ukradli.

Podobnie wszystko w porządku było w „Elcie". Wartownicy także niczego nie stwierdzili, choć elektryk widział trzech osobników zmykających w stronę ogródków działkowych. Ale w ich przekonaniu wszystko było w porządku, choć z zakładu zabrano srebra na ponad 9 mln zł.

Więc nie dziw, że złodzieje działali w poczuciu niemal całkowitego bezpieczeństwa i mogli ponawiać skoki, jeśli łup był zbyt skromny.

Tak było w przypadku, kiedy zamiast srebra zabrano nity posrebrzane. Posłuchajmy, co na ten temat mówi jeden z uczestników włamania, który został zwerbowany i na skok szedł z mężczyzną, którego wcale nie znał. Ale poszedł.

„O godzinie 21.00 oczekiwałem na tego mężczyznę w umówionym miejscu. Przyszedł on wcześniej i miał ze sobą dwie torby turystyczne duże. Wspólnie udaliśmy się w stronę ul. Przędzalnianej. Doszliśmy do ogrodzenia szpitala „Jonchera", przeskoczyliśmy przez płot i dalej podeszliśmy do ogrodzenia oddzielającego szpital od jakichś zakładów... Mężczyzna ten powiedział mi, abym oczekiwał przy ogrodzeniu w pobliżu stawku aż on wróci i gwizdnie, to wtedy ja podejdę do ogrodzenia i odbiorę od niego torby... Po ok. 40 min. powrócił on i w umówiony sposób zasygnalizował, że mam odebrać torby... Były one bardzo ciężkie...

Przy zbiegu ul. Milionowej i Przędzalnianej zatrzymałem taksówkę... W poniedziałek..., gdy przyszedłem o umówionej porze do zakładu Z. był tam już ten mężczyzna, z którym byłem na włamaniu. Z. zawołał mnie na zaplecze i wyjaśnił mi, że rzeczy, które przynieśliśmy z włamania są bezwartościowe. Przy mnie nożem Z. skrobał jeden nit koloru białego i powiedział, że jest to miedź, ale posrebrzana. Dodatkowo sprawdzali jeszcze te nity kwasami w sąsiednim zakładzie jubilerskim..."

Dla wyjaśnienia dodam, że owym nieznajomym mężczyzną był trener sekcji „Karate" w Ozorkowie Z.K., który zdążył już oszukać swoich podopiecznych na sumę 184 tys. zł, pobierając opłaty za kurs i nie odprowadzając pieniędzy do kasy. A wszystko to zaledwie w ciągu 6 miesięcy.

DOLCE VITA MILIONERÓW

Imieniny K.K. Huczne. Nikt się nie oszczędza. I niczego nie oszczędza. Mając taki szmal można poszumieć. Na tychże imieninach znalazła się także Katarzyna E. Oto jej relacja:

„Podszedł do mnie (chodzi o uczestnika imienin Z.K.) *i uderzył mnie trzy razy ręką w twarz. Przeklinał przy tym. Następnie wziął do ręki pejcz skórzany, który dostał w prezencie na urodziny i podszedł do mnie mówiąc, abym się rozbierała. Uderzył mnie tym pejczem dwukrotnie po nogach. Powiedziałam mu, że nie rozbiorę się. Zaczął mnie szarpać za ubranie. Nadmieniam, że wszystko to działo się w obecności pozostałych osób, które jednak nic nie mówiły. Nadmieniam, że jeszcze przed tym, nim Z.K. mnie uderzył, z mieszkania wyszedł K.B. nie mówiąc gdzie idzie.*

Kiedy Z.K. zaczął mnie szarpać za ubranie, nadmieniam, że ubrana byłam wówczas w spódnicę, bluzkę z krótkimi rękawami i wiatrówkę sztruksową. Obawiając się dalszego bicia postanowiłam się rozebrać. Zdjęłam całą odzież łącznie ze stanikiem i majtkami. Usiądłam na wersalce. Rafał, czyli K.K. powiedział do Z.K. aby dał mi spokój, na co Z.K. odpowiedział mu, aby się nie wtrącał. Z.K w pewnym momencie kazał rozebrać się wszystkim. Wszyscy mężczyźni, prócz Z.K. rozebrali się do naga. Anka rozebrała się do stanika i majtek. Kiedy siedziałam na wersalce Z.K. nakłonił mnie do picia wódki. Wypiłam pół kieliszka i powiedziałam, że jest mi niedobrze i będę wymiotować. Powiedziałam tak dlatego, że chciałam uciec z tego domu. Kiedy chciałam się ubrać Z.K nie pozwolił mi, mówiąc „Nie ubierzesz się!". Widząc, że nie mam innych szans, uciekłam z mieszkania nago".

PRZEMOC I OKRUCIEŃSTWO

Trzy kobiety oskarżają członków gangu o gwałt popełniony na nich w sposób okrutny i bestialski. Grożenie nożem, bicie i przypalanie ciała papierosem należało do arsenału środków wymuszających zgodę i uległość. A jak to się odbywało? Oto co zeznała jedna z ofiar:

„Po przyjściu do mieszkania usiedliśmy w pierwszym pokoju. Postawili oni na stół wódkę i kieliszki. Z.K. powiedział do mnie, abym się udała do drugiego pokoju i rozebrała się do naga. Nie chciałam wejść do drugiego pokoju, chciałam iść do domu. Wówczas K. powiedział do mnie, żebym poszła do pokoju i rozebrała się, bo zostanę zbita. Pozostali mężczyźni śmiali się. Weszłam do pokoju, siadłam na łóżku i płakałam. Po kilku minutach wszedł do pokoju K. Zapytał mnie, dlaczego się nie rozebrałam. Powiedziałam, aby dał mi spokój, że chcę iść do domu. On wtedy zaczął mnie szarpać, podarł mi bluzkę. Zaczął mi grozić, że mnie pobije. W obawie przed biciem rozebrałam się i położyłam na łóżku. Byłam w majtkach. Nadmieniam, że Z.K. wszedł do pokoju też tylko w majtkach. K. położył się obok mnie, po czym zdjął mi majtki rozdzierając je. Prosiłam go, aby zostawił mnie w spokoju, ale on mając nade mną przewagę fizyczną przytrzymując mnie za ręce doprowadził do odbycia stosunku płciowego. Następnie wyszedł z pokoju, a wszedł K.K. Był rozebrany. Nic nie mówił, tylko zaczął się ze mną szarpać, kiedy się broniłam. Kilkakrotnie uderzył mnie pięścią w twarz. Przypalał mi papierosem plecy. W ten sposób działając zmusił mnie do odbycia z nim stosunku płciowego. Po jego wyjściu do pokoju, gdzie byłam wszedł Z.K. (dwóch uczestników miało te same inicjały — przyp. E.I.). Był ubrany. Prosiłam go, aby nic mi nie robił. K. usiadł na łóżku obok mnie i rozmawialiśmy. Po około 10 minutach wszedł do pokoju K.K. Powiedział do K. „Co ty się jeszcze nie rozebrałeś?" i kazał mu się rozebrać. Z.K. rozebrał się. Wtedy K. wyszedł z pokoju. Z.K. położył się koło mnie i przytrzymując mnie za ręce i nogi doprowadził do odbycia stosunku płciowego... Po odbytym stosunku wyszedł, a wszedł K.B. Był rozebrany. Położył się koło mnie, wykręcił mi ręce i odbył ze mną stosunek płciowy. Wyszedł z pokoju. Wtedy drzwi już nie zamknął. Z.K. powiedział, że mogę się ubrać. Ubrałam się i wszyscy wyszliśmy z domu. Z.K. odwiózł mnie taksówką do domu".

Trzeba dodać, że przy okazji zabrali poszkodowanej jej torebkę, w której były pieniądze, kosmetyki, dowód osobisty, klucze od mieszkania itp. Dowód zresztą później, już w czasie rewizji, znaleziono u jednego z zatrzymanych.

UWAGA KOŃCOWA

Należy sądzić, że będzie to głośny proces i zapadną zgodne z literą prawa wyroki. Jednakże chciałbym podkreślić tu wielki wysiłek przedstawicieli organów ścigania. Gdyby tak przeliczyć na złotówki ich czas, dziesiątki przesłuchanych osób, koszty związane z wyjazdami, tomy zapisanych akt — być może, że okazałoby się wówczas, iż koszty poniesione dla wykrycia i ujęcia sprawców są równie wysokie, co koszt zrabowanego mienia. Ale takich wyliczeń nikt nie prowadzi. Są to koszty ponoszone przez całe społeczeństwo.

Nikodem

JERZY JESIONOWSKI

Nikodem Ołomucki miał dość powodów, by uważać, że wszedł po czterdziestce w najlepszy okres swego życia. Pożycie z Lidią układało się bardzo dobrze. Niepokój o stosunki z pasierbicą okazał się płonny. Zuzia traktowała ojczyma niemal po koleżeńsku, lecz z należytym szacunkiem dla jego osoby i twórczości — a nawet jakby z odrobiną damskiego zainteresowania. Wreszcie pisarstwo nabrało rozmachu. Choć miał teraz na nie mniej czasu niż w okresie samotności, był w nieporównanie lepszej kondycji twórczej. Wydał w ciągu czterech lat dwie dalsze powieści, powiększając tym swój książkowy dorobek w dwójnasób.

Niefortunne małżeństwo z Danką poszło w niepamięć. Pojawiał się w jego myślach tylko syn Marek, odcięty odeń z woli matki i dziadków. Ojcostwo Nikodema wyrażało się jedynie w wysyłaniu alimentów, bo nic więcej nie mógł. Marek kończył w tym roku dziewiętnaście lat i powinien zdawać maturę. Owo „powinien" było jednak wszystkim, co Nikodem wiedział. Danka natomiast zdobywała jakoś informacje o byłym mężu. W kilka tygodni po ślubie z Lidią otrzymał od niej kartkę z życzeniami pomyślności w nowym związku małżeńskim. Trudno było odgadnąć, czy należy to traktować jako prawdziwą życzliwość, czy jako coś w rodzaju ironii.

Na początku kwietnia Nikodem otrzymał — po czterech latach — drugą kartkę z Radomia. Tym razem jej intencja nie budziła wątpliwości, treść zaś była radosna. „Tato! Będę w piątek w Warszawie, żeby dowiedzieć się o warunki przyjęć na wydział prawa uniwersytetu. Chciałbym się z Tobą spotkać. Zatelefonuję w południe do wydawnictwa. Marek".

Nikodem poczuł ciepło w sercu. To pragnienie syna, by spotkać się z ojcem, po dziesięciu latach niewidzenia i niepisania do siebie, zapowiadało na pewno trwały przełom w ich stosunkach. Czy zmiękła radomska rodzina, czy też Marek zdecydował się, w przededniu matury, sam sobą kierować? Jakkolwiek było, należało się ze zmiany cieszyć. Podał kartkę Lidii.

— Przeczytaj.

Przebiegłszy wzrokiem krótki list Lidia uśmiechnęła się.

— No widzisz! A wydawało ci się, że już go straciłeś.

— Cieszę się, że byłem w błędzie.

— Zaprosisz go oczywiście tu, do domu?

O tym Nikodem jeszcze nie pomyślał. Mógł spotkać się z Markiem w kawiarni, ale skoro Lidia sama proponowała zaproszenie go do domu, należało chyba tak zrobić.

— Nie będzie to kłopotliwe dla ciebie? — zapytał, by mieć pełną jasność.

— Nie będzie. Przedstawisz go mnie i Zuzi, a potem zostawie was w pokoju samych. Mam się przecież gdzie pomieścić w tej willi.

— Dobrze, zaproszę go tutaj.

W piątek Nikodem czekał niecierpliwie na telefon syna. Marek zadzwonił kwadrans po dwunastej. Przedstawiwszy się spytał:

— Dostałeś moją kartkę?

— Tak. O której chcesz wracać do Radomia?

— Tym nie musimy się krępować. O której mógłbyś się ze mną spotkać?

— Chciałbym cię zaprosić na piątą do domu.

Marek podniósł wcześniejszą wątpliwość Nikodema.

— Nie będę tam kłopotem?

— Nie.

— Dobrze, w takim razie przyjadę o piątej na Balonową.

Od dzieciństwa było widoczne, że Marek odziedziczył fizyczne cechy ojca. Dopiero teraz jednak, ujrzawszy syna po dziesięciu najważniejszych dla rozwoju chłopca latach, Nikodem docenił dokładność tego dziedzictwa. W progu stał naprzeciwko niego nieomal sobowtór, tyle że o ćwierć wieku młodszy. Tak samo jednak wysoki, mocno zbudowany i ze skopiowaną prawie twarzą. Jedynie fryzura, bujna zgodnie z nową modą, nie pozwalałaby mu posługiwać się starą fotografią ojca.

W pokoju Nikodem przedstawił syna żonie i pasierbicy. Zuzia natychmiast przeszła z Markiem na „ty". Ze względu na różnicę wieku Lidia nie była w takim łatwym położeniu, toteż tytułowała go „panem". Zmiana tej formy mogła być dopiero sprawą przyszłości.

Panie wyniosły się wnet z pokoju i Nikodem został sam z odzyskanym synem. Przede wszystkim chciał poznać sytuację w dawnej rodzinie.

— Czy spotykasz się ze mną za zgodą mamy? — spytał.

— Powiedziałem jej o tym przed wyjazdem — odrzekł Marek po chwili namysłu. Pozwalało to domyślać się, że zgoda była raczej milcząca.

— A co z dziadkami? Żyją?

— Żyją. Ale to, tato, twarda kołtuneria i skleroza. Nawet mama nie znajduje z nimi wspólnego języka, a cóż dopiero ja. Żyjemy w tym samym mieszkaniu, ale w innych światach. Nie mówmy o nich, nie warto.

— Dobrze. Jak ci szło w szkole?

— Nieźle. O maturę obawy nie mam. Mogę najwyżej potknąć się przy egzaminie na uniwersytecie. Ale też chyba nie.

Nikodem kierował dalszą rozmowę tak, by zyskać obraz umysłowości, poglądów i postawy życiowej syna. Wiwisekcja podnosiła go na duchu. Marek — może z młodzieńczej przekory — był w wyraźnej opozycji do całego systemu wartości, pielęgnowanego w zacofanym domu. Myślał postępowo. Należał do socjalistycznego związku młodzieży. Był oczytany, a wszystkie książki ojca znał w stopniu świadczącym o bardzo uważnej lekturze. Zgadzał się z wyrażanym w nich stosunkiem do świata i życia.

Lidia przyniosła kawę, lecz podziękowała za zaproszenie do wypicia jej z nimi. Rozmawiali dalej. Gdy ciekawość Nikodema została z grubsza zaspokojona, zaczął pytać Marek. Interesowała go praca ojca w wydawnictwie i plany pisarskie. Nie dotykał tylko nowej sytuacji rodzinnej Nikodema. Nietrudno było domyślić się, że powoduje nim dyskrecja i delikatność tematu, a nie brak zainteresowania nim.

Po dwóch godzinach wiedzieli już o sobie dużo. Spojrzawszy na zegarek, Marek stwierdził z żalem, że musi odejść. Nie chciał wracać do Radomia w nocy, gdyż naraziłby tym matkę na niespokojne wyczekiwanie. Wobec takiego argumentu Nikodem nie próbował zatrzymywać syna.

— Przychodź, ilekroć będziesz w Warszawie — zaprosił go.

— Dziękuję. Chciałbym się pożegnać z paniami.

— Zaraz do nich pójdziemy. Poza tym wypada mi pokazać cię mojemu bratu i jego żonie. Ostatni raz widzieli cię chyba jeszcze w krótkich majtkach.

— Oczywiście, powinienem pokazać się wujostwu już jako wielkolud.

Do oględzin przyłączyły się także córki Krzysztofa i Lucji — starsze od Marka, lecz prezentujące się przy nim jako niewyrośnięte. Powtórzyło się zaproszenie — teraz od wszystkich — do dalszych odwiedzin. Żegnając się z synem przy drzwiach willi Nikodem czuł jeszcze większe wzruszenie niż podczas powitania. Miał już pewność, że odzyskał go na stałe. I takiego, o jakim marzył przez lata rozłąki. Mógł być dumny z jedynaka.

Następnego dnia przyszło mu zetknąć się — nie po raz pierwszy zresztą — z dzieckiem, o którym rodzice woleli milczeć. Była nim Edyta, córka Widłowskich, o rok starsza od Marka.

Kłopoty z nią zaczęły się wcześnie, już w szkolnych latach, gdy objawiła większą skłonność do chłopców niż do nauki. Maturę zdała w poprzednim roku niemal cudem, bo zapowiadała się klapa. Spośród szkół wyższych interesowała ją tylko jedna: aktorska. Tam wszakże odpadła w przedbojach. Sama tylko urodę egzaminatorzy uznali za walor niewystarczający, innymi zaś nie potrafiła się wykazać.

Wyłoniło się pytanie: co dalej? Mimo krytycznego werdyktu egzaminatorów Edyta pozostała przy przekonaniu, że powołaniem jej jest sztuka. Jeśli nie teatr, to estrada albo film, gdzie łatwiej się przebić bez dyplomu. Ciągle liczyła na swą urodę i zdolności do śpiewu oraz tańca. W ciągu roku dało się jej osiągnąć tylko jedno, grała jako statystka w filmie. Uznała to jednak za obiecujący początek i tym bardziej utwierdziła się w artystycznych ambicjach.

Podczas swych wizyt na Balonowej Widłowscy niechętnie podejmowali temat córki; ucinała go zwłaszcza Aleksandra. Bywała wszakże w willi sama Edyta, która wychowywała się tu w dzieciństwie z córkami Krzysztofa oraz Łucji, a teraz je odwiedzała. Dziewczyny były ze sobą szczere i tą drogą dotarła do starszego pokolenia wiadomość: Edyta sypia z filmowcami oraz innymi mężczyznami wierząc, że dopomoże jej to w karierze.

Krzysztof i Łucja dość długo zastanawiali się, czy powiedzieć o tym odkryciu Aleksandrze. Ostatecznie postanowili milczeć. Nie chcieli zawieść zaufania córek. Poza tym — co było jeszcze ważniejsze — nie wiedzieli, jak przyjęłaby ten donos Aleksandra. Może zna prawdę, lecz woli nie mówić o tym z rodziną. Przecież sama wspomagała się łóżkiem przy robieniu doktoratu, i to będąc mężatką.

Nazajutrz po wizycie Marka, w sobotę, piękna Edytka znowu odwiedziła kuzynki. W istocie jednak sprowadziło ją na Balonową co innego. Gdy Lidia poszła przygotowywać kolację i Nikodem został w pokoju sam, Edyta wśliznęła się do niego.

— Można na chwilę, wujku?

— Proszę — odpowiedział.

Siadła na fotelu obok biurka i od razu wyłożyła swą sprawę.

— Czy mógłby mi wujek załatwić kartę wstępu do klubu literatów?

Klub literatów w siedzibie ich związku składał się z małej kawiarni i stołówki. Bywali tam ludzie z różnych środowisk twórczych oraz ich otoczki — uprawnieni na podstawie kart wstępu lub w towarzystwie uprawnionych. Kontrolowano to wprawdzie tylko w stołówce, Edytę zaś interesowała prawdopodobnie kawiarnia, lecz wolała widać czuć się uprawnioną. Nikodem odgadł bez trudu, że to również miałby być dla niej przedsionek do kariery, a przede wszystkim miejsce zawierania pomocnych znajomości.

Karty wstępu bardzo ostatnio obwarowano. Nikodem nie widział możliwości uzyskania jej dla Edyty, nie będącej ani jego córką, ani członkiem jakiegokolwiek stowarzyszenia twórców. Wiedząc zaś o damskich zabiegach młodej kuzynki nie zamierzał czynić nic, co by je ułatwiało.

— To nie jest możliwe — odrzekł. — A ty czego chcesz szukać w tym klubie?

— Tego, czego się szuka w kawiarni — odpowiedziała bez zająknienia, przygotowana widać na takie pytanie.

— Kawiarni w Warszawie mnóstwo, bez kart wstępu.

— Ale u literatów bywają interesujący mnie ludzie.

— Jacy ludzie?

— No filmowcy na przykład. Zaczepiłam się już przecież w tej branży.

Nikodem miał ochotę wyrazić swój sąd o tym zaczepieniu się, lecz poskromił ją. Nic go przecież nie upoważniało do prawienia pouczeń pełnoletniej dziewczynie. Tylko rodzice mieli do tego prawo, ale nawet z nimi nie musiała się już liczyć.

— Niestety, nie mogę ci tego załatwić — ponowił odmowę. — Zarząd wprowadził ostatnio ostre ograniczenia, bo za dużo już tych kart wydano. Członkowie związku muszą wyczekiwać na miejsce i protestują.

Wydało mu się, że Edyta chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

— No cóż, trudno — rzekła wstając. — Do widzenia.

Następnego dnia, w niedzielę, czekał Nikodema udział w towarzyskim spędzie u kuzynów Lidii. Nie lubił takich gromadnych przyjęć, służących popijaniu z różnych okazji. Wolał kameralne spotkania w małym gronie, z kilkoma najwyżej osobami, z którymi można porozmawiać przy kawie o interesujących sprawach. Niedzielne cocktail-party u małżonków Curzyńskich miało niestety inny charakter. Było modną ostatnio demonstracją osobistego sukcesu. Prywatnym odbiciem sukcesu państwowego, o którym głośno trąbiła oficjalna propaganda.

Za czasów Gomułki, który sam żył bardzo skromnie, pysznienie się dostatkiem było raczej źle widziane. Prowokowało poza tym podejrzenia o nieczyste źródła dochodów. Toteż ludzie bogaci (bo byli tacy i wówczas) starali się konsumować swój dobrobyt bez ostentacji. Po roku siedemdziesiątym (a ostrożność stała się zbędna. Politykę Gomułki określono jako „socjalizm siermiężny", co rączo zostało uznane za dyspensę na zmianę przyodziewku.

Niewiele czasu wystarczyło, by — wobec milczącego przyzwolenia, a nawet przykładu z góry — zaczął się istny wyścig do dóbr materialnych. I to wszelkimi sposobami, nie wyłączając nieuczciwych. Jak kto mógł, tak garnął do siebie. Ludzie zaniepokojeni tym mówili o postępującej demoralizacji części społeczeństwa — tej mającej możność uzyskiwania nienależnych korzyści. Nowobogacka chciwość i drażniące ludzi pokazy zasobności budziły już protesty na zebraniach i w listach do gazet. Tłumiono jednak te głosy, kwalifikując je — przy niemałym udziale dziennikarzy — jako próby równania w dół, powrotu do socjalizmu siermiężnego.

Koło nowobogactwa toczyło się przeto dalej. Wyrastały luksusowe wille i dacze. Kwitło śmieszne skądinąd współzawodnictwo na polu marek samochodów, ras i liczby domowych psów, miejsc spędzania wakacji. Nawet szkoły stały się wystawami strojów, mających świadczyć o materialnej pozycji rodziców. Najbardziej żałośni byli jednak ci, którzy uczestniczyli w tych wyścigach kosztem rzeczywistych potrzeb życiowych, a nieraz wręcz za cenę bolesnych wyrzeczeń.

Curzyńscy — Jadwiga, cioteczna siostra Lidii, oraz jej mąż Edmund — zarabiali dobrze już w poprzednich latach. On był architektem, ona — wziętą projektantką mody. Przed siedemdziesiątym rokiem nie wyszli jednak w swoich bytowych ambicjach poza dobry samochód i wakacje w krajach bałkańskich. Dopiero nowy etap dodał im gazu. Przede wszystkim rzucili się ku intensywnemu zarobkowaniu. Ona projektowała stroje od rana do wieczora, rezygnując niemal całkowicie z wolnego czasu. On postępował tak samo: po powrocie z biura zasiadał do projektowania willi i domków letniskowych dla nowobogackich. Szydził z gustów i wymagań tych klientów, biorąc za swe estetyczne obrzydzenie odwet w pobieranych opłatach. Pieniądze płynęły obficie i w ciągu paru lat małżonkowie dorobili się połówki luksusowego bliźniaka na Dolnym Mokotowie. Kilka tygodni trwało urządzanie nabytku według gustu gospodarzy. Wszystko dobiegło wreszcie końca i właśnie w niedzielę miał się odbyć chrzest nowego domu w gronie zaproszonych gości. Lidia — choć znała niechęć Nikodema do takich przyjęć — nie próbowała się wykręcać, gdyż odmowę Curzyńscy uznaliby za obrazę.

W sferach artystycznych lub naśladujących je — a Curzyńscy naśladowali — obowiązywał tak zwany luz. W poważaniu był ubiór kosztowny, lecz broń Boże staranny, w wizytowym stylu. Kobiety nosiły się jak zamożne topielice, mężczyźni zaś robocze najlepiej w swetrach. Nikodem, artysta nie do zakwestionowania, chciał przez przekorę ubrać się w garnitur. Lidia poprosiła go jednak, by nie robił demonstracji, włożył więc szare spodnie i wdzianko na ekler.

Gości było kilkanaścioro, bo przed tyloma widać wypadało Curzyńskim popisać się nowym skokiem w dostatek. Towarzystwo kursowało po wszystkich pokojach, samo obsługując się trunkami i resztą poczęstunku z zastawionych przez gospodarzy stolików. W saloniku, ochrzczonym oczywiście nazwą living-room, jedną ścianę zajmował kominek. W domu z centralnym ogrzewaniem nie miało to sensu, lecz u dorobkiewiczów z lepszych sfer salon bez kominka uchodził ostatnio za nieważny. Poza tym całość urządzona była ze smakiem, bo to należało do fachu Curzyńskich. Różne brzydactwa projekowali za pieniądze dla życzących sobie tego, lecz na własny użytek mogli być estetami.

Większość gości Ołomuccy poznali dopiero teraz, toteż czuli się wśród nich obco. Rozmowy obracały się zresztą wokół spraw mało ich interesujących: zarobków, planowanych już teraz letnich wyjazdów, skąpych przydziałów dewiz, samochodów, zamiany mieszkań. Ponad wszelką wątpliwość byli w tym towarzystwie osobami zarabiającymi najmniej. Ich pozycje ratowały jedynie intelektualne profesje. Takim ludziom wybaczano wyrozumiale brak sukcesu materialnego, jako że mieli prawo być w praktycznych sprawach fajtłapami.

W jednym z pokoi podszedł do nich dwudziestoletni syn gospodarza Robert.

— No co, zadali Curzyńscy szyku nową rezydencją? — spytał żartobliwie. — Goście w proch starci ze swoimi kwaterami w blokach. Długo tego nie przeboleją.

Robert należał do młodych ludzi, kpiących z zarobkowego pędu własnych i cudzych rodziców. Nie przeszkadzało mu to wszakże korzystać bez skrępowania z jego owoców. Ubierał się kosztownie, miał duże kieszonkowe, na wakacje jeździł za granicę.

— Dom rzeczywiście elegancki — potwierdziła Lidia nie podejmując kpiącej tonacji.

— Teraz w planie dacza — oznajmił Robert. — Ale muszą znowu zarobić sporo grosza.

Do pokoju zajrzała i podeszła do nich Curzyńska. Robert zamilkł w obecności matki, ona zaś spytała:

— No jak, podoba się wam?

— Tak, powiedzieliśmy to już Robertowi.

— Wy nie macie zamiaru wynieść się z tego rodzinnego kołchozu na Balonowej? Moglibyście przecież przyłożyć się i zarobić na coś samodzielnego.

— Dobrze nam tam.

— Macie daleko do pracy. Kupcie przynajmniej samochód.

— Przywykliśmy do autobusów. Wy, jak słyszeliśmy od Roberta planujecie jeszcze dacze.

— Tak, ale nieprędko. Musimy wpierw wymienić samochód, a poza tym wakacje będą drogo kosztować.

— Dokąd wybieracie się w tym roku?

— Do Hiszpanii. Dość już tej Bułgarii i Jugosławii, jak długo można.

Do pokoju wszedł Curzyński i — przeprosiwszy Ołomuckich — odwołał żonę do obowiązków gospodyni. Sam zatrzymał się przy nich i uderzył w inny niż Jadwiga ton.

— Mądrze czynicie nie zaprzegając się do takiego kieratu, jak my. Ja mam już tego dość. Czy wiecie, że my nie mamy nawet czasu na pójście do kina? A oczy ślepną już nad rysownicą.

— Nie musicie — zauważyła Lidia.

— Też tak powiedziałem Jadwidze. Jeszcze aby do wakacji i damy spokój tej harówce.

Robert zaśmiał się.

— Nie nadawaj takich komunikatów, ojciec, bo okażą się fałszywe. Harówkę może byście rzucili, ale co z pieniędzmi?

— Czort niech weźmie pieniądze. Czy ja nie mam prawa, jak człowiek, siąść sobie po południu spokojnie przed telewizorem? Albo zaprosić przyjaciół na brydża?

— To byłoby wyjście, jeślibyście poszli na duże stawki i co wieczór wygrywali — zaśmiał się znowu Robert.

— Ty sobie nie kpij. Przerwiemy tę orkę i wtedy odejdzie ci chęć do śmiechu, zakłamany kontestatorze.

— Nie strasz mnie nadaremnie. Jestem w tej kwestii całkowicie spokojny.

Teraz z kolei przyszła po męża Jadwiga — obowiązki gospodarzy nie dawały wytchnienia im obojgu. Nim się do nich oddalili, Lidia postanowiła zakończyć wizytę.

— Pożegnajmy się, Nik — powiedziała. — Obejrzeliśmy ich nowe gniazdo, wypiliśmy, pora do domu.

— Tak szybko? — zaprotestowała Jadwiga.

— Och, macie tu dość krzątaniny i bez nas. Odwiedzimy was, kiedy będziecie sami.

Na ulicy Nikodem powiedział:

— Biedni ludzie. Ciągle w biegu do mety, która nieustannie się oddala.

— Za biednych to oni uważają nas — odrzekła Lidia. — Zatem współczucie możemy sobie nawzajem darować.

Fragment powieści „Rzeka czasu", która ukaże się w Wydawnictwie MON.

Kronika kulturalna

HALINA AUDERSKA, jedna z najpopularniejszych współczesnych pisarek polskich, prezes Związku Literatów Polskich, obchodziła w tych dniach podwójny jubileusz: 80 rocznicę urodzin i 60-lecie pracy twórczej. W uroczystości, jaka odbyła się z tej okazji w warszawskim Domu Literatury uczestniczył I sekretarz KC PZPR, premier gen. armii Wojciech Jaruzelski. Na ręce jubilatki napłynęły z całego kraju setki depesz gratulacyjnych od instytucji i stowarzyszeń kulturalnych oraz od czytelników jej dzieł. W imieniu środowiska łódzkich literatów życzenia złożył prezes oddziału ZLP Władysław Orłowski.

NA DWUTYGODNIOWE tournée po Węgierskiej Republice Ludowej wyjechał z Łodzi zespół baletowy Teatru Wielkiego. Zaprezentują oni węgierskiej publiczności spektakl pt. „Próba". Pierwsze, zaprezentowane już spektakle spotkały się z życzliwym przyjęciem zarówno publiczności, jak i krytyków węgierskich.

„LUDZIE NAUKI I TECHNIKI" rozsławiający Łódź w kraju i świecie" — to temat ogólnopolskiego seminarium krajoznawczego, zorganizowanego przez łódzki oddział PTTK z okazji 75-lecia działalności tej placówki w naszym mieście. Uczestnicy seminarium wzięli udział w uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej Arego Sternfelda na budynku przy ul. Więckowskiego 21, w którym uczony mieszkał przez 18 lat, gdzie też powstała jego najbardziej znana praca, „Wstęp do kosmonautyki". Patronat nad uroczystością odsłonięcia tablicy Arego Sternfelda — teoretyka kosmonautyki sprawował Mirosław Hermaszewski, lotnik-kosmonauta PRL.

JUŻ PO RAZ SIÓDMY odbyły się Dni Bałut — cykl imprez kulturalnych, sportowych i rekreacyjnych, odbywających się na terenie tej największej z łódzkich dzielnic i przygotowywanych w dużej mierze przez jej mieszkańców — działaczy kulturalnych i społecznych, członków samorządów, związanych nie tylko miejscem zamieszkania, lecz również emocjonalnie ze swoją dzielnicą. Rozmaitość propozycji była duża — zarówno najstarsi, jak i najmłodsi mogli znaleźć imprezy odpowiednie do swego wieku i zainteresowań. Wzięli w nich liczny udział nie tylko mieszkańcy Bałut, lecz także łodzianie przybywający z innych dzielnic.

„PROWINCJA" — to hasło-tytuł konkursu plastycznego, ogłoszonego przez Biuro Wystaw Artystycznych oraz Wydział Kultury i Sztuki UW we Włocławku. W konkursie uczestniczyć mogą wyłącznie plastycy o statusie twórcy, którzy nadeślą prace wykonane dowolną techniką, związane tematycznie ze wszystkimi aspektami życia współczesnych polskich wsi i małych miasteczek. Zgłoszenia przyjmuje oraz bliższych informacji o konkursie udziela sekretarz konkursu, artysta-plastyk Janina Twardy, w Biurze Wystaw Artystycznych we Włocławku, ul. Kościuszki 2, tel. 278-32.

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI powstało w naszym mieście. W najbliższym czasie Towarzystwo zajmie się bliżej zabytkami ulicy Piotrkowskiej, łódzkimi cmentarzami i parkami, architekturą przemysłową Łodzi i architekturą drewnianą Zgierza.

Jednym z podstawowych celów Towarzystwa będzie — obok opieki nad zabytkami — popularyzacja wśród społeczeństwa idei ochrony zabytków, a także zapoznawanie łodzian z tym, czym nasze miasto może się w tym zakresie pochwalić. Jak dotąd bowiem — wiedza o urokach tego, co pozostało z dawnych lat w naszym mieście, jest wśród jego mieszkańców bardzo mała.

Towarzystwo czeka na nowych członków. Może nim zostać każdy mieszkaniec Łodzi i województwa, który zaakceptuje jego statut i wypełni deklarację, zobowiązując się do uczestnictwa w pracach, mających na celu ochronę zabytków. Siedziba Towarzystwa znajduje się w lokalu ZW PTTK przy ul. Piotrkowskiej 102a.

W TEATRZE RZECZYPOSPOLITEJ w Warszawie gościł łódzki teatr im. Stefana Jaracza. Warszawskiej publiczności zaprezentowano spektakl „Dziady" Adama Mickiewicza w reżyserii Macieja Prusa. W przyszłym sezonie kulturalnym spektakl ten obejrzą również widzowie Krakowa i Rzeszowa (w ramach Rzeszowskich Spotkań Teatralnych).

DO JUBILEUSZU przygotowuje się Szkoła Podstawowa nr 4 z dzielnicy Widzew, która w roku szkolnym 1984/1985 obchodzić będzie 50-lecie istnienia w siedzibie przy ul. Armii Czerwonej 41. Komitet organizacyjny obchodów jubileuszu zwraca się z prośbą do byłych uczniów, nauczycieli i pracowników administracyjnych o udostępnienie wszystkich dokumentów, związanych z działalnością placówki: fotografii, świadectw, nagród itp., które posłużą do zorganizowania wystawy, obrazującej historię szkoły. Apel ten kierowany jest również do harcerzy 11 ŁDH, związanej z widzewską placówką.

Wszyscy, którzy dysponują takim materiałem, proszeni są o kontakt w czasie wakacji z sekretariatem szkoły przy ul. Armii Czerwonej 41.

LIST Z WYBRZEŻA

Marynista

Nestor polskiego malarstwa Marian Mokwa skończył 95 lat. Ten najwybitniejszy nasz marynista nadal tworzy, będąc wierny tematowi, który gdzieś na początku tego stulecia określił jego zainteresowania artystyczne.

Profesor Mokwa jest jednym z nielicznych u nas twórców, który potrafił wyrazić na płótnie żywioł, jakim jest morze tak, by stało się to zjawiskiem artystycznym.

Tutaj na Wybrzeżu co pewien czas wybuchają dyskusje o konieczności większego zainteresowania artystów problematyką morską. Namawia się więc poetów, by pisali o dzielnych bosmanach, malarzy, by rysowali trud rybaków, a nawet filmowców, by kamerą opowiadali o życiu mieszkańców grodu nad Motławą. Niestety, nie daje to pozytywnych wyników — dzieła, które powstają rażą swoim schematyzmem, na dobrą sprawę nie mają nic wspólnego ze sztuką.

Jeden Mokwa potrafi wyrazić ten temat. Nikt go nie prosił, by malował morze — sam wybrał sobie ten obszar penetracji. Umie to robić i jego obrazy proste w kompozycji, a sugestywne w wyrazie zdobią wiele galerii na całym świecie.

Karierę malarską rozpoczął w 1908 r. w Starogardzie Gdańskim, jego pierwszym nauczycielem był Edgar Szulc. Od początku Mokwa wystawiał swoje obrazy — pierwsze wernisaże odbyły się w Gdańsku i w Domu Polskim w Kościerzynie. Później Mokwa wzorem innych wybitnych malarzy, udał się w podróż artystyczną — studiował w Berlinie i w Norymberdze. Podczas wojny będąc na tureckim okręcie wojennym „Javus" postanowił poświęcić się malarstwu morskiemu. Jednak nie chodziło tu o ogólnie rozumianą marynistykę — chciał, by jego malarstwo było związane z polskim morzem. Wtedy też, jak można przypuszczać, zrodził się w jego umyśle pomysł by stworzyć w Gdyni nową galerię która eksponowałaby wyłącznie malarstwo morskie.

Marian Mokwa jest człowiekiem bardzo konsekwentnym — po pewnym czasie udało mu się doprowadzić do otwarcia tego szczególnego muzeum. 29 czerwca 1934 roku był wielkim dniem dla Mariana Mokwy. Wtedy właśnie w nowo wybudowanej Galerii Morskiej w Gdyni została otwarta wielka wystawa obrazów, inaugurująca Święto Morza. Swoje prace pokazali wtedy tacy malarze jak Kazimierz Jasnocha, Włodzimierz Nałęcz i sam Marian Mokwa, który na czterdziestu czterech płótnach przedstawił historyczny proces łączenia się Polski z morzem.

Nadszedł rok 1939. Wybuchła wojna, która przekreśliła marzenia Mariana Mokwy, by z Gdyni uczynić centrum sztuki polskiej. Niemcy zlikwidowali Galerię Morską — budynek przerobili na kino, a większość obrazów zniszczyli. Co cenniejsze prace zostały wywiezione i być może, dzisiaj znajdują się w prywatnych zbiorach eks-hitlerowców.

Po zakończeniu wojny Marian Mokwa przystąpił do odtwarzania zaginionych płócien. Był więc nadal wierny swojemu tematowi, mimo okupacyjnych doświadczeń.

Jakie jest morze Mariana Mokwy? Warto tutaj przytoczyć wypowiedź Antoniego Chocieszyńskiego, który w 1932 roku, stosując stylistykę właściwą dla tego okresu pisał w „Gryfie". „Jego morze żyje, mówi, szumi, huczy: czy z rannych wstające oparów, jakby półsenne, leniwe, ledwo zmarszczone; czy w dzień chmur ołowiem brzemienne, nastrożone z gniewnymi grzywami, rozwianymi w wietrze... czy pod wieczór ciche, w dostojnych fioletach wtulone... czy po zachodzie słońca, pod noc tajemnicze, ciemne, atramentowe... Wszystkie fazy morza zna Marian Mokwa jak siebie".

Jest charakterystyczne, że lata mijają, pojawiają się nowe tendencje w sztuce, a Mokwa ciągle jest w czołówce polskiego malarstwa. Pewnie dlatego, że nade wszystko ceni on podstawowe wartości swojego zawodu — umiejętność rysunku, zdolność kompozycji. Jest to malarstwo tradycyjne, wyróżniające się jednakże ogromną sprawnością techniczną, czego nie można, niestety, powiedzieć o wielu młodych artystach, opuszczających mury gdańskiej PWSSP.

Twórczość Mariana Mokwy jest osobnym rozdziałem w dziejach polskiego (i nie tylko) malarstwa morskiego. I dobrze by było, gdyby jego obrazy były szerzej popularyzowane. Pomyślałem sobie, że w hallu Teatru Wybrzeże, tej najbardziej reprezentatywnej gdańskiej instytucji artystycznej powinien się znaleźć jakiś obraz Mariana Mokwy — on przecież przed wielu laty wprowadził wybrzeżową kulturę na szeroką wodę.

WIESŁAW NOWICKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Dziś wypowiada się kompozytor i pedagog prof. **TOMASZ KIESEWETTER**

Redakcja „Odgłosów" postanowiła — jak Panu zapewne wiadomo — przyznać doroczną nagrodę za upowszechnianie kultury. Samo to pojęcie bywa jednak różnie rozumiane i pragnęlibyśmy sprecyzować je w miarę jednoznacznie — przez zapoznanie się z opinią ludzi ze środowiska kultury. Za co więc, Pańskim zdaniem, za jaki rodzaj upowszechnieniowej działalności należałoby przyznać nagrodę „Odgłosów"?

Z udostępnieniem społeczeństwu dzieł sztuki, spektakli teatralnych czy koncertów muzyki poważnej nie jest z pewnością dobrze. Składa się na to wiele przyczyn, być może do końca jeszcze nie rozpoznanych. Podam tytułem przykładu jedną z nich i wcale nie najważniejszą. Otóż w rozmowie z szatniarką pewnej instytucji, osobą o pewnych zainteresowaniach, zapytałem ją, dlaczego nie chodzi do teatru, czy teatr nie jest dla niej za drogi... „A bo ja nie wiem, jak się ubrać" — usłyszałem w odpowiedzi. A więc i taka, zdawałoby się błaha okoliczność może stanowić przeszkodę dla uczestnictwa w sztuce i każdy działacz kultury powinien podobne motywacje brać pod uwagę.

Istota pytania redakcji sprowadza się jednak do kwestii: kogo nagrodzić, za jaki rodzaj czy jaką metodę działalności upowszechnieniowej. To rzeczywiście problem. Zacznę może od „drugiego końca" — kogo nie należałoby wyróżniać. Sądzę, że przede wszystkim tych osób, których działalność, choćby najwartościowsza, ogranicza się do wypełniania profesjonalnych obowiązków, np. z tytułu kierowania zawodową placówką artystyczną, chyba że jest to działalność wykraczająca znacznie ponad, dajmy na to, plany repertuarowe instytucji.

Najlepszym wzorem do naśladowania, a więc i podstawą do nagradzania, byłoby nie istniejące już chyba w czystej postaci społecznikostwo kulturalne. Bywało kiedyś przed wojną, a chyba jeszcze i po wojnie, że ktoś zamieszkały na jakimś pustkowiu kulturalnym, w jakiejś miejscowości „zabitej deskami", powiedzmy nauczyciel czy lekarz skupiał wokół siebie chętnych do wspólnego uprawiania sztuki, jakiegoś teatru amatorskiego, zespołu chóralnego czy kółka samokształceniowego i kierował tą działalnością na miarę swoich talentów, a nawet niekiedy wspierał ją z własnej kiesy. To właśnie było prawdziwe społecznikostwo, które wiele dobrego zdziałało dla narodowej kultury, a dla którego dziś — w naszym zinstytucjonalizowanym życiu nie ma raczej sprzyjających warunków.

Ale cenna jest dziś i godna zauważenia każda pożyteczna działalność kulturalna, uprawiana nie dla materialnych korzyści. Jeśli więc bibliotekarka oprócz wypożyczania książek rozwija szerszą działalność, w postaci np. organizowania czytelniczych kontaktów z autorami, jeśli prowadzi z małymi czytelnikami biblioteki jakieś zajęcia w rodzaju wspólnych lektur czy inscenizacji utworów, to takiej właśnie robocie kulturalnej należy się najwyższe uznanie.

Ponadto zwróciłbym specjalną uwagę na działalność kulturalno-oświatową w miejscowościach mniejszych, gdzie nie istnieją żadne zawodowe instytucje i placówki kultury, gdzie wartościowa impreza dociera tylko wyjątkowo, słowem, gdzie społeczny ruch wypełniłby kulturalną pustkę.

Ale czy kultura to tylko uczestnictwo w sztuce — bierne lub jeszcze lepiej czynne? To oczywiście dużo, nieraz jednak myślę, że za mało uwagi poświęcamy niezwykle istotnej dla ogólnego poziomu społeczeństwa sferze obyczaju, kulturze codziennego bycia i wzajemnego odnoszenia się ludzi, a choćby umiejętności kulturalnej zabawy. Kiedyś w szkołach średnich odgrywały w tym względzie pewną rolę lekcje tańca towarzyskiego.

Otóż jeśli zauważymy kogoś, kto przyczynia się do ulepszania obyczajów, bierzmy go koniecznie pod uwagę...

Notował: J. K.

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

PARTYJKA SZLIFOWANEGO WISTA

Bohaterami anegdoty zapisanej w „Biesiadzie Literackiej" (1831 nr 273) są: Jerzy Samuel Bandtkie (1768—1835), wybitny historyk i językoznawca, od 1811 r. profesor bibliografii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, oraz Karol Hube (1766—1845) profesor matematyki tegoż uniwersytetu:

Pomnę, okładem blisko lat 50 temu, rządził Biblioteką (Jagiellońską) Bandtkie protestant, ale szanując gmach katolicki, mieszkał na drugim piętrze. Jego współwyznawca, profesor matematyki, przyjaciel jenerała Jasińskiego, Karol Hube, mieszkał u Grzybowskiego w łazienkach na Piasku. Dwaj staruszkowie lubili czasem grać w mariasza lub szlifowanego wista. Więc Hube rzeknie do lokaja, którego niedawno ze wsi do usług najął: „Pójdziesz do Biblioteki i poprosisz pana Bandtkiego do mnie na partyjkę; tam, wiesz, do świętego Jana Kantego".

Poleciał sługa i sprawił się. Tymczasem zbliża się wieczór, kolacja na stole, a Bandtkiego ani widno. Więc pyta Hube sługi. „A cóż, byłeś w Bibliotece?"

— A juści, byłem — brzmiała odpowiedź — prosiłem.

— A cóż pan powiedział?

— Ano, proszę wielmożnego, nic nie powiedział, ale słyszał. Rzekłem jemu: „mój pan prosi pana na partyjkę".

— A cóż on na to?

— Ano nic, bo klęczał i okrutecznie się modlił, lecz słyszał dokumentnie.

Okazało się, że sługa zaprosił św. Jana Kantego, biorąc go za pana profesora.

KONCEPT O ŁYSYCH

W „Kalendarzu polskim y ruskim... na rok 1737" przez Antoniego Mikołaja Krzanowskiego wydanym czytamy, jako to rozum snadniej głowę przyozdabia niźli najbujniejsza czupryna. Niech włosistym o łysych koncepta się roją: Głowy ludzkie rozumem, nie włosami stoją. Okryje rozum głowę, byś ją miał jak dłonią. Lecz niedostatku głowy włosy nie zasłonią.

OSTROŻNIE Z TRUMNĄ

W mieście X umarł aptekarz. Nieutulona w żalu żona zamówiła suty pogrzeb i ciało zmarłego powieziono na cmentarz z należytą paradą. Przypadek zrządził, że na skręcie woźnica zawadził kołem o kupę kamieni. Karawan się przechylił, trumna wyleciała i, o cudo! nieboszczyk ożył. Okazało się, że to był tylko letarg, a nie śmierć istotna. Nieboszczyk wrócił z żoną pod rękę wśród mnóstwa życzeń i powinszowań do domu — i żył jeszcze lat parę. Gdy go powtórnie wynoszono w trumnie z domu, troskliwa żona upomniała woźnicę: „Tylko ostrożnie, mój przyjacielu, koło tych kamieni, żeby znowu jakiego nieszczęścia nie było".

Do rozpuku. Dwa tysiące anegdot i dowcipów. Lwów: J. Leon Pordes

Z EPIGRAMATÓW LEGATOWICZA

Ignacy Piotr Legatowicz (1796—1867), nauczyciel szkół na Wileńszczyźnie, słynął z ciętego dowcipu i udatnych epigramatów, krążących w odpisach i ustnej tradycji naszych przodków. Niedawno Biblioteka Kórnicka wydała reprint dwóch tomików przedsięwzięć edytorskich Legatowicza, stanowiących już w ubiegłym stuleciu prawdziwy rarytas bibliofilski. Po śmierci Legatowicza przypomniano kilka epigramatów pióra dowcipnego poety, które wydobywam z krakowskiego czasopisma dla kobiet „Kalina" (1868, nr 1):

Dzienną robotę Anieli
Opiszę krótko, najwierniej:
Cały poranek się bieli,
A cały dzień ludzi czerni.

Ponoć była to panna Świętorzecka, zamieszkała w Mińsku, która słynęła z upodobania do plotkarstwa, podobnie jak inna przedstawicielka płci nadobnej, o której powiada następny epigramat:

Lat czterdzieści Zosia miała,
Gdy się o tym dowiedziała,
Że jest cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami.
Przebóg! czemuż dziś nie trzyma?
Trudno, bo już zębów nie ma.

I wreszcie epigramat na własną żonę, nie wiadomo tylko czy na Hajdukiewiczównę, z którą zresztą rychło wziął rozwód, czy też na żonę drugą — Katarzynę Kutniewiczównę.

Moja żoneczka nadobna
Do epigramy podobna:
Bo i mała i złośliwa,
Jest to epigrama żywa.

COŚ DLA FILATELISTÓW

— Żeby pan widział mój zbiór autografów! — zawołał pewien zbieracz do znanego satyryka Rodocia (Mikołaja Biernackiego). — Niedawno nabyłem własnoręczny list króla Popiela II. Posiadam też list miłosny Sarbiewskiego i pismo Kopernika.

— To wszystko nic! — przerwał Rodoć. — Mój zbiór wart o wiele więcej. Mam list pisany przez Adama, z marką pocztową „Raj".

Facecje i anegdoty. Wybrał M.P. Warszawa, br.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Dokończenie ze strony 1

łych również skracano przekaz z koncertów Opola i chociaż czyniono to w mniejszym stopniu od zamierzonego w tym roku, wywoływało to niezadowolenie telewidzów oraz protesty wykonawców i realizatorów koncertów. Zapewniano wówczas, że praktyki takie nie będą w przyszłości stosowane. W imieniu Komitetu Organizacyjnego XXI KFPP w Opolu zmuszony jestem w związku z tym wyrazić protest przeciw naruszaniu ustalonych postanowień o czasie transmisji i prosić Towarzysza Przewodniczącego o spowodowanie zmian w programie, przywracających czas minimalnej rejestracji, retransmisji telewizyjnej z jednego koncertu do 120 minut oraz wprowadzenie do programów radiowych bezpośredniej transmisji głównych koncertów festiwalu".

Niestety, protest — sobie, rzeczywistość — sobie. Na Woronicza nadal udawano, że jest piątek a nie sobota.

Skutku nie odniósł również złożony u organizatorów festiwalu protest — nie byle kogo, bo — Haliny Frąckowiak, która wraz z Jackiem Skubikowskim reprezentowała w Konkursie Wytwórni Płytowych firmę „Wifon". Chodziło o sprawy regulaminowe: występ przedstawicieli jednej firmy miał się zamknąć w piętnastu minutach, a niektóre z uczestniczących w konkursie wytwórni, przekroczyły ten limit. Protest przyjęto, nikogo nie zdyskwalifikowano, a jury przyznało nagrody „Polskim Nagraniom" i „Savitorowi" omijając główną sumę. Z jednej strony i tak wszystkie stoiska płytowe w Opolu, niezależnie od firmy („Franek Kimono" za 990 złotych na kasecie), były oblężone, z drugiej zaś — jury...

Patrzę w skład komisji oceniającej artystyczne produkcje opolskiego festiwalu i co widzę? Kiedyś jury w Opolu było naprawdę autorytatywne. W tym roku znaleźli się w nim: piosenkarka „zjedzona" podczas koncertu inauguracyjnego w amfiteatrze przez akustyków, dwóch publicystów z „Polityki" i „Szpilek" — wprawdzie malkontentów, ale kontentych z zarobków w branży (sex, polityka, pieniądze), dyrygent bez orkiestry podczas, gdy festiwalowy zespół prowadził konkurent, jedyny chyba fachowiec od pisania hitów — Andrzej Korzyński vel Spol — ale tak zaangażowany w rodzimym show-bussinessie, że trudno o bezstronność, dwóch dyktatorów mody muzycznej z programów I i III Polskiego Radia, pan Czesław Płaczek (to tanie i niesmaczne drwić z nazwiska ale tutaj ono pasuje), krakowski poeta, etatowy (nie wiedzieć czemu?) juror od paru lat na wszelkiego rodzaju ogólnopolskich przeglądach, nie mówiąc już o sekretarzu jury.

Kiedyś były w Opolu festiwale z powodzeniem obywające się bez konkursu wytwórni płytowych vel fonograficznych. Było ich mniej i robiły swoje. Tym razem doszło do konfrontacji tego, czym dysponują wszystkie liczące się — także polonijne — firmy. Miała to być największa festiwalowa nowość anno domini 1984. Konkursowy koncert, mimo wysiłków przygotowujących go bezpośrednio Manna i Materny, okazał się niewypałem.

Zgoła inaczej ocenić trzeba pierwszy w całym cyklu koncertów i jedyny odbywający się poza amfiteatrem, bo w sali Teatru im. Jana Kochanowskiego. Były to „Debiuty". Wyszło na to, że chyba ta impreza pozostawiła najlepsze wrażenie.

O niej więc słów parę, ale najpierw dygresja. Jestem stałym współpracownikiem „Odgłosów", jednak z pokorą muszę uderzyć się w piersi, bo w tym roku opublikowałem na tych łamach zaledwie cztery kartki maszynopisu. A gdyby nie notoryczny brak czasu byłoby o czym pisać. Jeden z tematów to z pewnością VIII Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki we Wrocławiu odbywający się z inicjatywy i pod opieką Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Pojechałem tam na tydzień w połowie kwietnia nie tylko popatrzeć i posłuchać młodych adeptów piosenkarskiej sztuki, ale także — w miarę możliwości — pomóc im, bowiem, obok Janusza Kondratowicza, byłem jedynym konsultantem literackim. L-4 czy Mister Z'OOB to dzisiaj nazwy wiele mówiące melomanom, choć od Wrocławia minęły niespełna trzy miesiące, a wówczas praktycznie nikt jeszcze o nich nie słyszał. Jakież było moje zdziwienie przed paroma dniami — nie słucham w zasadzie radia, aż tu nagle okazuje się, że „Super para" i „Kawałek podłogi" to przeboje.

Koncert „Debiutów" przygotowała ekipa z Wrocławia: Janusz Kondratowicz — kierownik literacki i Waldemar Parzyński — kierownik muzyczny. Reżyserował Włodzimierz Gawroński. Wprawdzie nagroda im. Anny Jantar była tylko jedna, ale na uznanie zasłużyli chyba wszyscy wykonawcy. O tym, że poziom artystyczny koncertu był wysoki niech świadczy fakt włączenia od przyszłego roku „Debiutów" do głównego nurtu festiwalowego. Taką decyzję w Opolu podjęto ku radości organizatorów z ZSMP, którzy dodatkowo wyasygnowali środki finansowe na przygotowanie i zarejestrowanie imprezy w Teatrze im. Jana Kochanowskiego, bowiem była ona poza zainteresowaniami naszej telewizji.

Kiedyś był w Opolu jakby mniejszy kłopot z bazą hotelową. Gdy dziesięć lat temu mieszkałem w domu studenckim o nazwie „Kmicic", warunki tam były wcale znośne. Zresztą w ubiegłym roku — na przykład — zakwaterowano mnie w hotelu „Opole", samym festiwalowym centrum. Parę lat wcześniej spałem też w świeżo uruchomionym Zajeździe Kasztelańskim, który jest tyle sympatyczny, co oddalony od śródmieścia. Tym razem, mimo specjalnej prośby o rezerwację w hotelu „Opole", większość (a jednak nie wszystkich) przedstawicieli krajowych „Estrad" położono w „Kmicicu", co zostało jednoznacznie uznane za „zemstę Bartkiewicza" (Władysław Bartkiewicz jest dyrektorem opolskiej „Estrady", szefem organizacyjnym KFPP, przewodniczącym Rady Artystycznej, i — mimo iż przed rokiem miałem pokój w „Opolu" — zgłaszałem już swoje wątpliwości, czy takie „jednowładztwo" wychodzi festiwalowi na zdrowie). Mieszkałem, a raczej — przebywałem, w „Kmicicu", gdzie w pokoju miałem popsute światło, we wspólnej dla czterech pokojów ubikacji przeciekał rezerwuar roznosząc niezbyt przyjemną woń, a poza tym brakowało jakiegokolwiek lustra i gdyby nie moje własne małe lusterko przywiezione do Opola przypadkiem, musiałbym chodzić na koncerty nie ogolony. Do hotelu „Opole" z „Kmicica" spory kawałek drogi, a o połączeniu telefonicznym nie było co marzyć. Takie warunki festiwalowej pracy stworzono pracownikom państwowych impresariatów, którzy pedałowali na piechotę przez całe niemal miasto, by dotrzeć do amfiteatru na wyspie.

Kiedyś festiwal w Opolu obdarzał nas dłuższą lub krótszą listą festiwalowych przebojów. Dzisiaj jednak piosenek do wspólnego śpiewania nie dostarczył ani „Koncert Gwiazd", ani „Przeboje". Publiczność w amfiteatrze nuciła wprawdzie „Słodkiego, miłego życia", ale „kudy" temu utworkowi do dawnych szlagierów, których z tuzin mógłbym sypnąć z rękawa na poczekaniu. A swoją drogą aż żal serce ściskał, że solista „Kombi" śpiewający tę piosenkę jest gitarzystą a nie showmanem — prosiło się tutaj o tak modny ostatnio break dance.

Jako się rzekło, przebojów nadal w Opolu brakuje, są natomiast „Promocje". Ten koncert również, zarówno w doborze repertuaru, jak w zestawie zaproszonych wykonawców, pozostawiał wiele do życzenia. Posłuże się przykładem z własnego ogródka: Zbigniewowi Gniewaszewskiemu kazano tam śpiewać piosenkę „Istny cyrk", w której zawarty żart tekstowy przypisuje się — i słusznie — mnie. Piosenka, jak piosenka — tyle że była nagrana parę lat temu w innej, bardziej adekwatnej aranżacji i obchodziła już różne listy przebojów, stąd trąciła nieświeżością.

Klasą dla siebie pozostawała Edyta Geppert, do której można zgłaszać zastrzeżenia o nadużywanie środków wyrazu, ale nie sposób odmówić jej autentycznego talentu. Piszę tak, gdyż miałem okazję słuchać jej na próbach i podczas jednego z nocnych koncertów. Tymczasem nie podobała mi się piosenka „Jaka róża taki cierń", a zwłaszcza jej tekst. Tanich dramatów mamy dość na co dzień. Mało oryginalne rozwiązanie literackiego pomysłu zrobiło jednak odwrotne wrażenie na jurorach, którzy przyznali Jackowi Cyganowi nagrodę. No cóż — nie dziwi nic.

Kiedyś festiwalowym magnesem był też w Opolu „Kabareton". Maratony piosenek kabaretowych odbywały się wtedy w niedużej sali jednej z opolskich uczelni, gdzie w miarę wygodnie można było przesiedzieć tych kilka godzin. Poza tym koncert transmitowany był z reguły przez *Telewizję Polską*, a jury oceniało te utwory na równi z premierowymi. W tym roku — o czym wszyscy chyba wiedzą — „Premier" w Opolu nie było (organizatorzy nadal usiłują nam wmówić, że polscy twórcy w ogóle nic nie piszą, a radio uparcie temu zaprzecza), zdecydowano się zaś przedstawić jurorom do oceny parę kabaretowych piosenek. Dalibóg do tej pory nie wiem, ile ich było, bo wplecione zostały w widowisko Krzysztofa Jaślara „Ostry dyżur" i przemieszane z innymi piosenkami. Komu w maju udało się trafić w pierwszym dniu eksploatacji (drugiego dnia już nie było — swoisty łódzki „The Day After") na „Chirurgię zakaźną" do Teatru Rozmaitości, ten mógł się przekonać, że prawie wszystko pochodziło stamtąd. Mówiło się nawet, że specjalna nagroda dla Bohdana Smolenia za monolog „A tam cicho bydź" przyznana została mu po to, by miał czym zapłacić kolegium za wygłaszanie zatrzymanych przez cenzurę tekstów. Ale to chyba plotki...

Powiem szczerze: po tej pierwszej nocy kabaretowej spędzonej na twardej ławce w amfiteatrze do dziś boli mnie pewna część ciała. A tutaj czekała nas jeszcze noc druga, znacznie chłodniejsza. Zatytułowano ją zgodnie z kalendarzem „Imieniny pana Janka", a gospodarzem był Jan Pietrzak. Niestety, solenizant i jego goście mogli rozgrzewać się różnymi napojami podczas gdy ja marzłem na kość. Gości było dużo, ale cała składanka dosyć kiepska. Tak jak dwa dni wcześniej rozbawił mnie łódzki kabaret „Kapota" śpiewający o dziadujących panach i panujących dziadach, tak na imieninach uśmiałem się do łez jedynie z nowego monologu profesora mniemanologii stosowanej — Jana Tadeusza Stanisławskiego, mówiącego o utajonych treściach tekstów w swych dawnych przebojach. Jedno jest pewne: telewidzowie niczego z tej nocy na małym ekranie nie zobaczą.

Kiedyś niemal wszystko w Opolu podczas festiwalu szło na tak zwany żywioł. Nie straszny był deszcz. Ciekaw jestem, czy gdyby w tym roku lało, to publika tak licznie obsiadłaby ławki w amfiteatrze. Jeśli tak — to chyba wyłącznie dlatego, by nie zmarnować wydanych kilkuset złotych. Ceny festiwalowych biletów bowiem idą w górę z roku na rok. Tym razem kształtowały się w granicach 500 — 600 złotych, choć na Pietrzaka były aż po 900.

Amfiteatr opolski robi się coraz ładniejszy i coraz bardziej uładzony. Już rzadko kto pamięta spontaniczne reakcje widowni w tamtym nie zabudowanym od zaplecza amfiteatrze. Bufet dla artystów działał wtedy na odkrytym tarasie i niejeden raz deszcze przegoniły wykonawców od stolika z porcją flaków. Pamiętam, jak w 1976 roku festiwal przypadał akurat w dniach ogłoszenia owych sławetnych podwyżek cen, po których podniosły się protesty klasy robotniczej. Siedziało nas wówczas kilkanaście osób w zadaszonej już części tarasu, a na dole, na estradzie prezentował swój show Andrzej Rosiewicz. Miał on przygotowane jakieś fajerwerki. W pewnym momencie wstrząsnął nami jakiś wybuch. Parę osób zerwało się i podbiegło do okna z pytaniami „Co się stało?", na co siedzący spokojnie Jan T. Stanisławski wytarł serwetką usta i powiedział: „Nic, to po prostu lud wkroczył do śródmieścia". W tamtym kontekście był to pyszny żart.

Ale znów odbiegam od tematu. Niezmiennie co roku podsumowując opolski festiwal poświęcam trochę miejsca konferansjerom koncertów uważając, że w przypadku festiwalu jest sprawą niezwykle istotną, a czasem decydującą o sukcesie, kto imprezy prowadzi. Ten rok udowodnił raz jeszcze, że uciekać się trzeba do sięgania po weteranów, bo wśród młodzieży nie widać drugiego Kydryńskiego. Przy okazji muszę powiedzieć, iż tegoroczna scenografia budziła mieszane uczucia, a ukazujący się w okrągłym okienku pośród ornamentów Andrzej Jaroszewski zapowiadający przedstawicieli wytwórni fonograficznych kojarzył mi się — wybacz, Andrzeju — z jakimś świętym z ołtarza niekoniecznie Wita Stwosza.

Noce kabaretowe sprawiły, że nawet w hotelowej restauracji atmosfera jakby siadła, a obroty spadły. Nic dziwnego, rzadko kto wracając nad ranem z parogodzinnego koncertu ma jeszcze ochotę na drinka.

Kiedyś festiwal w Opolu był festiwalem piosenki sensu stricto. Wprawdzie czegoś nam brakowało, gdy przed dwoma laty się nie odbył, ale powrócił do nas jakby trochę odmieniony. Odpiosenkowiony — chciałoby się rzec. Coraz mniej na nim prawdziwych piosenek. W tym roku przeważały kabarety i szarpidruty, których publiczność — przeładowana rockiem z anteny radiowej i telewizyjnej — omal nie wygwizdała. Reklamowanemu zespołowi „Lady Pank" nie starczyło oklasków na zejście ze sceny. Może to nadchodzi do Opola nowe? Ale dlaczego idzie tak wolno?

Pojadę do Opola w przyszłym roku. W tym — wyjechałem przed zakończeniem zostawiając wszystko na miejscu.

Cały ten zgiełk.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Cały ten zgiełk

Stara jest tylko nuda

JOLANTA WROŃSKA

Skąd znowu! Trafia więc do teatralnego ruchu amatorskiego przy DK „Energetyk", a stamtąd — wprost w objęcia niespożytego **Jana Pietrzyka**. Pan **Magus** powiada, że jego decyzja pracy w kabarecie „ELDORADO" mocno zdziwiła znajomych.

Pani **Romana Droszcz** zawodowe życie przepracowała w ZPB im. M. Konopnickiej, w kontroli jakości. Przejście na emeryturę dla wielu oznacza nie tylko koniec obowiązków i aktywności, nierzadko staje się końcem ochoty na życie. I zaczyna się starość, niańczenie wnuków, albo — co gorsza — straszna samotność, gdy dorosłe dzieci nie chcą znać starych rodziców. Pani Romana nie miała na to ochoty, więc nareszcie, po latach ma czas, by doskonale bawić się w swój ulubiony teatr. Pani **Helena Weisło** pracowała w handlu jako kierowniczka sklepu. Obdarzona dobrym głosem, od wczesnej młodości śpiewała w chórach kościelnych i świeckich. I gdy przyszedł czas emerytury, pasja dała o sobie znać. Znów — przypadkowe spotkanie z Janem Pietrzykiem, rozmowa i — radość bycia wśród równych sobie zapaleńców.

Rajmund Kuncewicz muzyczny opiekun, aranżer i pianista kabaretu, robi po prostu to, co robił całe życie. Zawodowy muzyk współpracujący z Polskim Radiem, Estradą, Łódzkim Towarzystwem Muzycznym, z kilkoma teatrami, organizator imprez artystycznych od 1945 roku. Wielka energia i potrzeba działania nie pozwala gnuśnieć na emeryturze. Stąd — od 1975 roku współpraca z kabaretem „Eldorado". Także **Jadwiga Kornacka** może powiedzieć o sobie, że właściwie całe jej życie krążyło wokół sceny. Praca w laboratorium analiz medycznych zupełnie nie przeszkadzała w aktywnej pracy w amatorskim ruchu kulturalnym. Wczesne próby w chórach i przedstawieniach teatralnych lat szkolnych, zdarza się też epizod z filmem („Ziemia obiecana", „Perpetuum mobile"), a od 1974 roku współpraca z Janem Pietrzykiem i szalona druga młodość. Jest scena i muzyka i któż to powiedział, że starość w ogóle istnieje?...

Na przykład — **Zdzisław Fangrat** — wciąż nie ma ochoty przestać być młodym. W latach młodzieńczych harcerz 13 drużyny, najstarszej na Bałutach, gdzie aktywnie pracował w teatrze amatorskim. Dochody z przedstawień przeznaczali harcerze na dożywianie biednych dzieci lub na fundusz dla strajkujących robotników. Później — instruktor harcerski na Kresach i — oczywiście — zespół teatralny założony w Wołkowysku. Gdy przyszła wojna bił się w kampanii wrześniowej, potem Szare Szeregi i Powstanie Warszawskie. Wywieziony do Berlina trafia — jak powiada — na dobrego lagerführera, który pozwala założyć harcerski zespolik teatralny. Występy w lagrze przynoszą mu przydomek „lagerkomik" i popularność, a później nawet występ w wielkiej sali widowiskowej „Berlin-Henigsdorf". Po wyzwoleniu — praca w Wytwórni Kopii Filmowych od laboranta po montażystę. Dziś — harcmistrz Chorągwi Łódzkiej, a niebawem kawaler Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, ciągle młody, we fraku i cylindrze śpiewa kupiety na scenie kabaretu „Eldorado".

Od 1977 roku współpracuje także z kabaretem inny pensjonariusz Domu Kombatanta — **Jan Rudek**, rolnik z zawodu. Człowiek o życiorysie pięknym i bogatym. W czasie wojny dowódca plutonu AL w gminie Kobiele, z mundurem pełnym bojowych orderów.

Opiekunem artystycznym kabaretu, reżyserem i inscenizatorem wszystkich dotychczasowych programów jest **Henryk Szwajcer** — znakomite nazwisko w historii polskiej rozrywki. Pozyskanie do współpracy tak świetnego fachowca niewątpliwie wzbogaciło możliwości programowe. Nie mówiąc już o całkiem zrozumiałej radości, jaką daje członkom zespołu praca z uroczym człowiekiem. To w dużej mierze **Henrykowi Szwajcerowi** zawdzięcza kabaret jednorodność konwencji artystycznej, oszczędne i gustowne operowanie mocno podkasanym repertuarem rewiowym.

Czar przedwojennych teatrzyków ogródkowych, urok starych piosenek Krukowskiego, Sempolińskiego, Ordonki, zupełnie niespodziewanie nabiera na nowo świeżości w wykonaniu Starszych Pań i Panów.

GDZIE SIĘ ZJAWIŁ...

tam zaczynał się teatr. Tak o nim napisał Janusz Kłosiński, znany aktor teatrów warszawskich. **Jan Pietrzyk**, lat 84, najstarszy w zespole, a zarazem jego inicjator i główna sprężyna. Niespożyta energia, znakomita forma i wieczna ciekawość życia. Ma za sobą ponad 50 lat pracy w ruchu kulturalnym. Zawodowo — urzędnik wielu instytucji, sercem — człowiek teatru. W czasie wojny — uczestnik ruchu oporu w AK, kawaler Krzyża Orderu Odrodzenia Polski, przyznanego uroczyście w 1979 roku w uznaniu wielkiego wkładu w dzieło upowszechniania kultury. Urodzony organizator, zamiłowany kolekcjoner.

Zaczynał już w 1928 roku działalność w amatorskim ruchu teatralnym. W 1931 roku reżyseruje „Zrzędność i przekorę" Fredry i „Quo Vadis" wg Sienkiewicza. Natychmiast po wyzwoleniu — jak pompa ssąca — przyciąga ludzi, skupia wokół siebie takich samych jak on pasjonatów pięknego słowa. W 1947 roku wystawia w sali Geyera „LIGIĘ" wg „Quo Vadis", z dochodem przeznaczonym na rzecz PCK.

I zawsze towarzyszy mu ta sama idea — że teatr nie znosi tandety, że wszystko w nim musi być solidne, prawdziwe i dopięte na ostatni guzik, od tekstu — po getry i cylinder. Stąd — liczne nagrody i wyróżnienia oraz niekwestionowana popularność wśród widzów.

Zespół kabaretu „ELDORADO" sam szyje lub kupuje kostiumy, rekwizyty i dekoracje. O niewiele proszą — wiele umieją dać.

Ich występy w domach dla przewlekle chorych, w domach rencistów, w klubach i świetlicach zakładowych więcej znaczą niż najlepsza pomoc instytucjonalna niesiona ludziom starym i samotnym. Chcesz być stary — to będziesz. Oni nie chcą! Prywatny czas i pieniądze poświęcają na to, by po prostu udowodnić, że starość zaczyna się po pierwszym stuleciu.

Dla jednych próg starości wyznacza czterdziestka. Inni są starcami już w dniu ukończenia osiemnastu lat. Zdarzają się też tacy, dla których starość zaczyna się po przeżyciu pierwszego stulecia.

Dla gromadki z Domu Teatru przy ul. Pojezierskiej czas ludzkiego życia okazuje się być kategorią najzupełniej względną. Na niedużej scence starsze panie i panowie tańczą, śpiewają, opowiadają dowcipy i śmieją się serdecznie.

Wszyscy noszą w sobie bakcyla teatru, choć niewielu tylko mogło poświęcić się scenie zawodowo. Życie zmuszało do rezygnacji z marzeń dla prozaicznej walki o byt, ale przecież nie tonęli w szarzyźnie egzystencji od pierwszego do pierwszego. Szła z nimi przez lata pasja i wielka potrzeba tworzenia, choćby w wymiarze pojedynczego człowieka.

Trzon zespołu wywodzi się z amatorskiego kabaretu „BI-BA-BO" powstałego jako jedna ze scen Teatru „Problemy" działającego przy Międzyzakładowym Domu Kultury „Energetyk" w Łodzi. Kabaret — nazwą i tradycją nawiązywał do swego profesjonalnego poprzednika sławnego w Łodzi w latach 1896—1916. Zafascynowani łódzkim folklorem czarem przedwojennych teatrzyków rewiowych — Wiesław Szczotkowski, Krystyna Raduszewska, i Zdzisława Wojciechowska — reaktywują „BI-BA-BO" w 1972 roku. Wielką popularność kabaretu w ruchu amatorskim przynoszą liczne występy w Domach Seniora, Rencistów, w Domach Przewlekle Chorych, zakładach pracy, szkołach i uczelniach. Z końcem 1972 roku „BI-BA-BO" trafia pod opiekę Domu Kultury „LODEX" prezentując publiczności kultywowaną z pietyzmem tradycję widowisk plenerowych („Ojra łódzka", „Na Zdrowie po zdrowie") i wywodzącą się z klimatu paryskich teatrzyków brukowych i niemieckich tingel-tanglów subkulturę łódzkiej ulicy lat przedwojennych.

SECESJA

kabaretu „BI-BA-BO" nastąpiła w 1974 roku. Zaczęło się źle dziać. Między kierownikiem Wiesławem Szczotkowskim a zespołem wystąpiły zadrażnienia, wreszcie próba „artystycznego odmłodzenia" kabaretu przeprowadzona metodą wykluczenia niektórych osób. Wówczas to pan **Jan Pietrzyk, Jadwiga Kornacka** i kilka jeszcze innych osób odchodzi z kabaretu. Pozostaje uczucie żalu i goryczy, ale — niezniszczalny jest bakcyl działania — wygrywa życie. Jan Pietrzyk mieszkający w Domu Kombatanta, przy ul. Przyrodniczej, zaczyna gromadzić wokół siebie takich jak on zapaleńców. Powstaje Kabaret Seniora „ELDORADO".

Od kwietnia 1983 roku kabaretem opiekuje się Dom Teatru ŁDK, gdzie przygotowali drugi już program (poprzedni pt. „Świat stoi powabów ma") pt. „Uśmiechnięte wspomnienia".

Edward Gawrysiak, lat 76 trafił do zespołu przypadkiem, ot, na spacerze w parku przygodnie poznany dżentelmen okazuje się być teatralnym pasjonatem. Nie sposób się oprzeć namowom, więc emerytowany przedzalnik, po latach pracy w fabryce zostaje aktorem, bo... „kto raz wejdzie na deski sceny, to koniec, już przepadł." **Jerzy Magus** to całkiem inna historia. Jest tancerzem i śpiewakiem zawodowym. Ma za sobą pracę w Operetce Łódzkiej i Operze Warszawskiej. Po ciężkim wypadku na początku 1970 roku musi odejść na rentę. Ale czy musi zapomnieć o scenie?

Polemiki • Listy • Opinie

MPK, PASAŻEROWIE I KRYTYKA

Tydzień temu opublikowaliśmy wśród listów pasażerów MPK również pismo Związku Zawodowego Pracowników MPK w Łodzi podpisane przez wiceprzewodniczącą Jadwigę Urbańską. Dotyczyło ono felietonu Mściwoja Zasadnego pt. „Bilety proszę do kontroli". Felieton ten ukazał się w 23 numerze „Odgłosów". Pismo ZZ Pracowników MPK protestowało przeciw niesprawiedliwej ocenie pracy MPK polegającej na daleko idących uogólnieniach. W związku z tym pismem, jak i listami, jakie nadeszły do redakcji, wypada stwierdzić co następuje:

1. Każda praca spełniana publicznie i w interesie społeczeństwa podlega krytyce tych, którym ma służyć. Z tego powodu praca ludzi zatrudnionych w MPK podlega krytyce pasażerów. I tak się dzieje, czy to się komuś w MPK podoba, czy nie. Podobnie, jak działalność dziennikarzy podlega krytyce czytelników.

2. Prasa wyraża tylko część tej krytyki. Warto posłuchać, co ludzie o pracy MPK mówią na przystankach, kiedy oczekują na stadami kursujące tramwaje. Nie obchodzi ich wówczas, że MPK ma obiektywne trudności, że brakuje ludzi do pracy, że nie ma części i tak dalej. Wyrażają oni wtedy racje zdenerwowanego pasażera, który chce jak najszybciej dostać się do celu. Gdy te racje docierają do prasy, naszym obowiązkiem jest je upowszechniać.

3. Na krytykę nie należy się obrażać, na krytykę należy odpowiadać w sposób rzeczowy. Zobowiązują do tego odpowiednie przepisy. MPK nie jest wyłączone spod obowiązujących w PRL przepisów.

4. Autorowi felietonu pt. „Bilety proszę do kontroli" istotnie można zarzucić daleko idące uogólnienia. Jest bez wątpienia, że nie wszyscy kontrolerzy są tacy, jak opisał, że nie wszyscy motorniczy i tak dalej. Ale felieton rządzi się swoimi prawami i jego autor ma prawo do przesady, aby tym silniejszą wywołać reakcję zainteresowanych. W końcu swoim felietonem występuje w obronie interesu społecznego, służy społeczeństwu.

Rzecz przecież nie w tym, aby tylko wskazywać konkretne przypadki naruszania prawa czy innych wykroczeń przeciwko dobrym obyczajom i kulturze, ale również w tym, aby pokazywać społecznie szkodliwe zjawiska oraz ujawniać niewłaściwe tendencje w kształtowaniu się stosunków między ludźmi, choćby i w podróży tramwajem czy autobusem.

Jest niewątpliwie prawdą, że zło najtrudniej dostrzec we własnym środowisku i najtrudniej na nie reagować. Najtrudniej wychowywać samego siebie i swoich najbliższych. Tu zawsze znajdą się okoliczności łagodzące. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby pracownicy MPK zamiast obrażać się popatrzyli krytycznie na swoją pracę i uważniej posłuchali o niej opinii innych. Tak zresztą powinni postępować wszyscy. Dziennikarze również. Krytyka — nawet jeśli jest przesadzona i niesprawiedliwa — powinna służyć postępowi, sprzyjać społecznemu postępowi. Samozadowolenie do niczego nie prowadzi. Myśmy się do tej pory nauczyli wzajemnie chwalić, warto zacząć się uczyć właściwego reagowania na krytykę. To nie jest łatwe.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS. Zadziwiające, że jedyny list, jaki nadszedł w obronie kontrolerów MPK był... anonimem, podpisany „Pasażerka". Mieliśmy ogromną ochotę go opublikować. Zwróciliśmy się na łamach „Odgłosów" z apelem do „Pasażerki", aby tylko do wiadomości redakcji podała swoje nazwisko i adres, ale bez skutku. Nasz stosunek do anonimów wyrażaliśmy już wielokrotnie. Pisałem też niedawno — omawiając „Prawo prasowe" — że jeśli list do redakcji, pismo, odpowiedź, sprostowanie nie jest podpisane „w sposób umożliwiający redakcji identyfikację autora", to nie ma ona obowiązku publikowania takiego tekstu. W myśl tej zasady będziemy nadal postępowali.

L. W.

CO JEST OCZYWISTE?

Zdaniem Redakcji („Odgłosy" nr 26/84), dla Czytelników nie zawsze jest oczywiste, że materiały zamieszczane w ramach działu „Polemiki — Listy — Opinie" nie muszą stanowić (i zwykle, jak tuszę, nie stanowią) odbicia stanowiska Redakcji. Przeto Redakcja za słuszne uważa przy niektórych „Polemikach — opiniach" zaznaczać, iż ma odrębne zdanie. Powołuje się przy tym na powiedzenie starożytnych: repetito mater studiorum est.

Skoro powtarzanie rzeczywiście bywa matką wiedzy, to czy nie byłoby wskazane czynić tego bez straty miejsca a systematycznie, tj. przez stałe wykorzystanie miejsca obecnie marnowanego? Na wzmiankowanej kolumnie tylko połowę części nagłówkowej zajmuje tytuł „Polemiki — Listy — Opinie". Druga połowa jest pusta. Czy nie byłoby wskazane zamieszczać na tej prawej, czystej połowie, tekstu (złożonego nawet petitem) w rodzaju: „Zamieszczane tu materiały są wyrazem osobistych poglądów Autorów"? — Wówczas każdy wilk byłby syty. Redakcja ochroniona przed przykrościami ze strony co łatwowierniejszych Czytelników (jeszcze wierzących w moc słowa drukowanego), a dla Czytelników z grupy „aktywnych" — byłoby trochę więcej miejsca na wyrażanie „kontrowersyjnych" a indywidualnych poglądów — miejsca, teraz marnowanego na adnotacje w stylu: „Redakcja do publikowanych tu tekstów ma swój odrębny stosunek" („Odgłosy" nr 24/84).

Dla mnie, mimo wszystko, jest oczywiste, że list, a także polemika i opinia — są wyrazem poglądów indywidualnych, o ile w podpisie nie zaznaczono, że autor reprezentuje grupę. Gdyby było inaczej, tj. gdyby każda opinia miała być brana za wyraz „opinii społecznej", to nikt uczciwy nie mógłby „pyska" otworzyć; każdy byłby zakneblowany, nikt nie mógłby „pary z ust wypuścić" nawet żartem, każdy musiałby milczeć, jak pies w kagańcu sporządzonym według normy branżowej, tj. o trzy numery za małym. Czy wreszcie dożyjemy czasów, gdy człowiek, tj. jednostka indywiduum, będzie mógł wyrażać swoje indywidualne zdanie — bez obawy, że zostanie ono „zinterpretowane", wzięte za zdanie grupy (czytaj: klanu, kliki, koterii, stowarzyszenia, stronnictwa, związku itd.), lub przypisane grupie (np. Redakcji)? Czy koniecznie za imienną wypowiedzią musi „coś" lub „ktoś" się kryć, musi być jakiś kamuflaż, jakieś przemycanie czegoś, celowanie w kogoś napuszczanie lub dmuchanie? Nie mogę być ja — Czytelnik, zwykły i sam?

Jeżeli dożyjemy tych czasów, to będzie to oznaczać (oczywiście!), że wreszcie po wiekach nietolerancji, obskurantyzmu, zakłamania, palenia na stosie (tzw. opinii publicznej) i kamienowania (sankcjami służbowymi w pracy), ekskomunikowania etc., wreszcie powróciliśmy do okresu, w jakim już byliśmy — nie tępiąc Braci Polskich, z otwartymi ramionami przyjmując Braci Kalwinów i Husytów, a nawet tolerując braci Masonów, Żydów, Cyganów i innych odmieńców. Ile to wieków temu było? Ile wody w Wiśle musi jeszcze upłynąć, zanim znów osiągniemy tamten poziom?

Chciałbym, aby stało się to jeszcze w tym tysiącleciu. Jednak rozum wsparty obserwacją otoczenia podpowiada, iż stanie się to dopiero w następnym, trzecim tysiącleciu, o ile w ogóle stanie się. Póki co, rzeczywiście być może jest oczywiste, iż należy zaznaczać, że moje osobiste zdanie jest wyłącznie zdaniem moim, indywidualnym, wyalienowanym, kontrowersyjnym etc. Na tyle bowiem bezczelny (?) albo raróg jestem, że stać mnie na luksus indywidualnego tj. „odrębnego" myślenia w czasach powszechnego dęcia w trąby, myślenia — nie podpieranego autorytetem siłą czy arogancją grupy. Za co nikogo nie przepraszam. I wiem, że za ten luksus, a także arogancję a zwłaszcza błąd — mogę (muszę!) spotkać się z ciegami tak z lewej, jak i z prawej, a z gwizdami z centrum. (Uwaga: pisząc „ja" mam na myśli wewnętrzne rozterki każdego, kto chce chwycić za pióro, aby swoje wątpliwości, racje i zdanie przedstawić innym za pośrednictwem prasy).

W tym wszystkim chciałbym, aby Redakcja „Odgłosów" — tygodnika wyjątkowo interesującego, atrakcyjnego a także „kontrowersyjnego" na tzw. „tle prasy polskiej" nie marnowała miejsca na ogłaszanie prawd oczywistych. Choć rzeczywiście, według pewnych filozofów, na tym świecie nic nie jest oczywiste. Powtarzanie zaś, byle systematyczne, naprawdę bywa matką nauki, wiedzy i mądrości, choć i bywa matką biedy — gdy powtarza się te same głupstwa.

J. STANISŁAW KNYPL

ENCYKLOPEDIA ZA ŚMIECI

Mamy kolejną szlachetną inicjatywę. Oto łódzka prasa codzienna donosi triumfalnie, że Okręgowe Przedsiębiorstwo Surowców Wtórnych wpadło na genialny pomysł zamiany jednotomowej encyklopedii PWN (z zaznaczeniem: „drukowana w Finlandii") na kupę śmieci, czyli makulaturę. Określenie „kupa śmieci" ma swoje uzasadnienie jako że krajowe papiernie od dawna wypinają się na makulaturę co niewątpliwie jest oznaką bogactwa i dobrego samopoczucia dyrekcji.

Dalej prasa wyjaśnia, iż jedynym warunkiem otrzymania rzeczonej encyklopedii jest przytarganie do punktu skupu, bagatela, 330 kilogramów makulatury. Końcowe 30 kg należy dostarczyć za darmo i dobrowolnie (?) na Centrum Budowy Pomnika Matki-Polki.

Nijak nie mogłem pojąć, dlaczego postawiono właśnie na 330 kg, a nie na przykład na 250 czy 500 kg. Dopiero głębsza analiza rynku papierowo-makulaturowego dała sensowną odpowiedź. Wychodzi na to, że 300 kg papieru zdobyć łatwo i tanio, wykupując z księgarni niektóre cegły — po trzeciej przecenie oraz nakłady pewnych, powszechnie znanych gazet. W sumie wybuli się wówczas prawie tyle, ile wynosi cena encyklopedii — 2500 zł. Sprytnie to pomyślano — chyba do spółki z Domem Książki i Ruchem.

Żeby zaś szanownych klientów nie narażać na przepukline, Okręgowe Przedsiębiorstwo Surowców Wtórnych wystawia książeczki zbieracza makulatury, tak, że można odnotować w nich wagę każdej partii dostaw. Pomysł OPSW jest niewątpliwie tyleż prosty, co rewelacyjny, tylko jakby ciut nieświeży.

Swego czasu nakręcono machinę wymiany starych gazet z okresu propagandy sukcesu na Dzieła Wieszcza. Poetę wyceniono jednak znacznie taniej i trafił pod strzechy za marnych parę kilogramów wtórnego surowca. No, ale gdzież Pcecie do encyklopedii drukowanej w Finlandii.

Zaraz po tej ogólnopolskiej akcji, jasnowidze z wrocławskiego Studia 202 zaproponowali pójście na całość. Najpierw przedstawili oni wywiad z kierownikiem punktu skupu makulatury, który to kierownik zalił się na oczekujący go nadmiar roboty przy puszczaniu z dymem plonu pięknej inicjatywy — bo innych wytycznych z Centrali nie było. Przestrzegał też okoliczną ludność, żeby widząc płonące pryzmy nie brała ich za meteoryt tunguski. Dalej, Jasio Kaczmarek zaproponował rozkręcenie innych akcji wymiennych pod hasłami:

Garnitury i krawaty za 30 kilo szmaty.

Paczka caro cygaretów za trybunę i sto petów.

Chcesz w niedzielę zoo zwiedzać — idź do skupu zdaj niedźwiedzia.

Chcesz witamin brak wyrównać — zbieraj nawóz, przynieś...

Wrocławscy „jajarze" nie przypuszczali pewnie, że pomysł ich szybko będzie podchwycony. Dzisiaj za parę ton makulatury i szmat można stać się szczęśliwym posiadaczem sztruksu, puszystego koca, kąpielowego ręcznika, rajstop, widelca i toaletowego papieru. Innych dróg legalnego nabycia wyżej wymienionych dóbr praktycznie nie ma, więc pozostaje powrót do zbieractwa.

Akcja: encyklopedia za makulaturę nabierała właśnie rozpędu, gdy zupełnie niespodziewanie precyzyjny mechanizm skupu zazgrzytał, jęknął i trafił go szlag. Okazało się bowiem, że paskudni klienci w parę minut rozdrapali wszystkie książeczki zbieracza makulatury — ma się rozumieć w celach spekulacyjnych, a zmyślni ajenci punktów skupu też chcieli mieć w domu encyklopedię, albo chociaż żywą gotówkę. Przy okazji wyszło na jaw, że ci od surowców wtórnych mają dla całego województwa łódzkiego 180 egzemplarzy jednotomówki, co przecież jest liczbą zawrotną i warto było gigantyczny fajerwerk organizować.

Pozostało jeno pytanie: jaki los czeka nikomu niepotrzebną makulaturę? Pewnie trafi ona do tych, którzy wiedzą jaki zrobić z niej użytek, czyli do takich biedaków jak: Jugosłowianie, Austriacy czy Skandynawowie.

A swoją drogą jesteśmy świadkami ciekawego zjawiska, że makulaturową potęgą i eksporterem tego surowca jest kraj, będący w ogonie europejskiej tabeli użytkowników papieru.

R. K.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

NIE PRZYZNAJĘ SIĘ!

Już Mistrz Sztaudynger pisał „Gdy usłyszę: „czy pan schodzi" — to już wiem, że jestem w Łodzi". Tylko w Łodzi bowiem z tramwaju „wysiadają" jedynie niektórzy. Znakomita większość — „schodzi".

Są w Łodzi błędy językowe, charakterystyczne tylko dla tego miasta, co wcale nie oznacza, że w innych spotykamy się ze szczególną czystością języka ojczystego. Warszawiacy na przykład jeżdżą „na Saskie Kępę", a na targu kupują „gięś".

Dla Łodzi typowym jest, oprócz „schodzenia" z tramwaju i jazdy „na peronie" zamiast na pomoście, oprócz „zrucania" (np. węgla do piwnicy) zamiast „zrzucania", kilka błędów, dość powszechnie popełnianych nawet przez osoby z wyższym niż średnie wykształceniem, a nawet — co jest szczególnie smutne, choć prawdziwe — przez nauczycieli. Błędami takimi są „złapę" — zamiast „złapię", „drapę" zamiast „drapię" itd., „melone" zamiast „mielone" (np. mięso), „rzeźnik" zamiast „rzeźnik", a także „powiedzane" zamiast „powiedziane".

Błędy takie są szczególnie przykre, gdy się je spotyka w prasie w ogóle, a w szczególności takiej prasie, która w tytule zamieszcza hasło „tygodnik społeczno-kulturalny". Może to sugerować, że redakcja świadomie pozostawia „in extenso" formę, jakiej użył autor publikacji.

Dlatego właśnie — choć nie chciałbym sprawić przykrości Paniom od korekty — nie przyznaje się, że w materiale „Bronie urzędników" opublikowanym w numerze 26 „Odgłosów", użyłem formy „powiedzane" (9 wiersz od góry). Przykro mi, ale zawiniła korekta. Nie upominam się o inne pomyłki — np. wydrukowanie „czynników" zamiast „czynności" jak było w maszynopisie, lub „kardy" zamiast „kadry" to bowiem sprawka chochlika drukarskiego, co każdy łatwo spostrzeże. Nie protestuję nawet przeciwko skróceniu przedostatniego akapitu na skutek czego przesłanie adresowane do urzędników „z wysokiego i bardzo wysokiego szczebla" straciło na ostrości. Z użyciem formy „powiedzane" nie mogę się jednakże zgodzić, a tym bardziej do niej się przyznać.

Dlatego właśnie napisałem powyższe.

PIOTR SIKORSKI

KOCI HORROR

Jestem wstrząśnięta lekturą artykułu „Koci horror" z 26 numeru Waszego tygodnika. Trudno znaleźć mi słowa dla wyrażenia tego co czuję. Opisane przez p. Bryla potworne przejawy zdziczenia i okrucieństwa, jakby pochodziły z koszmarnego snu. Ale to jednak rzeczywistość.

Szokujący jest dla mnie stosunek władz oświatowych do tego poważnego problemu. O ile wiem, kształtowanie wrażliwości, uczenie humanitaryzmu — to jedne z podstawowych celów wychowawczych. Czy pozostają one tylko sloganem umieszczanym co roku w założeniach programowych pracy z dziećmi i młodzieżą szkolną? Fakty, jakie autor opisał, zdają się o tym świadczyć. Być może ci „zwyczajni mieszczanie" obojętnie przyglądający się maltretowaniu bezbronnych zwierząt przez dzieci odczują efekty swoich metod wychowawczych lub raczej ich braku za kilka, kilkanaście lat. I być może zabawne im się to wówczas nie wyda. Nie tłumione instynkty sadystyczne ich pociech zapewne się rozwiną.

Jestem bardzo wdzięczna za poruszenie tego ponurego tematu. Myślę, iż czytelników podobnie czujących będzie więcej. Mam tę nadzieję choć rozmiar ludzkiej znieczulicy i tępoty budzi we mnie przerażenie. I niewielką pociechą jest, że moje dziecko kocha zwierzęta.

EWA KAWIARSKA

MINĄŁ MAJ...

W numerze 23 (1367) Waszego Pisma (9.VI.1984 r.) zamieściliście notatkę Piotra Sikorskiego na temat Dni Oświaty Książki i Prasy, a w niej uwagę dotyczącą cen książek przecenionych będących jednocześnie w obiegu antykwarycznym.

Pragniemy poinformować Was, że w miesiącu kwietniu br. nasze przedsiębiorstwo, podobnie jak wszystkie przedsiębiorstwa księgarskie w kraju, przeprowadziło przecenę książek z literatury pięknej, wydanych do roku 1979 i naukowych, popularnonaukowych wydanych do roku 1978. Przeceną objęte zostały tylko te tytuły, których nakłady zostały wyczerpane. Część z nich trafiła wcześniej do obiegu antykwarycznego, uzyskując ceny wyższe od nominalnych. Kwestionowana przez Pana Sikorskiego różnica między ceną książki przecenionej a ceną antykwaryczną sugeruje konieczność dokonania przeceny w antykwariatach. Przeprowadzenie takiej operacji równałoby się obniżeniu cen, bez mała, całości zapasów naszych antykwariatów. Absurdalności tego pomysłu przeczy nie tylko zasada rentowności, ale również ogrom pracy z tym związany. Zyski i zadowolenie obu stron, „Domu Książki" i jego klientów, byłyby wątpliwe. Rozwijanie tego wątku jest tu zbędne, wystarczy wspomnieć o interesie jaki zrobiliby na tym bazarowi handlarze książek.

Wydaje się, że Pan Sikorski, zarzucający nam zignorowanie Dni Oświaty, Książki i Prasy, też nie zadał sobie wiele trudu i pisał swój tekst w dużym pośpiechu. Ostatnie zdanie, zamykające tekst „Są to widocznie tajniki zawodu, a ja w końcu nie muszę wszystkiego wiedzieć", nie usprawiedliwia jego niedoinformowania, które łatwo mógł uzupełnić — Redakcja „Odgłosów" jest sąsiadem, przez ulicę, z dyrekcją „Domu Książki".

Z-ca dyrektora
mgr JAN GRUSZCZELAK

KOMU SĄ ZNANE JENIECKIE LOSY GEN. KLEEBERGA

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze prowadzi prace badawcze dotyczące losów polskich jeńców, którzy przebywali w latach II wojny światowej w niemieckiej niewoli. Prace te dotyczą obozów dla oficerów — OFLAGÓW: II C WOLDENBERG w Dobiegniewie, II E NEUBRANDENBURG, II B ARNSWALDE w Choszcznie, III A LUCKENWALDE, IV A HOHENSTEIN, IV B KOENIGSTEIN, VI B DOESSEL, VII A MURNAU.

Mimo iż na ich temat ukazało się szereg publikacji, wiele spraw nadal należy do mało udokumentowanych i czeka na wyjaśnienie oraz dokładniejsze ustalenie faktów, jak np. pobyt w niewoli generała Franciszka Kleeberga.

Gen. Kleeberg jako dowódca Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" stoczył ostatnie bitwy polskiego września pod Kockiem, Adamowem i Wolą Gułowską. Mimo heroicznego czynu „Kleeberczycy" musieli kapitulować przed przeważającymi siłami doskonale uzbrojonego wroga, z powodu braku amunicji. Generał po wzięciu go przez Niemców do niewoli w dniu 6 października 1939 roku, został przewieziony z pola bitwy przez Radom, Łódź, Wrocław, Drezno do Hohenstein. Został bowiem tam utworzony obóz jeniecki dla oficerów — Oflag IV A.

Po pewnym czasie gen. Kleeberga i towarzyszących mu oficerów przeniesiono do znanej twierdzy Koenigstein, która stała się Oflagiem IV B. Później gdy oficerów polskich przeniesiono do Oflagu VII A w Murnau generał pozostał nadal w tej saksońskiej twierdzy. Wiadomo jest, że stan jego zdrowia ulegał pogorszeniu, tak że został przeniesiony do szpitala wojskowego w Weisser koło Drezna, gdzie zmarł 5 kwietnia 1941 roku. Pochowany został na jednym z cmentarzy drezdeńskich — Neustadt. Prochy jego już po wojnie zostały uroczyście sprowadzone do Polski i w dniu 5 października 1969 roku spoczęły wśród poległych towarzyszy walki na cmentarzu wojennym w Kocku.

Osoby, które przebywały w wyżej wymienionych oflagach, lub którym są znane podane fakty, a dotychczas jeszcze w tej sprawie nie udzielały wyjaśnień względnie relacji, proszone są o zgłoszenie się pisemne pod adresem: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze, pl. Słowiański 1, 65-069 Zielona Góra.

Na „Wellingtonach" i „Mosquitach" walczyli lotnicy 305 dywizjonu

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

W pierwszą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej — 1 września 1940 roku — na lotnisku Bramcote, niedaleko Nuneaton, sformowano ostatni z czterech polskich dywizjonów bombowych w Wielkiej Brytanii: 305 Dywizjon Bombowy Ziemi Wielkopolskiej, dowodzony przez płk. obs. **Jana Jankowskiego.** Personel latający dywizjonu początkowo szkolił się na przestarzałych jednosilnikowych samolotach bombowych Fairey „Battle", zabierających trzyosobową załogę, lecz już w pierwszych dniach listopada przezbrojono jednostkę w dwusilnikowe bombowce Vickers-Armstrong „Wellington" Mk. I, których załogę stanowiło sześciu lotników, co dwukrotnie zwiększyło stan osobowy personelu latającego i technicznego dywizjonu. Na początku grudnia dywizjon przeniesiono na lotnisko położone blisko miejscowości Newark — Syerstone, gdzie kontynuowano szkolenie. W tym samym miesiącu jednostkę operacyjnie wcielono do 1 Grupy Bombowej Bomber Command (Lotnictwa Bombowego RAF).

Gotowość bojową dywizjon 305 osiągnął w kwietniu 1941 roku, a dowództwo przejął płk. pil. **Bohdan Kleczyński.** W nocy z 24/25 kwietnia załogi dywizjonu wykonały pierwszy lot bojowy, bombardując bardzo skutecznie zbiorniki paliwa w Rotterdamie i odnosząc wielki sukces, gdyż mimo bardzo silnej obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela — licznych dział i reflektorów — wszystkie „Wellingtony" powróciły bez uszkodzeń i strat do Syerstone. Dla upamiętnienia tego wydarzenia, dzień 25 kwietnia corocznie obchodzono, jako święto 305 dywizjonu.

Długotrwałe, trudne loty nocne, którym towarzyszył huraganowy ogień setek dział niemieckiej artylerii przeciwlotniczej oraz oślepiający blask niezliczonej ilości reflektorów — kiedy każda sekunda wydawała się godziną, a sekundy decydowały o powodzeniu lotu i losie załogi — wymagały niezwykłej odwagi, stalowych nerwów, odporności psychicznej i fizycznej, a nade wszystko wysokich kwalifikacji lotniczych. Bowiem samolot trafiony pociskiem artyleryjskim w komory bombowe, eksplodował w powietrzu, rozlatując się wraz z załogą. Ugodzony w któryś z silników lub co gorsza, w zbiorniki paliwa, spadał na ziemię, płonąc, a jego załoga — smażyła się żywcem.

Ratowanie się spadochronem w warunkach wojennych nie było łatwe. Skacząc nocą w przestrzeni, przelatywało się wśród tysięcy — śmigających z różnych kierunków — pocisków artyleryjskich, z których każdy był groźny dla skaczącego na spadochronie lotnika. Powodzenie skoku zależało również od miejsca wylądowania. Jeżeli lotnik lądował spadochronem w płonącym mieście — ginął. Natomiast skok do wody kończył się często utonięciem. W najlepszym przypadku i przy odrobinie szczęścia lotnik dostawał się do niewoli niemieckiej. Nierzadko zdarzało się, że powracające z udanej wyprawy bombowce, podziurawione, jak sita, niosły na pokładach zabitych i rannych członków załogi albo lądowały na resztkach paliwa. Zwalały się nad własnymi lotniskami, rozbijając się lub płonąc. Zdarzało się również, że powracające samoloty bombowe zaskakiwali i zestrzeliwali w obszarze macierzystych lotnisk hitlerowscy myśliwcy.

W tym miejscu warto przytoczyć choćby kilka z wielu tragicznych powrotów załóg 305 Dywizjonu Bombowego Ziemi Wielkopolskiej. Powracający — po udanym nalocie nocnym — znad Zagłębia Ruhry, 18 lipca 1941 roku, „Wellington" Mk. I, nr 2840 został zaatakowany i zestrzelony przez niemieckiego myśliwca w obszarze własnego lotniska Syerstone. Bombowiec runął w płomieniach na ziemię, grzebiąc w swych szczątkach całą załogę — porucznikow: **Bolesława Kuziana, Janusza Tomaszewskiego** i **Bronisława Klatta** oraz sierżantów: **Jana Podziemskiego, Jana Sylwestrowicza** i **Mariana Czerniejewskiego.**

14 marca 1942 roku w drodze powrotnej do Anglii został silnie ostrzelany i uszkodzony „Wellington" SM-9, nr Z8438, wskutek czego podczas lądowania na macierzystym lotnisku samolot wykołował poza nie, zderzając się z budynkiem i zapalając się. Pięciu członków załogi zginęło w płomieniach — porucznicy: **M. Dranicki, C. Rymkiewicz, S. Ostaszewski** oraz sierżanci: **M. Sasin** i **E. Bala.** Uratował się tylko szósty lotnik: sierż. **M. Galas.**

Powracający z wyprawy nocnej nad Lubekę „Wellington" Mk. II, nr W5567, silnie ostrzelany przez niemiecką artylerię, poważnie uszkodzony, ostatecznie został zestrzelony 29 marca 1942 roku, a cała załoga dostała się do niewoli niemieckiej. W skład załogi wchodzili: kpt. obs. **K. Pawluk,** por. **J. Jungowski** oraz sierżanci: **F. Wąsiński, M. Skubiszewski, C. Krupa** i **J. Krawiec.** Nawigator kpt. obs. **Kazimierz Pawluk** do 1944 roku przebywał w obozie jenieckim w Żaganiu, uczestnicząc w słynnej ucieczce lotników RAF, która jemu nie powiodła się. Ujęty przez hitlerowców 25 kwietnia 1944 roku, w miesiąc później — 25 maja — został zamordowany. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu lotników brytyjskich w Poznaniu.

W 1942 r. hitlerowska Luftwaffe coraz częściej wprowadzała do zwalczania bombowców alianckich myśliwce nocne, zastraszająco dziesiątkujące wyprawy bombowe RAF. Straty załóg osiągały sześćdziesiąt, a nawet dziewięćdziesiąt procent. Wielkopolanie kontynuowali nocne wyprawy na różne ośrodki przemysłowe III Rzeszy, uczestnicząc również w gigantycznych operacjach RAF, atakując miasta niemieckie. W grupie pięciuset bombowców RAF załogi 305 dywizjonu poleciały na bombardowanie Lubeki, w nocy z 28/29 marca 1942 roku, a dwa miesiące później, w nocy z 30/31 maja, uczestniczyły w nalocie tysiąca bombowców na Kolonię, zaś w nocy z 25/26 czerwca w zmasowanym nalocie tysiąca maszyn bombardowały Bremę.

Nadszedł rok rozwijającej się ofensywy powietrznej lotnictwa alianckiego nad Niemcami — rok 1943. Mimo znacznie uszczuplonego stanu załóg, dywizjon wielkopolski dokonywał nadal nocnych nalotów na Zagłębie Ruhry, niszcząc przemysł niemiecki, a szczególnie przemysł zbrojeniowy. Od czasu do czasu „Wellingtony" 305 dywizjonu pojawiały się również w innych regionach Niemiec, pozbywając się śmiercionośnego ładunku bomb burzących i zapalających. Dopiero kwiecień przyniósł pomyślniejsze zmiany w 305 dywizjonie. Zdziesiątkowany stan personelu latającego uzupełniły załogi, przybyłe z rozformowanego dywizjonu 301 Ziemi Pomorskiej, a poza tym dywizjon otrzymał nowocześniejsze i szybsze samoloty — „Wellingtony" Mk. III i Mk. X, z których ostatnie wyposażone były w doskonałą aparaturę nawigacyjną, znacznie ułatwiającą loty nocne, poprawiając ich skuteczność.

Od połowy czerwca załogi dywizjonu wielkopolskiego startowały z lotniska Ingham, usytuowanego w hrabstwie Lincoln, na którym stacjonował również 300 Dywizjon Bombowy Ziemi Mazowieckiej. Noce wypełnione były coraz trudniejszymi i odleglejszymi wyprawami bojowymi, z których wielu lotników nie powracało, a jeszcze więcej było okaleczonych. „Wellingtony" powracały coraz bardziej pokiereszowane przez artylerię przeciwlotniczą, jak i po walkach stoczonych z niemieckimi myśliwcami nocnymi. Wykruszali się lotnicy, wykruszały się samoloty. Oprócz pomniejszych wypraw bombowych, załogi dywizjonu wielkopolskiego brały udział w zmasowanych nalotach RAF na miasta niemieckie. W grupie siedmiuset bombowców RAF bombardowały w nocy z 24/25 lipca Hamburg. W tym nalocie po raz pierwszy zastosowano akcję „Window" (Okno), polegającą na zrzuceniu olbrzymich ilości pasków cynfolii, zakłócających nie tylko pracę niemieckich stacji radiolokacyjnych, lecz również potęgujących ilość samolotów alianckich, znajdujących się nad Niemcami, co znacznie zmniejszyło straty załóg własnych. Uczestniczyły również w zmasowanym nalocie RAF na niemiecki ośrodek doświadczalny broni „V", bombardując w nocy z 17/18 sierpnia obiekty tego ośrodka w Peenemünde.

Żaden z dywizjonów RAF nie mógł się pochwalić swoistym rekordem osiągniętym przez 305 dywizjon Ziemi Wielkopolskiej, który latając bojowo bez przerwy dwadzieścia siedem miesięcy, wykonał aż tysiąc sto siedemnaście lotów bojowych, w ponad sześciu tysiącach godzin, zrzucając na cele nieprzyjaciela ponad tysiąc pięćset ton bomb. Sukces swój jednak opłacił stratą czterdziestu pięciu „Wellingtonów", stu trzydziestoma sześcioma poległymi lotnikami, dziesięcioma zaginionymi oraz trzydziestoma sześcioma lotnikami w niewoli.

W końcu sierpnia 1943 r. dowództwo dywizjonu objął mjr. pil. **Kazimierz Konopasek,** a w pierwszych dniach września dywizjon wielkopolski odszedł z Bomber Command (Lotnictwa Bombowego), przeniesiony na lotnisko Swanston Morley, w hrabstwie Norfolk, gdzie wcielony został do 2 Grupy Bombowej 2 Tactical Air Force — 2TAF (2 Taktycznych Sił Powietrznych), których zadaniem było bombardowanie i ostrzeliwanie celów naziemnych z broni pokładowej. Po dwumiesięcznym przeszkoleniu na nowoczesnych i szybkich dwusilnikowych samolotach amerykańskich North American „Michel" B-25, zabierających na pokład pięciu członków załogi i około dwie tony bomb, dysponujących pięcioma karabinami maszynowymi i osiągających prędkość do 480 km/godz., załogi dywizjonu latały na wyprawy dzienne pod osłoną myśliwców, na wyznaczone cele we Francji. Wkrótce nastąpiła ponowna zmiana lotniska. Tym razem maszyny 305 dywizjonu startowały z lotniska Lasham, zlokalizowanego w hrabstwie Hampshire, dokąd przeniesiono dywizjon w połowie listopada. Nowym zadaniem bojowym załóg dywizjonu była akcja pod kryptonimem „Noball", polegająca na niszczeniu wyrzutni bomb latających V-1 oraz towarzyszących obiektów, jak betonowe umocnienia stanowisk V-1, magazyny pocisków latających i ich części, stanowisk dowodzenia, transportów kolejowych i drogowych na francuskim przylądku Gris Nez nad Kanałem La Manche. Jednak ze względu na niekorzystne warunki atmosferyczne, do 21 grudnia wykonano zaledwie osiem wypraw na „Michelach". W grudniu wcielono dywizjon wielkopolski do 138 Skrzydła 2 Grupy 2TAF i wyposażono w najszybsze wielozadaniowe samoloty II wojny światowej, nazywane „drewnianymi cudami" — De Havilland „Mosquito" FB Mk. VI (myśliwsko-bombowe) rozwijające prędkość do 610 kilometrów na godzinę.

Całkowicie drewnianej konstrukcji „Mosquito" FB Mk. VI posiadały dwa silniki o mocy 1635 KM każdy. Dwuosobowa załoga (pilot i nawigator) zajmowała miejsca obok siebie, przy czym nawigator dysponował nowoczesną pokładową stacją radiolokacyjną. Uzbrojenie samolotu stanowiły cztery działka dwudziestomilimetrowe oraz cztery karabiny maszynowe. Samolot mógł udźwignąć dwie bomby po 113 kg lub dwie albo cztery bomby po 225 kg, zależnie od zasięgu. Wysoki pułap i daleki zasięg pozwalały załogom działać nawet w najtrudniejszych warunkach. Odtąd 305 dywizjon wielkopolski stał się jednostką myśliwsko-szturmową, atakującą dniem i nocą cele nieprzyjacielskie na ziemi i w powietrzu, bombardując je i ostrzeliwując z broni pokładowej. Do nowych zadań bojowych dywizjonu należało niszczenie lotnictwa hitlerowskiego na ziemi i w powietrzu — na lotniskach lub w ich pobliżu. Bombardowano również i ostrzeliwano kolumny samochodowe i pancerne nieprzyjaciela. Atakowano skupiska wojsk niemieckich, koszary, baraki, magazyny zbrojeniowe, stanowiska dowodzenia. Niszczono porty i urządzenia portowe, mosty, barki i przeprawy na rzekach. Bombardowano stacje kolejowe, pociągi, wagony i wiele innych obiektów o znaczeniu militarnym.

Tego rodzaju wyprawy nie należały do łatwych, choćby ze względu na małe rozmiary celów i doskonałe ich maskowanie, co znacznie utrudniało ich wykrywanie, a trzeba było bezbłędnie je odnaleźć i zniszczyć przy pierwszym ataku bombami lub z broni pokładowej. Naloty wykonywano z małych wysokości, a przy ostrzeliwaniu z broni pokładowej pilot musiał zniżać lot niemal nad ziemię, co narażało załogę na niebezpieczeństwo zestrzelenia przez nieprzyjacielską artylerię przeciwlotniczą. Dlatego najpierw gruntownie szkolono załogi w lotach dziennych i nocnych na małych wysokościach oraz orientacji według mapy, jak i bezpiecznego atakowania bombami i bronią pokładową. W połowie stycznia 1944 r. pierwsze załogi były już dostatecznie przygotowane do lotów bojowych.

Już 25 stycznia 1944 roku pierwsze trzy załogi poleciały nad Francję. Jednak trudne warunki atmosferyczne utrudniały odnalezienie celu i zadania nie wykonano. Nad ten sam cel w trzy dni później poleciała załoga: sierż. pil. **Mieczysław Illg** z nawigatorem por. obs. **J. Wąsikowskim.** Chociaż warunki meteorologiczne były nadal fatalne, lotnicy cel odnaleźli, bombardując go czterema bombami 225-kilowymi. Lot przedłużył się do trzech godzin, powodując wyczerpanie się paliwa, wskutek czego w drodze powrotnej, już w zasięgu macierzystego lotniska, obydwa silniki przestały pracować. Pilot zmuszony był do przymusowego lądowania w bardzo niekorzystnym terenie, rozbijając samolot przy lądowaniu. Obaj lotnicy byli ciężko okaleczeni, wskutek czego sierż. pil. **Mieczysław Illg** wkrótce zmarł, a por. obs. **J. Wąsikowski** przeleżał długi czas w szpitalu, nie mogąc odzyskać zdrowia.

Pierwsze trzy miesiące 1944 roku upłynęły na wyprawach pod kryptonimem „Noball", rozpoczętych na „Michelach". Dopiero na początku kwietnia 1944 roku zmienił się charakter wypraw bojowych. Celem pierwszej operacji nocnej były niemieckie lotniska we Francji — Chartres, Conches i Beaumont, które obrzucono bombami w nocy z 9/10 kwietnia. Zaś 12 kwietnia grupa dwunastu „Mosquitów", prowadzona przez dowódcę dywizjonu — mjr. pil. **Kazimierza Konopaska,** zniszczyła pozycje artylerii niemieckiej w rejonie Ourville la River we Francji. Wskutek strat poniesionych w poprzednim okresie, w dywizjonie brakło pilotów i nawigatorów. Stan osobowy uzupełniano w maju załogami brytyjskimi. Dziewiętnaście załóg polskich stanowiło eskadrę „A", a jedenaście brytyjskich — eskadrę „B", którą dowodził brytyjski oficer RAF.

6 czerwca 1944 roku rozpoczęła się gigantyczna inwazja wojsk alianckich w północnej Francji, podczas której dywizjon wielkopolski operował niesłychanie intensywnie, niszcząc linie komunikacyjne — kolejowe i drogowe, stacje kolejowe i mosty na terenie Francji. Atakował niemieckie kolumny wojskowe w marszu oraz zmotoryzowane, jak również stanowiska artylerii i lotniska niemieckie we Francji. Od początku inwazji przez dwa miesiące — czerwiec i lipiec — dywizjon wykonywał loty bojowe na rzecz alianckich wojsk inwazyjnych. Intensywność tych akcji była tak wielka że polscy lotnicy byli już wyczerpani. W ostatnim dniu lipca 1944 r. przerywając odpoczynek, dowództwo dywizjonu objął mjr. pil. **Bolesław Orliński.**

Jedną z najbardziej udanych operacji „Wielkopolan" było zniszczenie szkoły sabotażystów niemieckich we francuskim zamku Château Moulny, nad Loarą. Nalot ten wykonało sześć załóg 305 dywizjonu wielkopolskiego oraz siedemnaście załóg 107 dywizjonu brytyjskiego. 2 sierpnia 1944 roku o godzinie 19.10 z lotniska Lasham wystartowała szóstka „Mosquitów" z eskadry „A", prowadzona przez jej dowódcę mjr. pil. **Rawicza.** Każda maszyna zabrała po cztery bomby 225-kilowe i pełen zapas amunicji do broni pokładowej. W kilka minut po godzinie dziewiątej wieczorem Polacy znaleźli się nad celem, atakując zamek w Moulny, a dwanaście „Mosquitów" dywizjonu brytyjskiego bombardowało i ostrzeliwało inny zamek, należący również do zespołu szkoły sabotażystów — Château de Fer. Natomiast sześć innych brytyjskich „Mosquito" atakowało w lasku namioty, w których zakwaterowani byli SS-mani. Cały nalot trwał zaledwie piętnaście sekund, a następne piętnaście sekund poświęcono na ostrzeliwanie zniszczonych celów. Zabudowania szkoły sabotażystów legły w gruzach. Cała szóstka polskich „Mosquitów" szczęśliwie lądowała około północy na lotnisku Lasham.

Na południe od Nancy, przy szosie wiodącej — wzdłuż rzeki Mozeli — z Nancy do Epinal, wykryto w miejscowości Nomexy potężne zbiorniki benzyny, które postanowiono zniszczyć. Wykonanie tego zadania powierzono dywizjonowi wielkopolskiemu. Do udziału w wyprawie wyznaczono sześć załóg — pięć polskich i jedną brytyjską. Wyprawę, prowadził sam dowódca dywizjonu — mjr. pil. **Bolesław Orliński.** 31 sierpnia 1944 roku około wpół do czwartej po południu wystartowały z lotniska Lasham załogi „Mosquitów": mjr. pil. **Bolesław Orliński** — kpt. obs. **Jan Lemieszonek,** mjr. pil **Stanisław Grodzicki** — ppor. obs. **Adam Szajdzicki,** por. pil. **Atkins** (Brytyjczyk) — kpt. obs. **Jerzy Majer,** por. pil. **Gawroński** — ppor. obs. **Tadeusz Szczurowski,** por. pil. **Arnold Kleiner** — sierż. obs. **Wasilczyk** oraz załoga brytyjska: por. pil. **Mosley** — sierż. nawigator **Nugent.** Dolot do celu był dość bezpieczny, ponieważ dwie trzecie trasy lotu przebiegały nad kanałem La Manche i obszarami Francji, zajętymi już przez wojska alianckie. Nad doskonale zamaskowanym celem niebo zaszło ciężkimi chmurami, ograniczając widzialność. Mimo to cel szybko zlokalizowano i zaatakowano. Każda załoga zrzuciła po dwie bomby, wzniecając liczne pożary. Wszystkie załogi wykonały atak bardzo skutecznie, niszcząc cztery olbrzymie i kilka mniejszych zbiorników benzyny. Po odlocie maszyn znad celu, z daleka widoczna była olbrzymia chmura czarnego kłębiastego dymu, rozświetlanego buchającym ogniem. Spłonęło trzynaście milionów litrów benzyny — tak bardzo potrzebnej niemieckim czołgom i transportom samochodowym, ewakuującym Niemców z Francji. W czasie akcji samolot mjr. pil. **Orlińskiego** był poważnie pokiereszowany przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą, ale dowódca dywizjonu szczęśliwie powrócił do macierzystej bazy. Wszystkie polskie samoloty powróciły z tej wyprawy na własne lotnisko.

Ostatnia już zmiana lotniska dywizjonu wielkopolskiego nastąpiła w drugiej połowie listopada 1944 roku. Tym razem miejscem bazowania miała być Francja. Lotnisko Epinoy znajdowało się na południe od miejscowości Cambrai w północno-zachodniej Francji. W trzy dni po przybyciu do Epinoy załogi dywizjonu rozpoczęły intensywne loty operacyjne, niszcząc niemieckie transporty wojskowe na szlakach kolejowych i szosach, magazyny zbrojeniowe oraz wszelką komunikację lądową i rzeczną na obszarach Holandii, Belgii i Francji.

Wykorzystując fatalne warunki atmosferyczne, uniemożliwiające loty samolotom alianckim, niemiecki marszałek Runostedt rozpoczął w połowie grudnia, dwoma dywizjami pancernymi i zmotoryzowanymi ofensywę przeciw wojskom alianckim w Ardenach, początkowo nawet z powodzeniem. Skoro tylko nastąpiła poprawa pogody lotnictwo alianckie przystąpiło do wypierania hitlerowców z Ardenów. Dywizjon wielkopolski wspierał kontrataki Amerykanów bombardowaniem komunikacji i transportów niemieckich oraz ciągłymi nalotami nękającymi, atakując zgrupowania wojsk niemieckich. Załogi dywizjonu 305 były do tego stopnia zaangażowane w tych operacjach, że w noc wigilijną 24 grudnia 1944 r. startowały dwukrotnie do lotów bojowych. W noc sylwestrową dowództwo 138 Skrzydła wysłało osiemnaście załóg dywizjonu wielkopolskiego i trzydzieści załóg dwóch dywizjonów brytyjskich, na bezustanne nękanie nalotami zgrupowania zmechanizowanych wojsk hitlerowskich skoncentrowanych na prawym brzegu Renu, w rejonie miejscowości Wedel. W akcji tej dywizjon 305 odniósł wielki sukces, skutecznie atakując nieprzyjaciela i mimo bardzo silnej jego obrony artyleryjskiej, wszystkie samoloty powróciły do Epinoy nie uszkodzone.

Początek 1945 roku wypełniony był operacjami dywizjonu na cele podobne, jak w roku ubiegłym. Od pierwszego lutego dywizjonem dowodzi mjr. pil. **Stanisław Grodzicki.** W lutym „Wielkopolanie" atakowali wyznaczone cele w obszarze Hamburga i południowej części półwyspu Jutlandzkiego. Niewątpliwie największą operacją lotnictwa alianckiego w II wojnie światowej była akcja pod kryptonimem „Operation Clarion" (Operacja Trąbka), wykonana dziennym nalotem 22 lutego 1945 niemal nad całymi Niemcami, przy udziale siedmiu tysięcy samolotów bombowych, myśliwsko-bombowych i myśliwskich, których zadaniem *było niszczenie i paraliżowanie wszelkiej komunikacji* na terenie III Rzeszy.

Sześć załóg polskiej eskadry „A" prowadził dowódca dywizjonu mjr. pil. **Stanisław Grodzicki,** a trzynaście załóg brytyjskiej eskadry „B" operowało pod dowództwem mjr. pil. **Hanbury'ego.** Dywizjonowi wyznaczono rejon: Hamburg-Wesselmünde-Meldorf. Samoloty zabierały po dwie bomby 225-kilowe oraz pełen zapas amunicji do broni pokładowej i dodatkowe zbiorniki paliwa, zwiększające ich zasięg. Po godzinie lotu maszyny zbliżyły się od południowej strony do Hamburga, po czym rozpraszając się wachlarzem w różnych kierunkach, operowały dwójkami nad poszczególnymi celami.

W czasie tej akcji załoga „Mosquito" FB Mk. VI z rejestracją: SM-E — sierż. pil. **Zygmunt Haas** i nawigator ppor. **Tomasz Wilczewski** dostrzegła długi pociąg towarowy na stacji kolejowej Warstade. Lotnicy postanowili zaatakować i zniszczyć tak dogodny obiekt. Sierż. pil. Haas zrzucił na pociąg dwie celne bomby i ostrzelał wagony z broni pokładowej, wzniecając eksplozje i pożary. Po tym sukcesie pilot tak się „zapalił", że nie bacząc na huraganowy ogień artyleryjski, kilkakrotnie zawracał, ostrzeliwując pociąg. W pewnej chwili pocisk artyleryjski trafił w jeden silnik, który natychmiast przestał funkcjonować. Mimo znacznej odległości od własnego lotniska, pilot doprowadził maszynę na jednym silniku do Epinoy. Wkrótce sierż. pil. Zygmunt Haas został odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klasy, za wzorową postawę wobec wroga i skuteczne wykonanie zadania bojowego.

W marcu 1945 r. dywizjon wykonywał loty na bardzo odległe cele, wobec czego został poważnie zdziesiątkowany. Niewiele pozostało z jedenastu załóg polskich i czternastu brytyjskich, jakimi dysponował na początku miesiąca. Inne dywizjony polskie były również poważnie przetrzebione, co spowodowało uzupełnienie stanu dywizjonu wielkopolskiego lotnikami innych narodowości. W tym czasie latali w dywizjonie: Norwedzy, Estończycy, Hindusi, Jamajczycy, Kanadyjczycy, Anglicy, Szkoci i Walijczycy.

Najpracowitszym miesiącem dla dywizjonu był kwiecień, kiedy załogi zapuszczały się aż pod Lubekę, Berlin i Szczecin, bombardując i ostrzeliwując drogi oraz szlaki kolejowe, paraliżując wszelki ruch.

Walcząc w 2 Taktycznych Siłach Powietrznych, załogi 305 dywizjonu Ziemi Wielkopolskiej wykonały około dwóch tysięcy pięciuset lotów dziennych i nocnych, w czasie prawie siedmiu tysięcy godzin, zrzucając ponad tysiąc dwieście ton bomb. W niesłychanie trudnych wyprawach poległo dwudziestu dwóch lotników polskich, a trzech zaginęło oraz osiemnastu lotników brytyjskich i jeden dostał się do niewoli. Stracono też trzydzieści pięć samolotów.

Do Ameryki Południowej droga wiodła przez Rzym (1)

Doktor Willi Nix przychodzi z pomocą

„Szanowny panie papieżu! Wyjechałem do Włoch po to, aby stamtąd móc jechać do Ameryki, aresztowano mnie jednak w Ankonie... Proszę serdecznie Waszą Wielebność o ofiarowanie mi butów".

Tak pisał do Piusa XII niejaki Gottfried R. z wyspy Lipari 3 listopada 1948 roku. W trzecim roku po drugiej wojnie światowej wylądował we włoskim obozie dla internowanych, określonym nieco bagatelizująco jako „Ośrodek Zborny Obcokrajowców" (Centro Raccolta Stranieri). Jego list, jeden z wielu, nie znajduje się w tajnym archiwum Watykanu, lecz w dokumentach pozostawionych przez biskupa austriackiego Aloisa Hudala, który od roku 1923 do 1952 był rektorem kolegium księży „Anima" w Rzymie. Ludziom, których pech nie prześladował tak bardzo, a którzy mieli więcej do ukrycia niż Gottfried R. Hudal dostarczył nie tylko buty, lecz ważniejsze utensylia do podróży.

W pamiętnikach wydanych w 1976 roku, w trzynaście lat po jego śmierci („Dzienniki Rzymskie", Graz) biskup chwalił się chropowatym stylem, że po 1945 roku „całą swoją charytatywną pracę poświęcił... w pierwszym rzędzie dawnym członkom narodowego socjalizmu i faszyzmu, w szczególności tak zwanym zbrodniarzom wojennym i niemało ich wyrwał z rąk ich prześladowców dzięki ucieczce do szczęśliwych krajów z fałszywymi dokumentami".

Z tego względu doprowadzono później do *obalenia* go jako „nie do *tolerowania* dla polityki watykańskiej" — uskarżał się biskup zapewniając zarazem, że w końcu, aczkolwiek z krwawiącym sercem, wyrzekł się marzenia o „chrześcijańskim narodowym socjalizmie". Czy jednak Hudal, który w Watykanie nigdy nie mieszkał ani nie pracował, działał całkowicie bez jego wiedzy, pomocy czy też polecenia? Czy mógł działać? Czy, powiedzmy, nie *odpowiadało* prawdzie twierdzenie amerykańskiego urzędnika służby bezpieczeństwa La Visty, który w raporcie „top secret" przesłanym z Rzymu do Waszyngtonu informował 15 maja 1947 roku, że Watykan jest „największą pojedyńczą organizacją uwikłaną w nielegalny ruch emigrantów"?

W okresie od 1948 do 1951 przez Rzym, zgodnie z własnymi zeznaniami, zbiegły do Ameryki Południowej postacie o smutnej sławie: główny organizator masowych morderstw popełnianych na Żydach, Adolf Eichmann (jako Riccardo Klement"), komendant obozu zagłady w Treblince, Franz Stangl, oraz „wynalazca" komór gazowych Walter Rauff. Zawsze obciąża się za to odpowiedzialnością nie tego czy innego księdza katolickiego, członka zakonu czy urzędnika papieskiego, lecz Watykan jako taki, pojęcie, które — nieściśle używane — oznacza zarówno aparat duchowy państwa watykańskiego jak i samego papieża. Jednakże również klasztory i inne instytucje kościelne nie będące bynajmniej własnością Watykanu czy też nie znajdujące się na terytorium watykańskim, figurują jako „Watykan", ba, niekiedy po prostu jako Kościół rzymski w ogóle.

Autor owego tajnego raportu, adwokat pochodzący z Nowego Jorku, Vincent La Vista (1906—1951), też nie troszczył się o dokładne rozróżnienie. La Vista, który dopiero w połowie 1947 roku z wydziału „Protective Services" Departamentu Stanu został przydzielony nowej ambasadzie w Rzymie, zgromadził mnóstwo faktów i nazwisk o owej rzymskiej drodze ucieczki — jego samego wprawiających w osłupienie — nazwanej później w żargonie agentów także „rat line". Bynajmniej jednak nie tylko „szczury" opuszczały ten (zatopiony przez nie) „statek" materialnie i moralnie spustoszoną powojenną Europę, jaką pozostawił Hitler.

Odbywała się wędrówka ludzi i ludów, która trudno sobie wyobrazić. Nieprzypadkowo opisuje La Vista, z nieufnością urzędnika kochającego porządek, a zmuszonego do pracy w warunkach chaotycznych, również drugą co do wielkości (po „watykańskiej") w Rzymie organizację uchodźczą: dla Żydów, którzy uszli z życiem z zagłady. Większość z nich chciała jechać do Palestyny, gdzie Brytyjczycy wzbraniali im wówczas wjazdu. W Rzymie najwidoczniej można było pomóc każdemu: pozbawionym ojczyzny ofiarom i ich katom, zwolnionym i zbiegłym jeńcom wojennym, robotnikom przymusowym, uciekinierom albo wypędzonym prawdziwym i rzekomym najróżniejszej narodowości, tym z niemieckich stref okupacyjnych, zwłaszcza radzieckiej, z podzielonej jeszcze Austrii, z Polski, Jugosławii, Węgier, Ukrainy i Czechosłowacji tym, którzy chcieli uniknąć bezprawia, albo zasłużonej kary. Niemal wszystkich łączyło jedno — to, że potrzebowali czegoś do jedzenia, odzieży, pieniędzy, a przede wszystkim dokumentów do dalszej podróży, które potwierdzałyby ich tożsamość albo wyposażały ich w nową.

1

Niepozorną, dwunastowierszową notatką w CORRIERE DI ROMA, pierwszej gazecie, jaka ukazała się po wycofaniu się Niemców i wkroczeniu Amerykanów, obwieściło swoje istnienie 29 czerwca 1944 r. „Niemieckie Stowarzyszenie Antynazistowskie" (DAV) i wezwało „wszystkich Niemców każdej (!) tendencji politycznej" do „zarejestrowania się" w biurze stowarzyszenia, na Piazza di Spagna. Sugerowano także — a w tych dniach było to pociągające — materialną pomoc dla potrzebujących. Co się za tym kryło i kim był dr Willi Nix, podpisujący się jako prezes DAV?

Jeśliby wierzyć raportowi La Visty, sporządzonemu w trzy lata później, Nix był kluczową postacią „nielegalnego ruchu Niemców nazistowskich we Włoszech i przez ten kraj", człowiekiem posiadającym tajemnicze kontakty, nawet z komunistami, który uniknął aresztowania tylko dlatego, że bez śladu zniknął w Watykanie.

W rzeczywistości Nix nie był ani nazistą, ani komunistą, ani też nie zniknął: odnalazłem go, 78-letniego starca, w Rzymie, gdzie żyje od dziesiątek lat, od czasu, kiedy jako młody lekarz z Westfalii popadł w konflikt z narodowym socjalizmem, w latach 1935/37 siedział w obozach koncentracyjnych w Esterwegen i Sachsenhausen i wyemigrował następnie przez Austrię do Włoch. Urzędnik policji rzymskiej do spraw obcokrajowców, o poglądach antyfaszystowskich, dr de Fiore przymknął oczy i pozwolił Nixowi pracować nadal w zawodzie lekarza, nawet wówczas, kiedy naziści pozbawili go obywatelstwa i paszportu. Dopiero, kiedy po upadku faszyzmu Mussoliniego we wrześniu 1943 roku Niemcy zajęli Rzym i policjanci hitlerowscy stali się aktywni, Nix ukrył się — podobnie jak wielu innych prześladowanych — w jednym z klasztorów rzymskich, które zapewniały schronienie jako „eksterytorialny obszar watykański". Już tu, w domu Sióstr Matki Bożej Bolesnej, niedaleko Placu św. Piotra Nix wykorzystał znowu swój kontakt z owym dr de Fiore, który przekazał mu podstemplowane i podpisane in blanco dowody osobiste dla innych osób prześladowanych: w ten sposób mogły one zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Po wyzwoleniu Rzymu, w czerwcu 1944 roku, Nix należał do wszystkich tych, którzy pozostali w mieście z „kolonii niemieckiej" (około 1800 osób) i stanowili dla wojskowych alianckich zagrożenie bezpieczeństwa za własnym frontem. Nix, który już nieco wcześniej, razem z ludźmi o podobnych przekonaniach, założył w katakumbach Domitilla ewo „Niemieckie Stowarzyszenie Antynazistowskie", zaproponował obecnie Amerykanom pomoc w rozwiązaniu ich problemów; zarazem jednak chciał, jako patriota, który odrzucał pietnowanie bez rozróżniania Niemców jako takich, nieść pomoc swoim rodakom. Po to, żeby mógł ich zarejestrować, pozwolono mu na otwarcie „Centralnego Biura do spraw Niemców we Włoszech" (ZDI), czegoś w rodzaju zastępczego konsulatu, który rozdzielał żywność (z zapasów amerykańskich i watykańskich) i rychło zaczął wystawiać również dokumenty przypominające paszporty.

Od strony politycznej poręczył za Nixa osobisty przyjaciel generała de Gaulle'a: kardynał Kurii, i Francuz Tisserand, który w latach wojny z Watykanu działał w imię sprawy aliantów i obserwował krytycznie politykę neutralności Piusa XII. Tisserand poznał Nixa za pośrednictwem (dziś 92-letniego) historyka sztuki, profesora Fritza Volbacha, który w 1934 roku wyemigrował do Rzymu, pracował w bibliotece watykańskiej i razem z Nixem szukał schronienia u sióstr Matki Bożej Bolesnej. Volbach był zaprzyjaźniony także z chrześcijańskim demokratą i późniejszym premierem De Casparim, (który także skrył się w bibliotece watykańskiej). W ten sposób Volbach zapewnił biuru Nixa zarówno poparcie „watykańskie" jak i włoskie. Monsignore Montini z papieskiego sekretariatu stanu — późniejszy Paweł VI — przekazał od czasu do czasu dotacje finansowe, a Biuro do spraw Obcokrajowców kwestury (władz policyjnych) włoskiej, gdzie wówczas obrońca Nixa, dr de Fiore, był zastępcą szefa i mężem zaufania Amerykanów, zatwierdziło ów zadziwiający, mierząc dzisiejszymi pojęciami, dokument osobisty w trzech językach, który Nix sam sobie dał wydrukować.

Dokument miał w nagłówku napis „Italien-Ausweis" (dowód włoski), ale równocześnie nazwę „Kennkarte", „Identity Card" i „Carta d'immatricolazione" (!), zawierał jednak również — jak normalny paszport — miejsce na wizy i był uznawany przez konsulaty, na przykład brazylijski, kiedy udzielano wizy wjazdowej. Te zastępcze paszporty podpisywał Willi Nix albo jego zastępca Hans Rohrer, bardziej znany jako „Bobby Todd" (1904—1980) kabarecista monachijski, który naraził się nazistom. On również sporządził projekt stempla, na którym widniał stylizowany orzeł — niezbędny rekwizyt urzędowości — a zamiast swastyki inicjały „Niemieckiego Stowarzyszenia Antynazistowskiego".

Mr Leary, „special agent" kontrwywiadu amerykańskiego (wówczas CIC) raportował z zadowoleniem 9 kwietnia 1945 roku:

„Od 1 lipca 1944 dr Nix współpracował znakomicie z alianckimi służbami wywiadowczymi w celu nadzorowania Niemców — nazistów na obszarze Rzymu... Na życzenie CIC pozwolił podejrzanym Niemcom przystąpić do grupy, tak można ich było dokładniej kontrolować i ocenić, na ile są bezpieczni politycznie. Umożliwił także aresztowanie Wilhelma Mohnena, agenta niemieckiego, pozostawionego w Watykanie..."

Rejestr biura Nixa, który dotychczas się zachował, obejmuje przeszło sześć tysięcy wpisanych spraw w ciągu dwóch i pół roku istnienia; z całych Włoch zgłaszali się Niemcy, prosili o kwestionariusze, stawiali wnioski o dowody, zapobiegali o pomoc różnego rodzaju. Nadchodziły zapytania i wołania o pomoc także z obozów dla internowanych i dla jeńców wojennych. Nix, z natury niestrudzony i pełen temperamentu, troszczył się również o tych Niemców, jeździł do amerykańskiej kwatery głównej w Casercie, prowadził rozmowy z brytyjskim komendantem obozu Rimini i ściągnął na siebie podejrzenia, kiedy stamtąd w lipcu 1946 roku zbiegło czterdziestu jeńców, także oficerów SS (w tym Walter Rauff). W „Sojuszniczej Radzie Kontroli dla Włoch", w której reprezentowany był również Związek Radziecki, zarzucono Nixowi, że wystawił dowody niektórym uciekinierom.

Jeszcze dziś zapewnia: „To nieprawda!" A z drugiej strony: „Amerykanie sami przysyłali mi masowo zwolnionych ziomków do mego biura, żeby im wydać dowody". I dodaje: „Dowód otrzymywał tylko ten, kto w jakiś sposób mógł się wylegitymować, a więc posiadał dokumenty, względnie został przysłany przez osoby godne zaufania, księży albo zakonników, którzy za niego ręczyli".

Czy także ten, który był polecony przez Hudala, „brunatnego" biskupa?

„Przysyłał mi ludzi, także takich, którzy nie byli tymi, za jakich się podawali. Jednakże ja wiedziałem, kim był Hudal..."

Były, co prawda, także przypadki z pogranicza; nie można było każdego, któremu udało się uciec przez druty kolczaste, podejrzewać jak przestępcę i odsyłać. Tak na przykład ksiądz ze Śląska, Carlo Bayer (1915—1977), wzięty do niewoli skoczek spadochronowy, zbiegł z północnowłoskiego obozu Ghedi, przepłynął przez Pad i przedarł się do Rzymu, gdzie do końca wojny studiował „Germanicum", a jego przyjaciel, Bruno Wuestenberg (dzisiaj nuncjusz w Holandii) był dyplomatą watykańskim. Prałat Bayer, który do ostatnich lat swego życia wyróżniał się swą działalnością charytatywną — dyskretną, niekiedy bardzo odważną — w Afryce i w Europie Wschodniej, wyspecjalizował się od 1946 roku w pracach „Papieskiej Komisji Pomocy" w zakresie opieki nad jeńcami wojennymi. Nie żywił sympatii do narodowego socjalizmu, nigdy jednak nie ukrywał, że pomagał zbiegom „nie bawiąc się w kryminalistykę polityczną". To, że miał możliwość zdobycia „paszportów państwa watykańskiego" jest bajką, sam, kiedy przybył do Rzymu zdołał jedynie zalegalizować swój pobyt, zjawiając się w biurze dr Nixa i otrzymując tu „Italien-Ausweis" (dowód włoski). Co prawda nie mając amerykańskich zaświadczeń o zwolnieniu...

Żaden z tych przypadków nie sprowadził nieszczęścia na Nixa; doktor, pracowicie spieszący z pomocą, popadł w kłopoty w wyniku fatalnego odkrycia włoskich i amerykańskich urzędników bezpieczeństwa: ujęli uchodźców, także takich, którzy znajdowali się na alianckich listach gończych, z „dowodami włoskimi" wydanymi przez biuro Nixa, które nie były zarejestrowane przez policję (kwesture) w Rzymie i miały wizy południowoamerykańskie.

„SS-mani zrobili przedruk dowodów i sfałszowali moje nazwisko" — przypomina sobie Nix. Może stało się to w Tyrolu Południowym? (Górna Adyga). Tam w Kasern (Casere) znajdowała się nie tylko baza amerykańsko-żydowskiego „Joint Distribution Comittee", skąd Żydzi, którzy uszli z życiem — albo ludzie, którzy się za takich podawali — byli przemycani z obszaru Grossglocknera ścieżkami górskimi do Włoch, istniała też oficjalna filia biura Nixa w Meranie, gdzie w lochach starego zamku pracowała przypuszczalnie jeszcze w latach 1946—47 owa tajna drukarnia, w której wcześniej żydowscy więźniowie obozów koncentracyjnych drukowali ze szczególnym talentem fałszywe banknoty brytyjskie dla wywiadu Hitlera.

Pewne podejrzenie padło również na Ernesto B., kupca niemieckiego z Sycylii, który pracował w biurze Nixa i zniknął po włamaniu się 25 kwietnia 1947 roku do biurka, gdzie znajdowały się dowody podpisane in blanco. Niektóre z nich, jak się wydaje, znalazły się w obiegu jeszcze wówczas, gdy biuro w lutym 1947 roku (po traktacie pokojowym z Włochami) musiało zawiesić działalność. Dopiero w grudniu Nixa nieoczekiwanie aresztowano i jako „niepożądaną osobę" przewieziono do włoskiego obozu dla internowanych Fraschette (koło Alatri). Kiedy nie znaleziono żadnych dowodów przeciwko niemu, zatrudniono go po prostu jako lekarza obozowego, do czasu aż — po blisko roku — zwrócił na niego uwagę chrześcijańsko - demokratyczny minister spraw wewnętrznych Scelba i zwolnił go pod koniec 1948 roku.

c.d.n.

Co słychać na świecie?

ALESSANDRO NATTA SEKRETARZEM GENERALNYM

Włoskiej Partii Komunistycznej. Urodził się 7 stycznia 1918 roku w Imperii jako syn właściciela sklepu mięsnego. Studiował literaturę w Pizie w latach 1936-1941. Uzyskał tytuł magistra i po wojnie był nauczycielem w miejscowym gimnazjum. We wrześniu 1943 roku, jako porucznik artylerii, był ranny w pobliżu Morza Egejskiego i deportowany przez Niemców po przejściu Włoch na stronę aliantów.

Do Włoskiej Partii Komunistycznej wstąpił pod koniec 1945 roku, a już w 1946 roku był członkiem — z ramienia tej partii — władz lokalnych. W 1948 roku po raz pierwszy został posłem do Izby Deputowanych i wybierany posłem jest do dziś. Od 1976 do 1979 roku był przewodniczącym grupy poselskiej Włoskiej Partii Komunistycznej.

W 1962 roku został powołany do Sekretariatu KC WłPK, a od 1966 roku jest członkiem jej kierownictwa. W 1983 roku został wybrany przewodniczącym Centralnej Komisji Kontroli. Przez pewien czas kierował pracami miesięcznika „Critica Marxista" i tygodnika „Rinascita".

W swoim pierwszym przemówieniu zadeklarował się, iż będzie realizował politykę Berlinguera. Po raz pierwszy w swej historii — jak to określiła „L'Unita" — Radio Watykańskie przeprowadziło wywiad z sekretarzem generalnym Włoskiej Partii Komunistycznej. W wywiadzie tym Alessandro Natta powiedział, iż w sprawach stosunku między Kościołem a partią komunistyczną „słuszne będzie kierowanie się... inspiracją, która sięga daleko wstecz — do Gramsciego i Togliattiego i którą nadzwyczaj wzbogacił Berlinguer".

KRYZYS WE FRANCUSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ

ujawniły wybory do Parlamentu Zachodnioeuropejskiego, Komuniści francuscy zdobyli jedynie 11 proc. głosów, podczas gdy na przykład Włoska Partia Komunistyczna odniosła niebywały sukces i ilością osiągniętych głosów dorównała chadecji. Partia komunistyczna we Francji straciła w porównaniu z wyborami w 1981 roku przeszło 4 proc. głosów i przeszło 8 proc. w porównaniu z wyborami z 1979 roku.

Komitet Centralny FPK analizował wyniki wyborów i zastanawiał się nad dalszą taktyką komunistów. Jak wiadomo FPK wchodzi w skład rządu kierowanego przez socjalistów. Udział w rządzie nie oznacza jednak pełnej zgody z jego polityką. W wielu kwestiach komuniści mają odrębne zdanie. Komentatorzy zastanawiają się, czy taka polityka nie była powodem klęski wyborczej francuskich komunistów. Spekulowano nawet na temat możliwości odejścia z kierownictwa obecnego sekretarza generalnego Georgesa Marchaisa. Spekulacje te nie znalazły potwierdzenia. Uznano, że dla wzmocnienia autorytetu G. Marchaisa wszelkie decyzje Komitetu Centralnego i Biura Politycznego FPK muszą być podejmowane kolektywnie.

POJAWILI SIĘ INTERESUJĄCY MŁODZI PISARZE

stwierdził na łamach „Izwiestii" Oleg Szestiński. Do wniosku takiego doszedł on po VIII ogólnozwiązkowej naradzie młodych pisarzy. Na uwagę — jego zdaniem — zasługuje leningradczyk Jewgienij Tuinow, powieściopisarz zajmujący się problemami społecznymi i moralnymi współczesności. Na tematy radzieckiej północy interesująco pisze Anatolij Buiłow.

Wśród poetów Oleg Szestinski wyróżnia Władimira Straszowa z Angarska, który pisze o życiu w wojsku oraz poetę kirgiskiego, Markabaja Aamatowa, piszącego o pokoju, ziemi ojczystej i historii narodu kirgiskiego.

Oleg Szestinski podkreśla, że w Związku Radzieckim szczególną rolę wyznacza się literaturze, jako inspiratorce innych dziedzin sztuki, dlatego ważne jest, aby rozwijała się prawidłowo, zgodnie z metodą realizmu socjalistycznego oraz aby pisarze mieli świadomość swojej szczególnej odpowiedzialności.

POPULARNOŚĆ PRASY LOKALNEJ

potwierdza praktyka Związku Radzieckiego. Prasa ta ma największe nakłady i najczęściej dociera tam, gdzie nie dociera prasa centralna. Stąd bierze się jej popularność i autorytet. Trzeba też pamiętać o ogromie terytorium Związku Radzieckiego i o tym, że prasa centralna, czy republikańska nie jest po prostu w stanie pisać o wszystkim, co interesuje ludzi w rejonie czy małym mieście, a nawet na wielkiej budowie. Tę rolę bierze na siebie prasa lokalna.

KC KPZR i Rada Ministrów ZSRR podjęły ostatnio uchwałę o dalszej poprawie prasy rejonowej i miejskiej. Wytknięto błędy sprowadzające się do powierzchowności w publicystyce, schematycznego traktowania wielu zjawisk, a także naśladowania prasy centralnej. Zarzucono, że gazety rejonowe i miejskie rzadko publikują listy od czytelników. Zobowiązano instancje partyjne do działań mających pomóc gazetom lokalnym w usunięciu błędów i niedociągnięć oraz mających na celu poprawę warunków materialnych i technicznych prasy lokalnej w ZSRR.

50 LAT TEMU W KRAJU CHABAROWSKIM

powstał Żydowski Okręg Autonomiczny. Z tej to okazji KC KPZR i Rada Ministrów ZSRR wystosowały do mieszkańców tego okręgu posłanie z serdecznymi życzeniami.

W posłaniu tym stwierdza się, że utworzenie przed 50 laty Żydowskiego Okręgu Autonomicznego umożliwiło ludziom pochodzenia żydowskiego uzyskanie własnej państwowości. Okręg ten przekształcił się w rozwinięty rejon Dalekiego Wschodu. Buduje się tam na przykład samobieżne kombajny gąsienicowe do zbioru zbóż i ryżu na podmokłych polach, rozwinięto przemysł lekki i elektrotechniczny.

Z tej to okazji redaktor naczelny „Birobidschaner Stern" — gazety ukazującej się w Żydowskim Okręgu Autonomicznym — L. Szkolnik wziął udział w konferencji prasowej w Moskwie, w czasie której poinformował o imprezach, jakie w Birobidżanie odbędą się z okazji jubileuszu.

ZWROTU GIBRALTARU DLA HISZPANII

zażądał były przywódca Hiszpańskiej Partii Komunistycznej, znany teoretyk „eurokomunizmu", Santiago Carrillo. Pogląd ten wyraził w czasie pobytu w Belgii, gdzie wziął udział w audycji telewizyjnej omawiającej stosunki między komunistami Wschodu i Zachodu.

A. B. SEKATOR

W kręgu fantastyki

Pojedynek

ANDRZEJ ZIMNIAK

Zbliżał się do Miasta. Opuścił już piaszczyste równiny i wspinał się na rozległy granitowy płaskowyż, przeniknięty silnym strumieniem energii z wnętrza Ziemi. Czuł jak jego tkanki regenerują się, a myśli stają się szybsze i jaśniejsze.

Wyczuwał bliskość Miasta. Po skotłowanym, dalekim niebie płynęły zeń ogromne rzeki rzadkich fal radiowych. Miasto pulsowało tysiącami istnień ludzkich — namiętnościami, pragnieniami, smutkiem, radością, dobrocią i złem. Ogólną wrzawę życia przeszywał co chwila krzyk umierającego, ponad tysiące głosów i szmerów wypływał ogrom ulgi rodzącej kobiety lub wzlatywała bezwolna rozkosz kochanków. Jonat uśmiechnął się bezgłośnie. Oto trzy krzyki życia: poczęcie, narodzenie i śmierć. Reszta — to tylko szepty o tych trzech wyznacznikach istnienia.

Miasto ukazało się wreszcie jak na dłoni. Jego Miasto. Mrugało tysiącem świetlistych języków, sypało kaskadami barwnych iskier, buzowało rozrzedzonym promieniowaniem. Lecz te sygnały cywilizacji technicznej nie obchodziły Jonata. Interesowali go ludzie.

Jonat kochał to Miasto. Chętnie przebiegłby ulicami, zajrzał na podwórza pełne kwietnych klombów i odwiedził poddasza starych domów z palonej cegły. Niegdyś lubił zatrzymywać się o zmierzchu pod nagrzanymi jeszcze słońcem murami, po których rozpełzło się dzikie wino i dawać się przenikać wirem namiętności ludzkich. Teraz jednak musiał odłożyć to wszystko na później, a być może — zaniechać na zawsze.

Stłumił w sobie wzruszenie i szybkim spojrzeniem obrzucił całe Miasto. Wśród masy ludzkiej w wielu miejscach jarzyły się umysły obiecujące i zdolne nawet wybitne, lecz żaden z nich nie przekroczył jeszcze progu samouświadomienia. Jonat odetchnął z ulgą. W Mieście nie było Olsena.

Szedł wmieszany w różnobarwny tłum przechodniów. Przygarbił się, głowę wciągnął między ramiona. Nikt go nie poznał, lecz Jonat przypominał sobie wielu mieszkańców, każdy dom, plac, ulicę. Z kawiarenek, spośród kolorowych lamp, młode dziewczyny posyłały nieznajomemu uśmiechy.

Skręcił w boczną aleję i znalazł się przed domem Ojca. Ścieżka jego zabaw dziecięcych porosła trawą, rozbuchany gąszcz gałęzi muskał go po głowie i karku. Drzwi były otwarte, po podłodze biegały małe zielone jaszczurki. Biurko z rozrzuconymi na nim książkami sprawiało wrażenie, że Ojciec wyszedł tylko do sąsiedniego pokoju.

W przyległym pomieszczeniu stał stary, zniszczony stół. „To na nim uczyłem się ustawiać klocki, czytać i pisać" — Jonat położył dłoń na chropowatym blacie i ciepło wspomnień przeniknęło mu palce. „Przy stole siedzi złotowłosy, rumiany chłopczyk i ze złością odrzuca nieudane rysunki. Wreszcie wściekłość malca nie daje mu pracować, po policzkach spływają łzy, bieleją palce zaciśnięte na krawędzi blatu. Nienawistny wzrok skierowany jest na stos kartek, które w pewnym momencie zaczynają falować, miąć się i zgniatać w papierową kulę. Gorąca fala złości odpływa, pozostawiając tylko ogrom zdziwienia.

Za plecami chłopca stoi Ojciec. Wyciąga rękę w stronę jasnej główki. — Będziesz silny, bardzo silny — mówi.

Jonat przerwał pasmo wspomnień i wyszedł w zieloną, pachnącą ciemność ogrodu. Na tle przepastnego aksamitu nieba z przyszytymi perełkami gwiazd pędziły rwące rzeki fal radiowych, ostre strumienie w pasmach telewizyjnych, słabe, lecz charakterystyczne odblaski telepatyczne. Nieforemne kłęby fal zwiastowały bliskość silnej burzy magnetycznej.

W głębi wąskiej ulicy jakaś dziewczyna w długiej, ciemnej szacie pośpiesznie ukryła się w bramie. Z mroku ktoś nadchodził — wysoka, szczupła postać mężczyzny. Jonat skupił się jak umiał, ale nie był w stanie spenetrować jego mózgu. „Olsen?" — przemknęło mu przez głowę.

Zbliżający się mężczyzna wykazywał czujność i gotowość do konfrontacji. Był już bardzo blisko — płowe włosy, wysokie czoło, czujne, nerwowe spojrzenie, głowa wciągnięta między szerokie ramiona.

Zimny strach. A potem szok — to przecież on sam. Jonat wyprostował się i popatrzył na siebie — wtedy lustrzany obraz wybrzuszył się, rozmazał i spłynął gdzieś w bok. Z bramy wybiegła dziewczyna owinięta w szary, długi szal. Przysunęła swoją mokrą twarz tak blisko, że czuł jej płytki, urywany oddech. „Uciekaj stąd" — szepnęła zduszonym głosem. „Odejdź natychmiast, błagam". Głos przeszedł w niezrozumiały bełkot, w sarnich, rozbieganych oczach czaił się obłęd. Usta miała wypukłe, pełne, namiętne. „Odnajdę cię" — rzucił za nią, kiedy już zdjął z niej hipnozę i uciekła przestraszona. „Nie odejdę!" — krzyczał bezgłośnie, odrzucając ostrzeżenie Olsena. Musiał podwoić czujność. Ostateczna rozgrywka zbliżała się szybko.

Wąskie uliczki Starego Miasta wyludniały się. Późna pora i ból głowy spowodowany rozwichrzoną, zasnuwającą Miasto burzą magnetyczną zapędzały mieszkańców w zacisze sypialni. Jonat przeciskał się przez gęsty, niemal lepki mrok zaułków wyłożonych gładkim kamieniem rzecznym. „Chce mnie zmęczyć" — pomyślał. W miarę jak jego ciało słabło, duch zdawał się potężnieć i uzupełniać niedostatki fizyczne.

„Pomarszczona jak zasuszony owoc twarz Matki, mlecznosiwe włosy zaczesane gładko do tyłu. Gdy Ojciec uczył go władzy nad umysłami innych, Matka zawsze mówiła: „Synu, bądź również dobry i sprawiedliwy. Używaj wielu oczu, bowiem jedna para może okazać się zawodna. Wyczuwaj wiele wymiarów. Kochaj".

Agresja! Jak swąd palonej skóry, jak zduszony trzask zgniatanego lustra. Jonat nie ruszając się z miejsca odbił uderzenie i odruchowo wybuścił potężną kontrę, raczej dla osłony i zyskania na czasie, niż w celu unicestwienia przeciwnika. Natychmiast uchwycił słabe punkty w mózgu napastnika i zaczął już wypuszczać skoncentrowane, dobrze dostrojone uderzenie, kiedy nagle poczuł bezcelowość akcji. Przeciwnik został unieszkodliwiony pierwszym ciosem obronnym.

Jonat pchnął zmurszałe drzwi i w ciemności wszedł na górę skrzypiącymi schodami, wśród zapachu moczu i zbutwiałego drewna. Na podeście leżał stary, licho ubrany człowiek w pozycji świadczącej o bezwładnym upadku. „Zimny okład na czoło" — rozkazał dziewczynie, skulonej w najdalszym kącie. Zły na siebie wyszedł w mrok nocy. Omal nie zabił ulicznego rzezimieszka.

Burza rozszalała się na dobre. Zmierzwiona wełna kłębów falowych zawładnęła niebem, przytępiła słabe promyki gwiazd, wyciszyła potoki długości radiowej. W miejscach silnego promieniowania urządzeń elektrycznych interferencja wyzwalała istne kaskady barwnych rozbłysków lub wiry na kształt trąb powietrznych z rozjarzonego pyłu.. Co chwila nabrzmiałe energią niebiosa z głuchym miaśnięciem przekazywały jej nadmiar do wstrząsanej razami Ziemi.

Na początku poczuł małą mrówkę biegającą pod włosami, po czaszce. Zanim zorientował się i zaczął stawiać osłonę, było już za późno. Potężne uderzenie, zdolne z łatwością zabić, zwaliło go z nóg. Było na szczęście w dużym stopniu chybione — zwiad trwał zbyt krótko na pełne rozeznanie. Następny cios, nie mniej potężny i wymierzony o wiele precyzyjniej, Jonat odbił już z łatwością. Błyskawicznie zlokalizował Olsena, który zdemaskował swoją pozycję atakiem, i wypuścił szerokie kontruderzenie. Szybko penetrował mózg przeciwnika i bił w słabe punkty krótkimi, lecz dokładnymi ciosami. Sam odparowywał serie podobnych uderzeń.

Zaprzestali tych wściekłych, chaotycznych, bezcelowych razów i zmęczeni przyglądali się sobie nawzajem. Olsen, stary i doświadczony mistrz, który niejednemu niebezpieczeństwu stawiał już czoła, zajął pozycje obronne. Jonat mógłby być jego synem — zdolny, uparty, entuzjazmem młodości pokrywał brak rutyny. Tylko jeden z nich mógł pozostać w Mieście. Jonat wyszedł już poza przedmieścia. Minął ostatnie małe domki z czerwonej cegły, otulone kożuchem pnącej roślinności, i posuwał się brzegiem rozigranego potoku. Teraz ten świat nie istniał dla niego — poruszał się w krainie rozbieganych prądów, wezbranych rzek falowych i skłębionej wełny burz magnetycznych. A przed nim rozbłyskiwał podstępnymi ciosami umysł Olsena człowieka, który po raz drugi chciał wypędzić go z Miasta. Wypędzić już na zawsze.

Jonat spróbował zastosować stary fortel. Klucząc dla niepoznaki zbliżył się do płytkiej niecki geologicznej, szybko wskoczył w jej ognisko i posłał przeciwnikowi grad uderzeń. Olsen ugiął się pod ich ciężarem, lecz zdołał wypuścić kontrę. Ten zaprawiony w bojach weteran wiedział doskonale, że zagłębienie wymyte w pokładach rudy może być równie dobrym emiterem jak i kolektorem wiązki fal. Cios przedarł się przez gardę i tępym obuchem zdzielił Jonata, który z największą trudnością odczołgał się na bok. „Na szczęście Olsen też dostał swoje" — pomyślał. „Inaczej mógłby teraz wykończyć mnie w ciągu sekundy".

Postrzępiona wełna burzy falowej odpłynęła, a w czarną otchłań nieba wylały się ogniste, rozszalałe rzeki promieni wschodzącego słońca. Jonat za każdym razem był zdumiony bogactwem i grozą tego widowiska.

Taki właśnie ranek wstawał przed wielu laty, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Wtedy Olsen zwyciężył Ojca, zadał mu ostatni cios po całonocnych zmaganiach. Ale nie zabił. Takie było niepisane prawo walki mistrzów. Ojciec wraz z rodziną został wygnany z Miasta. Od tego czasu nigdy już nie doszedł do dawnej świetności. Żyjąc z dala od rodzinnych stron coraz bardziej zapadał na zdrowiu. A Olsen...

Jonat, tknięty nagłą myślą, rozpoczął znów ostrożną penetrację mózgu odpoczywającego, ale przecież czujnego Olsena. Nie mógł znaleźć tego, czego chciał, choć ślizgał się po powierzchniach myśli, zapuszczał w meandry wspomnień, przebiegał pokłady pamięci. Zupełnie nic?! Wydawało się to niemożliwe. Owszem, w zwojach pamięciowych trafił na zapis zdarzeń tamtego dnia, lecz była to tylko kronika z zachowaniem ścisłej chronologii. I na tym koniec.

Poprzez stare, infantylne pokłady pamięci dostał się w obszar płytkiej podświadomości. Czuł się nieswojo i nie całkiem w porządku, ale jakie było inne wyjście?

Aby przeniknąć głębiej, Jonat musiał skorzystać z energii swojej osłony obronnej. Należało teraz działać szybko, ponieważ przeciwnik mógłby go dosięgnąć z łatwością. Szukał więc gorączkowo wśród wspomnień, marzeń, pragnień. I choć *nie wnikał głębiej w żadne z* nich, ślizgał się raczej tylko po ich powierzchni, zadziwiło go bogactwo wewnętrznych sprzeczności tego człowieka.

Wreszcie znalazł. Zepchnięte na dno podświadomości, pełne bólu i poczucia winy wspomnienie walki z Ojcem Jonata, obraz zsyłanych na wygnanie. Długie, bezsenne noce. Wyrzuty sumienia, ledwie zaprawione dumą zwycięzcy.

I jaki bezmiar goryczy! Goryczy wypędzanego z wielu miast. Zgorzknienie tułacza. Zapiekły żal do ludzi. Olsen od najmłodszych lat nie miał Domu. Walka z Ojcem o Miasto była ostatnią szansą starzejącego się, steranego życiem człowieka.

Jonat żałował teraz, że tak głęboko spenetrował to miejsce. Nie było czasu na rozważania etyczno-moralne, jak zwykle zresztą. Fakty pchały do rozwiązań dyktowanych prostą walką o byt.

Jonat pośpiesznie przepisał do swojej świadomości poczucie winy Olsena, jego ból i wyrzuty sumienia. Następnie znowu osłonił się podwójną gardą i przygotował do ostatecznej rozgrywki.

Rozpoczął bezładną wymianę ciosów, w którą stary mistrz, nie podejrzewający pułapki, dał się bez trudu wciągnąć. Gdy zmęczeni przerwali, Jonat wskoczył błyskawicznie do ogniska niecki geologicznej, tej samej, którą wykorzystywał uprzednio i wypuścił skoncentrowaną wiązkę. Zawarł w niej cały żal, ból i świadomość popełnionego okrucieństwa. Wiązkę wzmocnił na tyle, na ile potrafił. Wyrzuty sumienia mogą męczyć, wzmocnione stokrotnie poczucie winy — może zabić.

Mózg Olsena próbował się bronić, stawiać jakąś zaporę, wypuścić kontrę. Olsen był zwyciężony.

Droga do Miasta dla Ojca, całej rodziny i dla Jonata stała otworem. Ale Jonat czuł gorycz tego zwycięstwa.

Położył się na fragmencie muru, otaczającego niegdyś Miasto. Przyroda wokół budziła się z nocnego odpoczynku w życiodajnych promieniach słońca. Poczuł ciepłą falę radosnego podniecenia kilku dziewcząt, biegnących brzegiem strumienia. Młode pędy roślin stroiły się w delikatne korony fal wzrostowych, natura cieszyła się swoim wypieszczonym dziecięciem — życiem.

Jonat rejestrował zjawiska, lecz nie odczuwał niczego. Stał się nagle ślepy na barwy zdarzeń, *jego mózg maskował ten* zakres. Postarzał się o wiele lat w ciągu tej nocy.

Wśród białego kurzu drogi szedł ciężko do swojego samochodu stary, pokonany człowiek. Tak jakby to mogło pomóc, Jonat uścisnął mu dłoń.

Pilot

2

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Następnego dnia, po załatwieniu normalnych czynności służbowych połączył się z najbliższą biblioteką (Tristel, o dziewiętnaście kilometrów od ich zakładu) i zażądał przysłania wszystkiego, co dotyczyło akcji na Zeta Atri i Ealta Merocka. Nadeszło to pocztą pneumatyczną pół godziny później; książki, czasopisma, wycinki z gazet, wielkie zdjęcia. Dość dużo, choć nie tak wiele, jak Vires się spodziewał. Zapoznał się z nimi pobieżnie, w ciągu kilku godzin, zwłaszcza z życiorysem Merocka. Dzieciństwo, młodość, lata spędzone w korpusie kadetów. Potem pierwsza samodzielna wyprawa i awans do stopnia kaprala. Objęcie sekcji na krążowniku „Haida" (wtedy to dwudziestoparoletni kapral Merock wyróżnia się po raz pierwszy w czasie akcji ratunkowej po zderzeniu się transportowca „Nakers" z meteorytem. Dostaje Krzyż Rycerski III kategorii i zostaje przedstawiony jako bohater w programie holowizyjnym, u boku komandora Nertza, dowódcy „Haidy", który w akcji tej wybitnie się nie popisał, ale otrzymał za nią Krzyż Rycerski I kategorii.)

Potem kapral Merock przenosi się do eskadry patrolowej i zostaje nawigatorem — pilotem statku „Analion". Bierze udział w kolejnej operacji, za którą zostaje mianowany młodszym sierżantem i otrzymuje złoty Krzyż Rycerski I kategorii. W pół roku później otrzymuje Złotą Gwiazdę i zostaje uznany bohaterem roku. Setki wywiadów dla prasy i telewizji, pieniądze, sława...

Lata służby mijają mu na patrolach, akcjach ratunkowych, pacyfikacjach i wyprawach badawczych. Wydaje się, że jego gwiazda gaśnie bezpowrotnie i że wszyscy o nim już zapomnieli, gdy nagle znowu staje się ośrodkiem zainteresowania po pamiętnej akcji na Zeta Atri uważanej powszechnie za ukoronowanie jego kariery. Jest jedynym, któremu udaje się wyjść z tej akcji z życiem, ociera się zresztą o śmierć; dolatuje do bazy z zapasem tlenu na piętnaście minut.

Potem nagle zaczyna gdzieś znikać, cichnąć... Ci, którzy go kiedyś uwielbiali starzeją się i powoli zapominają o swoim młodzieńczym ideale, a młodzi mają już innych idoli.

A teraz nagle odnajduje się w „Domu spokojnej starości". Stary, zniedołężniały, zapomniany przez wszystkich...

Vires długo poszukiwał w książkach danych o rodzinie Merocka. W końcu znalazł wycinek prasowy następującej treści: „Słynny pilot Ealt Merock, jeden z asów naszej floty ożenił się z córką znanego malarza Anną Treen. Ceremonia odbyła się..."

Tylko tyle, nic więcej. Poszukał w kartotece karty Merocka. W rubryce „Osoba opłacająca pobyt w zakładzie" widniało nazwisko: F. Merock. Syn czy córka? Nie mieli ochoty trzymać w domu zeskleroziałego starca. Pewnie, nikt tak nie robi, nawet najbardziej kochające dzieci. Od tego są domy starości.

Zatrzasnął szufladę.

Słońce, które minęło już zenit grzało łagodnie, nie piekąc jednak tak, jak w południe... Vires postanowił wyjść na spacer, odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

Idąc korytarzem, po raz pierwszy odkąd został dyrektorem, poczuł jak bardzo ten korytarz jest ponury. Przygnębiający, choć niby nowoczesny i przestronny. Zalany słodkim światłem płynącym przez wielkie okna. Obłożony plastykiem i niklem. Świecący czystością. I poznaczony tu i ówdzie przygarbionymi sylwetkami w pasiastych pidżamach i szlafrokach. Te same przygarbione sylwetki, czekające nie wiadomo na co, które przesiadują całe dnie w parku przy szeroko otwartej bramie.

Niemalże wybiegł do ogrodu. Trudno było mu nazwać ten dziwny stan, w jaki wprawiło go studiowanie dawno umarłej legendy. Pilot galaktyczny, bohater kosmosu Ealt Merock jest tu. Ale to nie jest on.

Wąską alejką wysypaną drobnym, jasnoróżowym piaskiem dotarł do najrzadziej odwiedzanej części ogrodu. Nie było tam nikogo. Zanurzył się w gęstwinie splątanych krzewów.

Na jednej z gałęzi szamotała się rozpaczliwie jaskrawopomarańczowa płachta, odcinająca się wyraźnie od zielonych liści. Znał ją skądś. Kiedy podszedł bliżej i zaczął ściągać ją z konarów, na których była rozpięta, zrozumiał, że jest to skafander kosmiczny. Nie musiał nawet patrzyć w górę; wiedział, że znajduje się pod oknem pokoju 43.

Pod dystynkcjami i nazwiskiem zauważył drobniutkie literki, które przedtem uszły jego uwadze: MC 429 Iltron. Szyba hełmu była zarysowana, najwyraźniej od upadku na gałąź. Delikatna rysa, tak delikatna, że można było zetrzeć ją palcami jak i pokrywające cały skafander kropelki rosy. Najwyraźniej leżał tam już dość długo.

Skafander nie miał założonego stelaża na butle z tlenem. Tego typu ubiory były znacznie pogrubione w miejscu, w którym plecak stykał się z plecami astronauty. I właśnie w tę zgrubiałą warstwę kombinezonu, pomiędzy łopatki, wbity był nóż. Vires wyjął go ostrożnie, jakby obawiał się, że ze skafandra tryśnie krew. Był to zwykły, kuchenny nóż, jeden z wielu identycznych, używanych w zakładzie. Nożem takim trudno było się skaleczyć. Przebicie nim grubej warstwy pancernego materiału było niemożliwe.

Obejrzał skafander dokładniej. Nóż był włożony w stare rozcięcie, o obtopionych brzegach, o wiele szersze od jego ostrza. Musiało być ono zrobione jakąś potężną klingą, pewnie astronautycznym bagnetem. Wokoło widniało jeszcze kilka takich rozcięć.

Schował nóż do kieszeni i zaniósł skafander do pokoju Merocka.

Ealt leżał na łóżku wpatrując się w sufit.

— Poruczniku Merock.. — powiedział Vires, zbliżając się do niego ze skafandrem w ręku. Starzec zmierzył go wzrokiem.

„Na pewno nic już nie pamięta" — pomyślał, kładąc skafander na łóżku.

— Leat... — chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Merock gwałtownie potrząsnął głową.

— Skąd pan zna to nazwisko? — zapytał zupełnie przytomnie.

Vires usiadł na skraju łóżka.

— Powtarzał je pan często — odpowiedział. — Nazywał pan tak ten skafander.

Merock ponownie spojrzał na sufit.

— To nie jest „Dom zachodzącego słońca". Gdzie ja jestem?

— W „Domu spokojnej starości" w Nent. Przysłali tu pana.

— Pewnie moim dzieciom zabrakło pieniędzy, by płacić za tamtejszą opiekę. Nie, nie zabrakło, po prostu mi ich pożałowali. Od dawna tu jestem?

— Kilka dni.

— Dopiero teraz odzyskałem przytomność?... Zresztą i tak tylko na kilka godzin. To straszne, tak żyć. Chciałbym już umrzeć... Dlaczego pan wchodząc mówił o Leacie?

Vires dotknął skafandra.

— Tak pan nazywał ten skafander. Znalazłem go pod oknem... Był przebity nożem — przypatrywał się uważnie, jak Merock zareaguje na te słowa.

Starzec boleśnie zaciął wargi.

— Zabiłem go... Tak, zabiłem go... Widział pan kiedyś astronautyczny bagnet? Przebija wszystko, wystarczy lekko dotknąć. Wszyscy uwierzyli, że zginął na Zeta Atri, a on krąży tam do dziś w pobliżu jej szczątków. Nie było tlenu dla nas dwóch! On też chciał mnie zabić, ale ja byłem szybszy.

Ale to on zabił ludzi z „Enterprise"! To on...

Spojrzał na Viresa.

— Już zbliżam się do końca — powiedział spokojniej. — Słyszał pan o akcji na Zeta Atri?

— Tak... Terroryści porwali statek „Enterprise" i...

— Nie. Nikt nie porwał „Enterprise". To nie byli żadni terroryści. Ci ludzie chcieli tylko uciec. Kupili ten statek i chcieli się zaszyć w starej, ogołoconej z uzbrojenia i radarów bazie. Ale rząd i sztab uznały ich za niebezpiecznych. Ogłosiły, że to rebelianci... i kazały ich zniszczyć. Ja nie chciałem, to Leat... On założył ten cholerny ładunek. Polazł tam po cichu i zaminował reaktor. A potem zwialiśmy...

Starzec przymknął oczy.

— Tylko, że nie starczyło tlenu dla nas obydwóch...

Sześć dni potem Merock umarł. Zupełnie nagle i cicho. Po prostu zgasł, jak wypalona świeca. Jego kartę wyjęto z kartoteki i spalono. Rodzina wyraziła wolę, by pogrzebem zajął się zakład i tak też zrobiono. Pogrzeb odbył się następnego dnia, pod wieczór. Nie przyszedł nań nikt poza pracownikami zakładu.

— Wiesz, Vir — powiedziała tego samego dnia wieczorem Gren — ciągle myślę o tym Merocku. Zawsze, kiedy któryś z nich umrze, zaczynam się zastanawiać, co kiedyś będzie ze mną. To strasznie głupie uczucie. Ale wiesz, chciałabym, żeby coś po mnie zostało jak umrę... Znałeś go, zanim do nas trafił?

— Tak — odpowiedział Vires. — Wtedy, gdy jeszcze był wielki i sławny. Teraz już wszyscy o nim zapomnieli... To był jeden z ostatnich... może już ostatni z tych „silnych ludzi", z tych prawdziwych, twardych zdobywców, dzięki którym jesteśmy dziś w kosmosie. Kryształowy człowiek, wybrany z wybranych... Dziś już takich nie ma.

„Tak, Vir, opuścił cię bohater młodości" — powiedział do siebie chwilę potem. — „To był naprawdę wielki człowiek".

Było to jedyne, co o nim w tej chwili myślał.

1 Spojrzenie znad szachownicy

Idziemy do sądu

1.

1 lipca br. weszło w życie PRAWO PRASOWE, ustawa, o którą środowisko dziennikarskie zabiegało przez lata całe, choć dziś nie wydaje się nazbyt ukontentowane poszczególnymi sformułowaniami. Istotnie, chwilami może nie być lekko — obowiązuje nas zwłaszcza staranniejsze niż dotąd zbieranie materiałów — w sumie jednak powinno być wcale dobrze, pod warunkiem że ustawę potrafimy właściwie rozegrać.

Operując językiem szachów powiedziałbym, że pozycja dziennikarza uległa wyraźnemu wzmocnieniu, ale pozycja instytucji, które pragnąłby opisać, również. Chodzi teraz o to, żeby nie dać się zepchnąć do biernej ofensywy, nie pozwolić na przykład, iżby zasypywała nas lawina zasadnych, tudzież mniej zasadnych sprostowań i wyjaśnień, a przejść do ofensywy, egzekwując zwłaszcza prawo do informacji.

Na szachownicy dałoby się to całkiem nieźle rozegrać, ustawa nie przewiduje wszelako możliwości *dochodzenia swoich racji na 64* polach w dwubarwną kratkę. Przewiduje natomiast możliwość dochodzenia ich w sądach stosownej instancji *i tak mi się coś widzi że chcąc czy nie chcąc będziemy* teraz musieli zacząć chodzić do sądu.

2.

Potrzebne są precedensy. Nie zdarzają się tak mądre i tak wyważone ustawy, które potrafiłyby działać samoczynnie. Dopiero praktyka może wypełnić poszczególne paragrafy żywą treścią, wykazać, na ile ich codzienna interpretacja zgodna jest z intencją ustawodawcy, a na ile się z nią rozmija.

Teoretyzuję w sposób cokolwiek mglisty, rozpatrzmy więc problem na wymyślonym i świadomie przejaskrawionym przykładzie.

Oto w Niezwykle Ważnej Instytucji zauważamy coś na literę „b", bałagan powiedzmy. Drzwi wejściowe do pomieszczeń na II piętrze są tak spaczone, że nie da się ich zamknąć, a jeżeli uda się zamknąć — nie sposób otworzyć. Petenci bezradnie tkwią na klatce schodowej, niedopałki wypełniają po brzegi stojącą popielnicę, a do toalety trzeba biegać aż na podwórze.

Dziennikarz — przedstawiam WARIANT I, niby w przyzwoitym podręczniku debiutów — pisze z oburzeniem że drzwi na III piętrze są zamknięte, petyzaśmiecają całe schody, a toalety znaleźć nie sposób. I leży, a z nim redakcja, nadchodzi bowiem wyjaśnienie głoszące, że drzwi na III piętrze otwierają się znakomicie, wszędzie są popielnice, więc petów na schody nie trzeba ciskać co zaś do toalety, to wszyscy, nawet sekretarka dyrektora, gotowi są udzielać informacji w tej delikatnej kwestii. Fakt, że jakieś drzwi były nie do użytku, nie zmienia już sprawy: przyłapano nas na niechlujstwie i musimy — bez prawa polemiki w bieżącym numerze — wydrukować cały ten pasztet.

WARIANT II, realia są podane wiernie. Znów otrzymujemy wyjaśnienie — 5 stron maszynopisu z kawałkiem, gdy nasz tekścik liczył zaledwie pół stroniczki — w którym czytamy o przyczynach kryzysu, sankcjach, sytuacji na rynku pracy, upadku rzemiosła — trudno zwłaszcza o usługi stolarskie — występowaniu mniszki brudnicy w polskich lasach, takoż o niemożności zakupienia dodatkowej ilości popielnic i klozetowych muszli. Dziennikarz zostaje nazwany ciemniakiem, który nie wyznaje się w sytuacji ekonomicznej kraju.

Mamy ochotę to wydrukować, rzecz wydaje się bowiem do śmiechu, drukując wpadamy jednak w pułapkę. Odtąd będziemy dostawali już tylko takie wyjaśnienia, rozsądek każe tedy sprostowanie odrzucić, niezwłocznie zawiadamiając, że jest ono za długie i nie na temat, do czego upoważniają nas odpowiednie ustępy 32 i 33 artykułu ustawy. Być może po odrzuceniu kolejnych wersji taśmowych sprostowań rzecz skończy się w sądzie, ale tym lepiej — upowszechnimy sentencję wyroku ku powszechnemu pożytkowi.

3.

Rozeźlony takim obrotem sprawy dyrektor Niezwykle Pożytecznej Instytucji może co prawda sięgnąć po artykuł 4 i zablokować wszelkie istotniejsze informacje ze względu na — cytuję: **„...ochronę tajemnicy państwowej i służbowej oraz ... tajemnice chronione ustawą".**

Zwłaszcza „tajemnica służbowa" jest pojęciem rozciągliwym, przy dobrej woli i wyobraźni można zasłaniać się nią jak tarczą, boć tajemnicą może być również, czy Pożyteczna Instytucja w ogóle cokolwiek robi, a jeżeli nawet, to czy to cokolwiek jest w jakimkolwiek stopniu pożyteczne. Zamiast małodusznie machać ręką odwołujemy się wszakże do tegoż art. 4, ust. 3 i 4, żądamy podania powodów odmowy na piśmie (w przerażająco krótkim dla kiepsko działającej instytucji terminie trzech dni!), a mając już takie pisemko, bądź nie mając go w porę, znów, niestety musimy wybrać się do sądu Konkretnie do Naczelnego Sądu Administracyjnego, który władny jest rozstrzygnąć, czy tajemnica rzeczywiście stanowi tajemnicę, czy też posłużyła jako wykręt.

4.

Tu czytelnik całkiem już ziewa i zapytuje zniechęcony, co on *właściwie* będzie miał z tych naszych sądowych potyczek. Ano, przy pomyślnym sprawy obrocie będzie miał prasę lepszą niż przedtem, odważną choć rozważną, potrafiącą krytykować lecz nie bez argumentów. Przy niepomyślnym — flaki z olejem dla większego smaku okraszone odrobiną seksu.

A przecież seks możemy dodawać gratis również do ciekawej gazety!

JERZY P.

2 Nagle zastępstwo

Józef K w urzędzie dzielnicowym

Wielce pouczającą historię opowiedział mi niedawno znajomy, tak pouczającą, że nie mogę się oprzeć, aby opowiedzieć ją większej liczbie rodaków.

Otóż znajomy mój, jako człowiek uprawiający tzw. wolny zawód, kartki żywnościowe otrzymuje nie w miejscu pracy, a w urzędzie dzielnicowym. Tak się składa, że również małżonka znajomego (obydwoje przy okazji serdecznie pozdrawiam) także uprawia wolny zawód artystyczny, na dodatek związany z częstymi wyjazdami. Nieletnia pociecha moich znajomych żadnego zawodu nie uprawia ze zrozumiałych względów.

Od dawna mój znajomy — nazwijmy go dla większej potoczystości narracji panem Józefem — brał kartki w odnośnym referacie odnośnego urzędu bez żadnych problemów. Referentka go znała, podpisywał listę za siebie, za żonę i progeniturę, wymieniał z urzędniczką zdawkowe uwagi na temat kiepskiej pogody i uciążliwości życia w ogóle, a w dobie kryzysu w szczególności i tyle.

Aliści, ostatnio niespodziewanie nadział się na rafę. Urzędniczka przyjęła go chłodno, poprosiła o dowód osobisty, wydała kartkę tylko na dwie osoby i zażądała pisemnego upoważnienia żony na podjęcie jej kartki.

Jakże to — zakrzyknął zdumiony Józef — zawsze wydawała mi pani kartki, zna mnie pani, nie ma chyba żadnych wątpliwości, że ja to ja, a moja żona to moja żona! Nie posądza mnie pani o podły zamiar pozbawienia mojej połowicy (którą kocham, szanuję i lubię) jej przydziału mięsa, cukru, tłuszczów i płatków?

— O nic nie posądzam nikogo — z godnością odrzekła pani urzędniczka — spełniam swój obowiązek wobec szacownej instytucji, w której masz pan zaszczyt przebywać. A instytucja płaci mi nie za to, żebym pana znała, tylko za to, żebym sprawdziła, czy pan aby jesteś uprawniony do zastępowania małżonki w poważnym akcie prawno - ekonomiczno - urzędowym, jakim jest otrzymanie kartki żywnościowej, uprawniającej prawowitego i lojalnego obywatela do umiarkowanej konsumpcji białka zwierzęcego i płatków owsianych, a także innych pożytecznych dla organizmu substancji. Co do pisemnego upoważnienia, to mam takie zarządzenie i już.

— Czyje to zarządzenie? — spytał Józef, który czyta prasę codzienną i jakoś nie przypominał sobie, żeby wprowadzono jakieś specjalne restrykcje w stosunku do takich podejrzanych egzemplarzy ludzkich, które kartki biorą w urzędzie dzielnicowym, a nie w miejscu zatrudnienia, przez co nie tylko wyróżniają się niekorzystnie od rzeszy pozostałych współplemieńców, ale jeszcze narażają średni szczebel aparatu władzy, reprezentowany przez panią urzędniczkę, na dodatkowy wysiłek umysłowy, który — jak wiadomo powszechnie — prowadzi do nerwic i przedwczesnej starości.

— To zarządzenie Pani Kierowniczki — odrzekła urzędniczka, akcentując dwa ostatnie słowa w nadziei, że pan Józef zrozumie wreszcie wagę sprawy, zamilknie i podporządkuje się.

Tymczasem pan Józef nie zamilkł, tylko udał się wprost do Pani Kierowniczki.

Sekretarka Pani Kierowniczki (tak, tak, sekretarka kierowniczki!) poinformowała Józefa, że dziś Pani Kierowniczka nie przyjmuje, bo dziś jest piątek, a najbliższy dzień przyjęć będzie w poniedziałek.

Uparty pan Józef stanowczo wkroczył do gabinetu Pani Kierowniczki. Miał szczęście, bo prominentka owa akurat oderwała się od spraw najwyższej wagi państwowej i rozwiązywała krzyżówkę. Józef rzecz całą wyłuszczył i poprosił uprzejmie o zrobienie małego wyjątku w procedurze. Argumentował, że nie miał okazji zapoznać się wcześniej z zarządzeniem, którego głębokiej słuszności nie kwestionuje, że mieszka dość daleko, że akurat rzucili polędwicę, a on ma jutro gości, itd., itp.

Odpowiedź Pani Kierowniczki była równie długa. Dostojna ta dama wyjaśniła Józefowi, że wydaje zarządzenia nie po to, aby łamać je dla fanaberii byle pętaka, że ten najpiękniejszy ze światów już tak jest urządzony, że jedni są na urzędzie, a drudzy są petentami, że petent ma się podporządkować urzędowi, a nie urząd petentowi, że kartkę dostanie po okazaniu upoważnienia i tyle. I niechże będzie zadowolony, że tylko tyle, że, na przykład, nie musi pisać podania, przynosić odpisu aktu ślubu albo zaświadczenia o niekaralności.

Na to pan Józef wyszedł z siebie i wygłosił krótki referat o arogancji władzy. Na to Pani Kierowniczka też wyszła z siebie, wyprosiła Józefa z gabinetu stanowczo i zakomunikowała mu, że o jego nagannym zachowaniu powiadomi... Służbę Bezpieczeństwa!

Cała ta historyjka o biurokracji, historyjka, jakich wiele, nie byłaby warta opowiadania, gdyby nie pointa właśnie. Oto pan Józef, za nim ja, a za mną czytelnicy niniejszego felietoniku dowiedzieli się wreszcie, po co mamy Służbę Bezpieczeństwa. Nie po to, żeby tropić obce agentury, nie po to, żeby chronić państwo i obywateli. Nie. Służba Bezpieczeństwa w mniemaniu dostojnej damy administracyjnej ma chronić jej wysoki majestat. Ot co!

ANDRZEJ KAROL

3 Sport

Chwalę rocznice

Chwalę rocznicę co czynię wbrew przekonaniu niektórych, że świętujemy za często, że niszemy od rocznicy do rocznicy, co w jakimś stopniu degraduje naszą publicystykę, czyni ją okazjonalną. Może to prawda, ale właśnie kilka dni temu, kiedy ktoś narzekał, że telewizja ciągle od nowa powtarza stare seriale, uświadomiłam sobie nagle, że przecież rosną nam młodzi telewidzowie, którzy nie poznali jeszcze ani kapitana Klossa, ani Janosika, ani bohaterów „Czarnych chmur". I dla nich to są przede wszystkim te powtórki.

W sporcie jest podobnie. Przecież na boiska i stadiony, do hal sportowych, przychodzą coraz to nowi widzowie i dla wielu z nich dawne gwiazdy, którymi myśmy się zachwycali, to tylko i wyłącznie odległa historia. I oto katowicki „Sport", Telewizja i ZSMP ogłaszają wielki konkurs z okazji 40-lecia Polski Ludowej na najlepszego sportowca i najlepszego trenera. Rozwiązanie tego konkursu zbiega się z otwarciem Spartakiady Młodzieży, co też ma swoją wymowę. Kto dostaje najwyższe trofeum i wygrywa konkurs, na który napłynęło 146 tysięcy głosów? Ze sportowców Irena Szewińska, a z trenerów — Feliks Stamm.

Wśród wyróżnionych trenerów znaleźli się również i Kazimierz Górski, i Henryk Łasak, i Hubert Wagner. Jest w tym jakaś ciągłość. Dla wielu młodych być może nazwisko Henryka Łasaka mało mówi, tyle że był znakomitym trenerem kolarzy, że stworzył całą szkołę, że to jemu właściwie zawdzięcza polskie kolarstwo późniejsze sukcesy, bo przełamał kryzys, wychował młodych, nauczył ich walki.

Tu muszę zrobić dygresję. Otóż bowiem w 41 Tour de Pologne na kolejnym etapie, kiedy pogoda nie była najlepsza, a lato mamy raczej wczesno-wiosenno-późno-jesienne, wycofał się z wyścigu Andrzej Serediuk. Wsiadł do zatłoczonego mikrobusu, bo takich, którym się nie chciało jechać było więcej. Ponoć Andrzej Serediuk ma kłopoty z zatokami, ale wróble przy szosie ćwierkały, że mistrz nie lubi przegrywać, a w 41 Tour de Pologne plasował się na dalekich pozycjach.

Inaczej postąpili „weterani" z zespołu „Textra—Ex". Dojechali do mety w Lublinie, a Ryszard Szurkowski 4 razy stawał na podium zwycięzców, choć ani razu nie wygrał etapu i na koniec zajął dalekie, 56 miejsce. Ale „weterani" wykazali wolę walki i dojechali do celu do końcowej mety. To się liczy, bo byli i tacy, którzy tylko czekali, kiedy „staruchy" zaczną się wycofywać. Wycofywali się — niestety — młodzi. Ryszard Szurkowski znalazł się zresztą wśród wyróżnionych sportowców 40-lecia. Tylko, czy młodzi zechcą brać z niego przykład?

Często uświadamiamy sobie o potrzebie zachowywania ciągłości w naszym życiu, w naszych działaniach. Odnosi się to również do sportu. Przecież właśnie polski sport bokserski swoje najpiękniejsze sukcesy zawdzięcza Feliksowi Stammowi. To on prowadził polską ekipę, gdy w 1953 r. odbywały się w Warszawie mistrzostwa Europy, gdy nasi chłopcy zdobywali złote medale. To on stworzył polską szkołę boksu. Gdyby tego nie było, inaczej by się potoczyły losy tej dziedziny sportu. Nie byłoby późniejszych mistrzów. Sportowcy i kibice muszą o tym ciągle pamiętać. Każda dziedzina życia, każda dziedzina sportu również, przeżywa okresy kryzysu, trudności, załamań. Wtedy właśnie bardzo ważne jest nawiązanie do najlepszych tradycji, szukanie źródeł sukcesu, ustawianie sobie poziomu, do którego trzeba równać i który trzeba przekroczyć. Jeśli tego brakuje, trudno jest wychodzić z kryzysu. Wiele dziedzin sportu ma takie wspaniałe wzory, sukcesy, do których można, trzeba równać. W piłce nożnej są to mistrzowskie medale, podobnie w siatkówce, kolarstwie... Wspaniali zawodnicy, wspaniali trenerzy. Takie sukcesy ma też lekkoatletyka. Jest na kim się wzorować, jest z czego czerpać wzory. I właśnie jubileuszowe, rocznicowe obchody często nam takie fakty uświadamiają.

Mamy też sportowców, którzy może nie wygrywają w tak pięknym stylu, jak inni, ale odnoszą sukcesy innego rodzaju. Oto Polski Komitet Olimpijski i „Sztandar Młodych" rozdzielili kolejne nagrody „Fair play". Laureatem został Józef Wojciechowski — zapaśnik Wisłoki z Dębicy. On to, w czasie walki o mistrzostwo Polski z Piotrem Michalakiem, widząc, że jego przeciwnik ma groźną kontuzję barku, co przy dalszej walce równałoby się „wyeliminowaniu" zapaśnika całkowicie z jego dalszej kariery, przerwał walkę i pozwolił na pomoc lekarską. Sędzia zgodnie z regulaminem nie mógł tego uczynić. Po udzieleniu pomocy obaj zawodnicy kontynuowali walkę, w rezultacie której przegrał Józef Wojciechowski, gdyż nie atakował kontuzjowanego barku przeciwnika. W ten sposób Siła Mysłowice zdobyła tytuł mistrzowski. A Józef Wojciechowski — nagrodę w konkursie „Fair play". Dalsze nagrody otrzymali: florecistka Kamila Składanowska i Grzegorz Lato.

Konkursy — choć czasem wydaje się, że jest ich aż tyle — też okazują się być pożyteczne. Chwalę więc i konkursy.

BOGDA MADEJ

4 Lewym okiem

O kupowaniu teatrów

Nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć dwóch tak podobnych do siebie filmów, tak bliźniaczych scenariuszy, tak natrętnie powtarzanych scen i postaci, jak w dwóch niestarej doby polskich komediach filmowych: „Halo, Szpicbródka!" i „Lata dwudzieste, lata trzydzieste". Może to były scenariusze na zadany temat? Albo konkurs rozpisany z następującymi warunkami: musi być marny teatrzyk rewiowy robiący właśnie plajtę, musi go prowadzić burżuj w pierścieniach wyzyskujący głodną i pijaną hałastrę wykolejeńców, musi się zjawić nabity forsą cwaniak, kupić bez namysłu cały ten podejrzany interes, sypnąć milionami i zrobić program, na który walą tłumnie warszawiacy w pumpach i w muszkach oraz warszawianki w kapelusikach na lewe ucho? I może jeszcze był warunek, że musi wystąpić szmirowata śpiewaczka i że musi ją zagrać Irena Kwiatkowska?

Te kapelusiki i pumpy to jedyny znak epoki. Ach, nie, jeszcze dorożkarz okrągły słup z ogłoszeniami i uliczni sprzedawcy gazet, wykrzykujący tytuły. To wystarczy, by „odtworzyć epokę" bez zbędnych kosztów. Przecież wszyscy wiedzą, że Warszawa z lat dwudziestych i trzydziestych to nic tylko kabareciny, pijani aktorzy i panie, trzymające w dwóch palcach długie na pół metra cygarniczki.

Oczywiście można robić i taki film. Ale po co dwa na raz! Żeby było śmieszniej? Śmieszne są tylko miny Kobuszewskiego, ale to już niezależnie od tego, czy jest wspólnikiem w interesie, jak w „Latach trzydziestych", czy tajniakiem policyjnym, jak w „Szpicbródce". Co do nagości ładnych dziewcząt to już pogodziliśmy się z tym, że kino korzysta z byle pretekstu, żeby ją pokazać. Tu nawet pretekstu prawie nie było, a i tak pokazano. Bardzo dobrze, bo inaczej w ogóle nie warto byłoby zakładać okularów „na dal".

A tymczasem „Przegląd Tygodniowy" przypomina artykuł 6 Ustawy Prasowej, według którego wszelkie organizacje państwowe i spółdzielcze „są obowiązane do udzielania odpowiedzi na przekazaną im krytykę prasową bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca". „Przegląd" wymienia sprawy, które krytykował i żadnej odpowiedzi nie uzyskał — ani samo pismo, ani — co najważniejsze — cała opinia publiczna. Każda redakcja mogłaby zestawić długą listę takich spraw. Krytyka rozchodzi się po kościach, zauważone i opisane krzywdy ludzkie pozostają krzywdami, nikt się nie przejmuje, adresat zarzutów jest notorycznie nieznany.

„Przegląd Tygodniowy" zna adresatów swej krytyki i wymienił ich bardzo konkretnie. Cóż, jak znam życie, to z tuzina czekających na załatwienie spraw odpowiedzi może się doczeka jedna: ta o pomniku w Płocku. Pomniki to u nas nie tylko najbardziej paląca konieczność, lecz także jedyna sprawa przemawiająca do wyobraźni i poruszająca resztki urzędniczych sumień.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 26

O tym, jak doktor Niegłowicz został nazwany knurem

Niegłowiczowi odmówił posłuszeństwa jego stary samochod Piękna. Brygida widziała z okna swego mieszkania na piętrze ośrodka zdrowia, jak po zakończeniu pracy doktor wsiadł do gazika i usiłował odjechać do Skiroławek, ale silnik mu nie zaskoczył. Podniósł doktor maskę wozu, przeczyścił świece, rozebrał gaźnik, nie zdało się to jednak na nic. Tyle tylko, że usmarował sobie ręce aż do łokci, a także twarz. Tymczasem zaczął siąpić drobny deszczyk i zrobiło się chłodno. Narzuciła więc na siebie Brygida nowe futro z nutrii i zeszła na dół.

— Prawdopodobnie ma pan słaby akumulator — powiedziała. — Zatelefonuję do warsztatu kółka rolniczego, przyjedzie tu któryś z traktorzystów i zabierze go do naładowania. Odwiozę pana do domu swoim samochodem, a pański niech tu stoi pod moimi oknami aż do jutra.

— Może ma pani rację, panno Brygido — zgodził się z nią Niegłowicz. — Już nie pamiętam, ile lat ma mój akumulator Cztery albo pięć?

— Pożyczyłabym panu ze swojego wozu, ale kto wie, czy za godzinę nie będę musiała jechać do którejś z wiosek. Moi pacjenci chorują najczęściej przed wieczorem i do tego całymi gromadami. Dobrze panu radzę: zadzwonię do warsztatu, a pan u mnie umyje ręce i twarz. Zaparzę dla pana także szklankę gorącej herbaty, bo wygląda pan na zziębniętego.

— Nie, dziękuję — zaoponował doktor. — Wytrę ręce w szmatkę. A panią poproszę o telefon do warsztatu. I żeby mnie pani odwiozła, jeśli pani jest taka miła.

Brygida uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Boi się mnie pan, jak wszyscy tutejsi mężczyźni. Herbata nie będzie zatruta i krzywda się panu u mnie żadna nie stanie.

— Co też pani mówi — oburzył się doktor. — Nawet mi to przez myśl nie przeszło. A poza tym, wcale tak bardzo o swoją męskość nie stoję.

— Inaczej o tym ludzie mówią — odrzekła Brygida i powróciła do domu, żeby zadzwonić do warsztatu.

Doktor wytarł ręce i twarz chusteczką do nosa. Zły był, że go o strach przed utratą męskości posądziła. Tym bardziej, ponieważ w rzeczy samej bał się pięknej Brygidy, choć z innego niż wszyscy mężczyźni powodu. Po wypiciu jednej szklanki może by jeszcze i nie sięgnął dłonią do jej krągłych kolan, ale co uczyniłby po drugiej? Przy takiej kobiecie czuł się nieswojo, gdyż poprzez swoją urodę już z góry zyskiwała nad nim przewagę, a tego nie lubił. Co tyczyło jednak wielu tutejszych mężczyzn, przyczyna ich obaw była oczywista: mogła przecież zrobić tak jak jej koleżanka, która z powodu gwałtu czy też zazdrości, dosypała kochankowi do trunku środka nasennego, a potem pozbawiła go męskości jak tryka czy ogierka.

Bali się więc mężczyźni pięknej Brygidy, szczególnie młodzi, i bywali posłuszni jej woli. Tedy zaraz pojawił się traktor z kółka rolniczego, traktorzysta zabrał akumulator, doktor zamknął swój wóz. Z garażu lecznicy weterynaryjnej wyprowadziła Brygida lśniący lakierem, ogromny zagraniczny wóz typu combi i zaprosiła doktora do wnętrza.

— Miała pani, zdaje się, taki malutki samochodzik — zauważył Niegłowicz.

— A tak. Ale kupiłam sobie większy, bo zdarza mi się wozić różne lekarstwa i narzędzia chirurgiczne. A ponieważ moi pacjenci bywają niekiedy dość duzi i dość liczni, muszę lekarstwa mieć w dużych opakowaniach.

— To chyba drogi samochód.

— Owszem. Ale czy nie nazywają mnie „pani milion"? Na tyle mnie oceniają — oświadczyła cierpko. — To nie moja wina, że lekarze weterynaryjni więcej zarabiają od innych specjalności, a życie dobrej loszki dla niejednego jest więcej warte, niż życie jego żony. Kobiet można mieć wiele, ale o rasową loszkę trudno.

— O dobrą kobietę też jest trudno — zaoponował doktor.

— Po czym poznaje się, że jest dobra? — zapytała złośliwie.

— Po tym, że dobrze gotuje i wygodnie się rozkłada? Gertruda jest podobno znakomitą kucharką, a leżaki w każdym sklepie sprzedają.

Jechała wolno, choć jej samochód mógł osiągnąć dużą prędkość. Toczył się miękko, bez wstrząsów, jakby w asfalcie nie było żadnych dziur. Pachniał świeżością i wypełniał go zapach perfum Brygidy. Coś się w doktorze odezwało, jakieś bolesne wspomnienie, takich perfum chyba używała Anna, a może podobnych — już nie pamiętał.

Doktor rzucał na Brygidę tylko ukradkowe spojrzenia — bał się patrzeć na nią wprost. Po dziecku jeszcze wypiękniała, zaokrągliły się jej piersi, wypełniły policzki, a cera stała się delikatniejsza. Rozchylony kołnierz futra odsłaniał szyję tak gładką i kształtną, jak u szlachetnych flaszy na wino. Na szyi wisiał złoty łańcuszek z kluczykiem, który ginął w rowku między piersiami. Czarne, mocno skręcone włosy obnażały drobniutkie różowe płatki uszu. Widział doktor jej profil trochę dziecięcy, z malutkim noskiem, małymi ustami i łagodnie zaokrągloną brodą; widział też koniec jej prawej brwi podobny do ostrej strzały, która zdawała się mierzyć w skroń. Najbardziej jednak pociągały go jej nozdrza, różowe jak płatki uszu i od czasu do czasu poruszające się prawie niedostrzegalnie, jakby i ją oszałamiał zapach jej własnych perfum. A może tak właśnie reagowała na bliskość samca swojego gatunku i dlatego porównywano ją do młodej klaczy, która dygocąc chrapami lubieżnie obwąchuje ogiera?

— Zabrała mnie pani, żeby dokuczać — stwierdził z żalem. — Wiem, że mam złą opinię, ale sumienie moje jest czyste.

— Gdyby miał pan czyste sumienie, to wstąpiłby pan do mnie na herbatę. Pamiętam, przed dwoma laty spotkaliśmy się kiedyś w księgarni w mieście. Podeszłam do pana i zapytałam jaką książkę kupić, bo wiem, że pan wiele czyta. Coś mi pan dopadził i zaraz uciekł. Dlaczego?

— Powiem pani szczerze: pani jest zbyt ładna. Zwraca pani ogólną uwagę. Człowiek czuje się przy pani jak na cenzurowanym. Gdy spoglądam na panią, to czuję się brzydki, dlatego wolę pani unikać. A sumienie mam czyste. Czy źle pani dziecko odebrałem?

Zarumieniła się lekko na wspomnienie tamtej sprawy.

— Kocham bez wzajemności pewnego człowieka, — wyznała rumieniąc się coraz bardziej. — Myślałam, że gdy będę miała dziecko, ono zabierze mi całą miłość i nie będę taka nieszczęśliwa. Ale inaczej się kocha dziecko, a inaczej mężczyznę. Nikt mi nie powiedział, że miłość bywa aż tak podzielną. W rezultacie dziecko nie ma ojca, a ja nie mam męża ani kochanka. Bywałam ostatnio złośliwa, to prawda. Ale to dlatego, że czuję się nieszczęśliwa. Czasami nachodzą mnie różne smutne myśli, żeby sobie życie odebrać, wyznać, kto jest ojcem dziecka i oddać mu dziecko na wychowanie, bo chyba tego dziecka nie kocham tak mocno jak powinnam.

Zaraz też łzy napłynęły do oczu Brygidzie i cały świat jej zasłoniły. Samochód zjechał na lewą stronę szosy i, gdyby doktor nie chwycił mocno kierownicy, zapewne uderzyliby w drzewo.

— Jezus Maria — jęknął doktor.

— Przepraszam pana — szepnęła.

Stanęła na poboczu, otarła chusteczką łzy i głośno wysiąkała nos. Zaraz ruszyli dalej, a byli już w pobliżu Skiroławek.

— Nie powinna pani ciągle przesiadywać w domu — oświadczył doktor. — Trzeba się spotykać z innymi ludźmi i radować się życiem. Czemu nie odwiedzi pani pisarza Lubińskiego i pani Basieńki albo nie wpadnie do pani Halinki, która przeniosła się do malarza Porwasza?

— Żona pisarza jest głupią gęsią. Halinka ciągle mnie wypytuje, z kim mam dziecko. Zauważyłam zresztą, że wiele kobiet chce się ze mną zaprzyjaźnić tylko po to, żeby to ode mnie wyciągnąć. A gdy nie chcę im zdradzić tej sprawy, obrażają się i mówią, że im nie ufam, nie potrafię się przyjaźnić, nie jestem szczera. Rozumiem rolnika, który mając rasową loszkę chce mieć świadectwo pokrycia od rasowego knura, bo drożej sprzeda warchlaki. Ale co ludziom po tym, że im powiem, kto mnie pokrył? Nie mam dziecka na sprzedaż. A pan?

— Co ja? — zaniepokoił się doktor, ponieważ nastrój panny Brygidy raptownie uległ zmianie. Teraz znowu w złość wpadła.

— A pan nie jest ciekaw, z kim mam dziecko?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mnie interesuje, czy dziecko się urodziło zdrowe, czy nóżki nie ma wyciągniętej ze stawu biodrowego, czy nie trzeba kobiecie zeszyć krocza. Pani zrobiłem cztery szwy, czy nie tak?

— Nie. Dwanaście — burknęła. — Nawet tego pan nie pamięta. I to jest najlepszy dowód, jak ja pana obchodzę. Cztery czy dwanaście, wszystko jedno. Jedno krocze więcej, jedno mniej, jeden szew więcej, jeden mniej. Kobieta rodzi i nawet rodząc chce się wydawać piękną i interesującą, ale pan patrzy na kobietę jak na leżak.

— Na litość boską! — zawołał Niegłowicz. — Jest pani wprawdzie lekarzem weterynarii, ale chyba to oczywiste dla pani, że trudno się w kobiecie zakochać na porodówce.

— Rozumiem, wszystko świetnie rozumiem — powiedziała, zatrzymując się przed bramą posiadłości doktora. — Skorzystam jednak z okazji, żeby powiedzieć panu kilka słów prawdy. Ma pan czterdzieści sześć lat, siwieje panu głowa, powinien pan mieć przy sobie żonę, a nie dopuszczać do tego, żeby panu Gertruda sprowadzała na noc coraz to inną kobietę, jak loszkę do knura. To po prostu wstyd!

— O co pani chodzi? — oburzył się doktor. — Źle coś pani zrobiłem? Za mocno zeszyłem i ma pani za ciasną albo na odwrót?

— Świnia! — rzuciła mu w gniewie.

Wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami, a ona zawróciła przed bramą i odjechała z dużą prędkością. Niegłowicz przeżegnał się ze strachem, co zdumiało Makuchową, która wyszła na ganek, zaniepokojona tak długą nieobecnością doktora.

— Samochód mi się zepsuł i podwiozła mnie panna Brygida — wyjaśnił swej gospodyni. — Ale to sobie zapamiętaj, Gertrudo, że nie chcę jej tu na oczy oglądać. Nie ma mnie dla niej, rozumiesz? Chyba, że chora przyjedzie, albo z chorym dzieckiem. Czy wiesz, jak mnie nazwała? Knurem!

— A jak miała cię nazwać? — zdziwiła się Makuchowa. — Przecież jest lekarzem weterynarii. Ech, Janku, Janku! Piękna to istota, ponętna. Ma oczy jak jałowica, tyłek, jak klacz dwuletnia, a nogi strzeliste jak u sarenki.

— Nie jestem sodomitą — rozsierdził się doktor Niegłowicz i poszedł do łazienki, aby umyć twarz i ręce wybrudzone smarem. A potem podczas obiadu chyba ze dwa razy fuknął na Gertrudę, że zupa jest za gorąca, a znów kotlet za zimny, jakby to była jej wina, że się spóźnił na obiad i musiała jedzenie odgrzewać.

Przed wieczorem poszedł doktor z wizytą do domu Porwasza, gdzie pani Halinka w pracowni robiła dla dziecka sweterek na drutach, a malarz już po raz czwarty szkicował świętego Augustyna w biskupiej infule, z lewą dłonią wspartą na otwartej księdze, a prawą błogosławiącą świat. Obok świętego Augustyna zamierzał Porwasz umieścić anioła z aureolą i skrzydełkami, ale tak się złożyło, że anioła w końcu wymazał, tylko skrzydła pozostały.

— Znowu Kłobuk panu wyłazi z obrazu — stwierdził doktor, przyglądając się pracy Porwasza. — To nie anielskie skrzydła, tylko Kłobukowe. Wyjazd by się panu przydał, przyjacielu.

— To pan powinien gdzieś wyjechać — odpowiedział malarz.

— A pewnie. Wkrótce pojadę do syna, do Kopenhagi. Mam już paszport, wizę, bilet na samolot. Przyda mi się zmiana klimatu i otoczenia.

Potem milczał jakiś czas, a wreszcie spojrzawszy na panią Halinkę, która śmigała drutami, wspomniał Turleja, a także ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie piękną Brygidę i głośno zapytał:

— Jeśli założyć, że rację mają ci, którzy twierdzą, że wąż kuszący Ewę w raju jest tylko symbolem fallicznym i rzecz idzie o męski członek, tedy co oznaczają słowa: „Nieprzyjaźń też położę między tobą i między niewiastą, i między nasieniem twoim, i między nasieniem jej"? Rzecz w tym, że kobiety chcą nas posiadać, ale tak naprawdę to nas nie lubią ani nie cenią.

Zaśmiała się głośno pani Halinka, a Porwasz oświadczył zamalowując skrzydła anioła:

— Za mądre to dla mnie, doktorze. Nie czytuję jak Lubiński „Pism semantycznych" Gottloba Frege. Biblii też nie znam. Nie znajdzie pan w moim domu książki oprócz tej, którą zwędziłem za granicą. Jest to książka telefoniczna miasta Paryża. Szkoda, że wyrusza pan do Kopenhagi, bo mógłbym ją panu pożyczyć. W tej książce jest telefon i adres barona Abendteuer. A co by się stało, gdyby tak z Kopenhagi skoczył pan do Paryża? Przecież to już bardzo blisko, prawie tak jak od nas do Trumiejek. No, może trochę dalej — dodał po dłuższym zastanowieniu.

Do domu powrócił doktor o zmroku. Zdziwił się, że jeszcze widzi światło w kuchni, choć Makuchowa już od dawna powinna być w swoim domu. Dojrzał też poblask światła na pobielanym pniu starej wiśni w sadzie, co znaczyło, że pali się też w jego sypialni od strony jeziora.

— Przyszła ta, co to ją chciałeś — Gertruda zatrzymała go w sieni. — Powiedziała rodzicom, że do Bart, do ciotki wyjeżdża, ale wysiadła na przystanku koło leśniczówki i sama tu przyszła. Wstydliwa jest jak dziwka w Novotelu. Umyć to się umyła, ale w sukience pod pierzynę wlazła. Dałam jej kryształowy pucharek z czekoladkami. Czeka w sypialni i słodyczami się obżera. A ty będziesz jadł kolację?

— Nie. Obiad był spóźniony — powiedział doktor i od razu poszedł do sypialni.

— Och, niech pan zgasi światło — krzyknęła z przestrachem starsza córka Żaryna. Pierzynę na twarz naciągnęła, na wierzch wystawiając tylko kryształ z czekoladkami.

Zgasił doktor światło, rozebrał się i wlazł pod pierzynę. Dziewczyna pozwoliła się obnażyć od góry do pasa.

— Jestem knur — mruknął, obmacując jej piersi.

— To bardzo dobrze — usłyszał w ciemnościach jej śmiech. — Widziałam, jakiego ma knur. Przypomina świderek. Knur był wielki i ciężki, a nasza loszka mała i lekka. A on delikatnie i wolno się w nią wkręci!

Pobawił się doktor wielką i ciepłą lewą piersią, pobawił się i pougniatał prawą pierś. Dziewczyna wciąż siedziała na łóżku. Jadła czekoladki, ciamkając głośno i mówiąc:

— Wczoraj znowu spotkałam na drodze Antka Pasemkę. Nic w rękach nie miałam, więc mi nic nie wypadło. A on jak żmija do mnie zasyczał: „Ty sssuko". Czuję, że teraz się na mnie szykuje i mówiłam o tym narzeczonemu, to jest Józkowi Sewruka. „Sznur na niego wisi — tak mu nagadałam — a on nie chce się sam powiesić. Weź braci i go tam pod sznur zawleczcie. Kto pozna: sam czy też ktoś go powiesił?"

Ciamkała, sapała, w końcu na wznak się położyła, żeby doktor mógł jej piersi lepiej głaskać i ugniatać. A jego zachwycała ich krągłość. Napięta na nich gładka skóra sprężynowała pod dotknięciem warg i języka.

— Oni się boją Pasemki — powiedziała. — Do pana więc przyszłam na zaproszenie Makuchowej. Doktor ma strzelbę, doktor zastrzeli Antka, który na mnie się teraz zawziął.

— Miałaś już mężczyznę? — zapytał.

— Wtedy, gdy Smugoniównę po zabawie znaleźli, to i ja w życie leżałam. Nie wiem, kto mnie załatwił, ale chyba nie synowie Sewruka, bo oni zajęci byli Smugoniówną. Dlatego w dalszym ciągu mam śmiałość do Józka i przed Nowym Rokiem za mąż za niego wyjdę. Byłam pijana, nic nie pamiętam i nic nie czułam.

Od dotknięć doktora przestała ciamkać, odstawiła na podłogę kryształ z czekoladkami, ucichła.

— Tylko wolno, żebym wszystko czuła — szepnęła doktorowi do ucha. — Tak jak mi to pan obiecał. Jak knur swoim świderkiem.

Nagle mocno westchnęła i objęła szyję doktora silnym uściskiem krągłych ramion. A potem sapała i ciamkała, jakby wciąż jadła czekoladki z kryształowego pucharka.

W tym momencie przypomniał sobie doktor piękną Brygidę i pomyślał, że u kobiety każde określenie, nawet takie, jak knur, nie musi być obraźliwe, ale może być wyznaniem miłosnym, gdyż jak każdy człowiek, również kobieta bywa istotną podzielną i samą z sobą sprzeczną; co innego myśli, a co innego robi; co innego mówi, a co innego czuje; co innego szepcze jej rozsądek, a co innego nakazuje pożądanie.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O tym, jak żył i co czuł zabójca

Z zaliczki otrzymanej od Turleja pozostało Antkowi Pasemce akurat tyle pieniędzy, ile matka jego, Zofia, płaciła kulawej Marynie na dziecko, które to rzekomo miała z jej synem. Nie wiedział Antek o liście, jaki Maryna napisała do kapitana Siedzika, dlatego podczas bezsennych nocy, gdy na próżno oczekiwał bicia matki, przekonał sam siebie, że dziecko powinien uznać za swoje, a nawet ożenić się z kulawą Maryną. Jego dziecko mogło być faktem przeciw drwinom Porowej, dowodem, że był i jest mężczyzną, a jeśli nawet nie okazał męskiego wigoru w jej domu, to wyłącznie z tego powodu, że był młodzieńcem wrażliwym i nie chciał się kalać brudami. Łono tej kobiety było przeklęte, jej łóżko przypominało świński barłóg. To prawda, że do niej poszedł powodowany męską żądzą, ale ze złej drogi potrafił wrócić, za co ona teraz mści się na nim. Co do kulawej Maryny, to była ona chytra na pieniądze i brzydka, małżeństwo z Antkiem Pasemką pozostawało dla niej chyba nadal szczytem marzeń: ożeni się więc, choć żyć z nią nie musi. Może zresztą, gdy będą tak często razem w łóżku, odmieni się w nim jego natura, coś się w nim otworzy, a coś zamknie na zawsze, wtedy stanie się dobrym mężem i dobrym ojcem, zapomni o dziewczynach zabitych w lesie. Jak kawał lodu roztopi się w nim nienawiść do kobiet; przestanie myśleć, aby jakąś inną dziewczynę ukarać. Może jedynie dokona sprawiedliwego wyroku na Porowej — za jej przeklęte łono, za jej chuć, za pobudzanie żądzy w mężczyznach. Ale to wówczas, gdy zgnije konopny sznur na drzewie koło Świńskiej Łąki. I nie udusi Porowej, bo jest silna; dźgnie ją tasakiem, a potem butami zmiażdży żebra, palce wyłamie ze stawów, w krocze wepchnie osinowy kołek, grubszy niż dwie butelki.

c.d.n.